

FOCUS

KRYMINATORIUM MARCINA MYSZKI

Historia

**ALTERNATYWNA
HISTORIA
II WOJNY
ŚWIATOWEJ**

**OPOWIADANIA
I ARTYKUŁY**

**ZIEMOWIT
SZCZEREK:
POLACY
Z NIEMCAMI
NA STALINA**

**ZAMACH NA
HANSA FRANKA**

**TYSIĄCLETNIA
RZESZA XXI WIEKU**

**LEM, CZYLI
PODCZŁOWIEK
Z WYSOKIEGO
ZAMKU**

**ŚWIAT
W RĘKACH
HITLERA**

Nr 5 (143)

wrzesień–październik 2021
cena 10,99 zł / w tym 8% VAT/
www.focus.pl/historia

ISSN 2081-3058 INDEKS 261181



9 772081 305107

Bushnell®

Bushnell®



Militaria.pl

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POSNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCLAW OLAWSKA 16 • WROCLAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK



Kilkanaście lat temu w książce „Gdyby... Całkiem inna historia Polski” prof. Włodzimierz Borodziej przedstawił fascynującą alternatywną wizję historii Polski. **Punktem wyjścia było założenie, że Hitler jednak ginie w zamachu w Wilczym Szańcu przeprowadzonym 20 lipca 1944 r. przez Stauffenberga. Jakie są konsekwencje? W Niemczech władzę przejmują spiskowcy i zwracają się do aliantów o rozejm. W Warszawie tymczasem wybucha powstanie.** Niemcy są podwójnie zdezorientowani. Największy opór stawiają jednostki SS, oddziały Wehrmachtu jakby czekały na rozwój wypadków. Na ulicach dochodzi do spontanicznych akcji rozbrajania Niemców, niczym w 1918 r. Na Okęciu ląduje polski dywizjon myśliwski i transportowce Royal Air Force.

Do stolicy przybywa premier rządu na uchodźstwie Stanisław Mikołajczyk. Ale na ziemiach polskich jest już także rząd sterowany z Kremla. A Stalin ani myśli oddawać tej części kraju, w której stoją jego wojska! W efekcie ziemie dawnej II RP zostają podzielone na dwa państwa, wzdłuż linii Wisły i Sanu. Na zachodzie kwitnie Polska demokratyczna, „kapitalistyczna”. Na wschodzie powstaje prosowiecka Polska Rzeczpospolita Ludowa ze stolicą w Lublinie. Czy czekałby nas wtedy taki los jak w realnym świecie Niemcy, podzielone po wojnie i czekające na zjednoczenie aż do upadku żelaznej kurtyny? Chcielibyśmy tego?... Jak pokazuje wizja prof. Borodzieja, poparte wiedzą rozważania o historii alternatywnej mogą prowadzić do zaskakujących wniosków.

redaktor naczelny

Adam Węgrowski



FOTA Z NOTĄ

20 sierpnia 1944 r., powstanie warszawskie. Po zdobyciu budynku PAST-y, na podwórzu kamienicy przy ul. Zielnej Polacy gromadzą niemieckich jeńców. Zdjęcie wykonał powstaniec i fotograf amator Eugeniusz Lokajski (1908–1944).

NA ŁAMACH „FOCUSA HISTORIA”

**ZIEMOWIT SZCZEREK**

pisarz, dziennikarz i tłumacz. Koncentruje się na Europie Wschodniej i jej historii. Laureat Paszportu „Polityki”. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej „Nike”. **s. 20**

**ALEKSANDRA ZAPRUTKO-JANICKA**

historyczka i publicystka, współzałożycielka portali Ciekawostki Historyczne oraz Wielka Historia. Autorka książek, m.in. „Okupacja od kuchni”. **s. 28**

**MICHAEL MORYS-TWAROWSKI**

historyk, dziennikarz, autor książek, takich jak: „Polskie imperium”, „Przedmurze cywilizacji” oraz „Narodziny potęgi. Wszystkie podboje Bolesława Chrobrego”. **s. 6**

PRENUMERUJ FOCUS I ZYSKAJ RABAT -40% OD CENY W KIOSKU!

Przenumerując FOCUS oszczędzasz i zyskujesz dodatkowe korzyści:

- rabat nawet do -40% od ceny w kiosku
- zniżki na książki, kolekcje i inne tytuły
- darmową dostawę przez cały rok
- magazyn przed premierą w kioskach

**DARMOWA DOSTAWA****RABATY NA KSIĄŻKI****SPECJALNE PUBLIKACJE**

Wejdź na www.kultowy.pl i wybierz najlepszą opcję prenumeraty dla siebie.



20

A gdyby Józef Beck dogadał się z władzami III Rzeszy i wspólnie ruszylibyśmy na ZSRR?

6 CZŁOWIEK KONTRA ŚWIAT KSIĄŻĘ DENASÓW

Kim był zagadkowy podróżnik i awanturnik, o którym wspominał Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”?

12 ODKRYCIE POD LUPĄ
- LIST KALIFA DO PAPIEŻA

14 NIE MA GŁĘPICH PYTAŃ
- SKĄD SIĘ WZIĄŁ LEW W WENECJI?

16 NA CELOWNIKU ALTERNATYWNE HISTORIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

„Człowiek z Wysokiego Zamku” i fenomen historii alternatywnych.

20 BYŁ SOBIE POLAK, RUSEK I NIEMIEC

U boku Niemców i ronowców zajęliśmy Moskwę. I co dalej? Opowiadanie Ziemowita Szczepka.

28 ZAMACH NA KRÓLA POLSKI

Na trasie Hansa Franka, jadącego do górali, czekają zamachowcy. Opowiadanie Aleksandry Zaprutko-Janickiej.

34 UCIECZKA ZE STAREGO BORU

Esesman renegat, tajemnica Starego Boru i śmiertelny wirus... Opowiadanie Adama Węglowskiego.

40 PODCZŁOWIEK Z WYSOKIEGO ZAMKU

Stanisław Lem nigdy wprost nie opowiadał o swojej wojennej traumie.

42 LEM: PISARZ BEZ ALTERNATYWY

Wywiad z pisarzem science fiction Marcinem Podlewskim.

44 POLSKA I ŚWIAT KRÓLOWA NIETUZINKOWA

Czym zabtyśla Bona? Kto ją znienawidził?

50 UPADEK TRONU SMOKA

Chińska rewolucja zmiotła dynastię mandżurską, ale republika okazała się krucha...

56 KRONIKA NIEZAPOWIEDZIANEJ ŚMIERCI

Byli stawni, przekonani o swoim zdrowiu, sile i umiejętnościach. Nagle zmarli.

61 FELIETON JOANNY LAMPARSKIEJ
- PORYW FANTAZJI

62 KRÓL UTOPIONY W ZBOŻU

Dramat w chrześcijańskiej Armenii Matej, za którym stali... Krzyżacy.

65 FELIETON KAMILA JANICKIEGO
- CHŁOPI TO NIE LUDZIE

66 GRAJMY
- MELDUJĘ ZDOBYCIE PUNKTÓW

68 WYDZIAŁ DO SPRAW KULTURY

77 WYDZIAŁ ŚLED CZY ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ, AHMED

Jakim cudem bar w hitlerowskim Berlinie prowadził Egipcjanin? Dla kogo pracował?

82 Z ARCHIWUM KRYMINATORIUM
- WYWIAD Z MARCINEM MYSZKĄ

84 SCENA ZBRODNI

86 KRYMINALNE ZAGADKI HISTORII
- ZAKUTY SZKIELET

88 SPOWIEDNIK MAFII
- WYWIAD Z ARTUREM GÓRSKIM

90 RZECZ POD LUPĄ
- ODCISKI PALCÓW



50

Gra o Tron Smoka, czyli rewolucja 1911 r. w Chinach



77

Szpieg czy pechowiec? Wojenna tajemnica egipskiego kochanka polskiej gwiazdy

E-wydanie Focusa Historia jest dostępne na:
egazety.pl, e-kiosk.pl,
nexto.pl oraz publico

eGazety.pl

ekiosk.pl

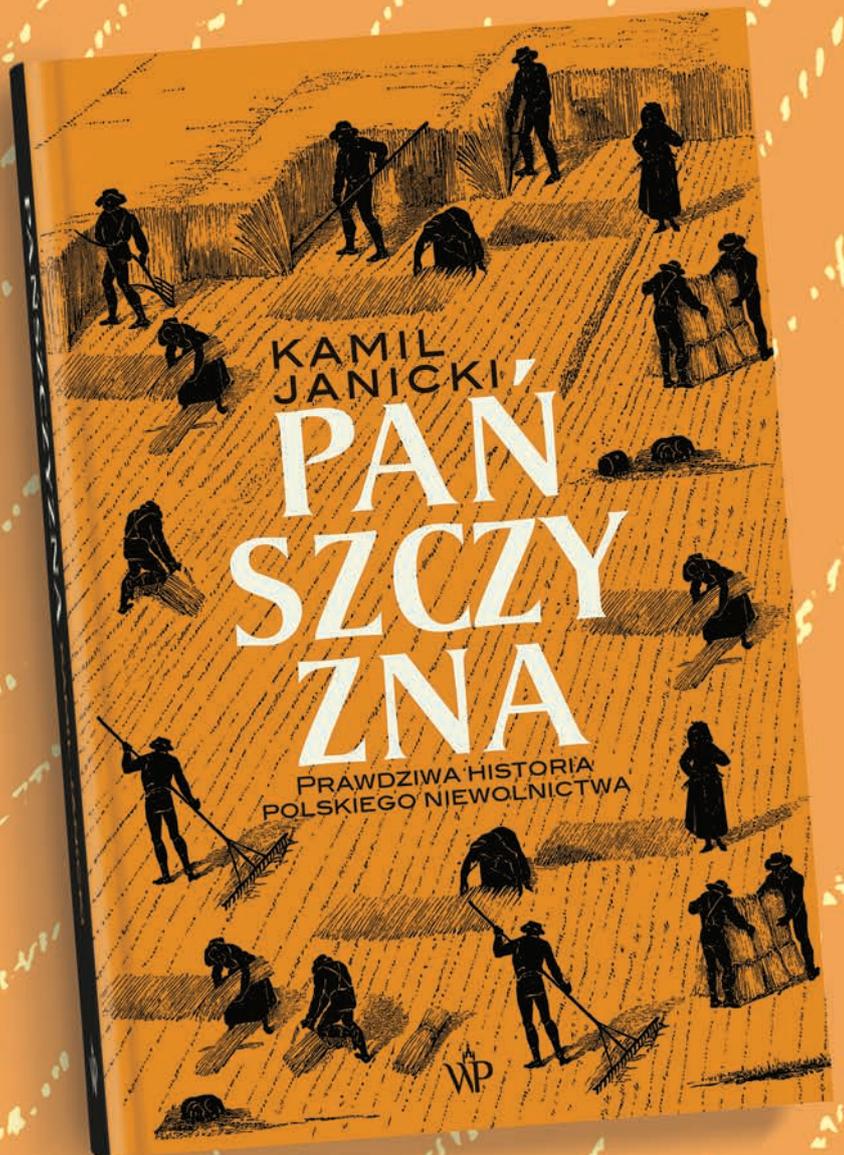
Nexto.pl

publico

Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa

*Kubek zimnej
wody na rozpalone
sarmackie głowy.*

Radek Rak,
zwycięzca Nagrody Literackiej
„Nike” w 2020 r.



WP
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje
nam się

Ten książę awanturników przyłożył rękę do rozbiorów Rzeczypospolitej, a mimo to dostał rozdział w książce „Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku”. Listy do niego pisał król Stanisław August. Przed kilkunastu laty prof. Zofia Zielińska znalazła w Rosyjskim Państwowym Archiwum Akt Dawnych **poszyt listów króla do Nassaua z 1787 r.** Polski monarcha znakiem trójkątka oznaczał te zastrzeżone dla bezpośredniego adresata.



K S I A Ź E D E N A S Ó W

Karol de Nassau-Siegen **opłynął świat i podobno miał romans z królową Tahiti**. Próbował pod francuską banderą zdobyć Jersey, a pod hiszpańską zająć Gibraltar. W rosyjskim mundurze zmierzył się na Bałtyku z niedoszłym kochankiem żony – królem Szwecji. A poza tym **mieszkał w Warszawie**

Michael Morys-Twarowski

Karol pochodził ze znakomitego rodu książąt Nassau, ale biografie jego niemieckich przodków wyglądają jak robione według jednego szablonu: księstwo w spadku, służba w armii, ślub z arystokratką i gromadka dzieci. Nutkę chaosu wprowadziła dopiero jego babcia, Karolina de Mally, Francuzka z pochodzenia. Jej małżeństwo z księciem Emanuelem Ignacym de Nassau-Siegen było nieudane. Separacja, uwięzienie żony za zdradę – nic miłego. W 1722 r. małżonkowie pojednali się jednak, a urodzony w tym roku syn Maksymilian został uznany przez księcia Nassau. Nie na długo. Gdy chłopiec miał 12 lat, książę Emanuel zmienił zdanie i stwierdził ostatecznie, że to nie jego dziecko, a niedługo potem zmarł. To, co podzieliło dziadka Emanuela i ojca Maksymiliana miało mieć wielki wpływ na naszego bohatera.

CZARNA OWCA WŚRÓD ARYSTOKRACJI

Maksymilian, syn Francuzki, ożenił się z Francuzką i mieszkał w Pikardii. Trzy jego kuzynki były kochankami króla Ludwika XV. Jako de facto Francuz stał więc na przegranej pozycji w walce o spadek po ojcu przed Sądem Rzeszy, który w grudniu 1744 r. uznał go za bękarta. Oczywiście sąd królewski w Paryżu dla odmiany przyznał mu rację i w 1756 r. stwierdził, że jest prawowitym księciem. Maksymilian nie doczekał korzystnego wyroku, bo zmarł w 1748 r.

Bez tego kontekstu nie da się zrozumieć losów Karola de Nassau-Siegen, jedyne go syna Maksymiliana, urodzonego w 1745 r. Z jednej strony chwalił się książęcą godnością,

z drugiej strony w Rzeszy (i nie tylko) wcale nie uznawano jego tytułu, zaś niemieckie posiadłości książąt przejęli dalsi krewni. Nawet po latach w Polsce przeciwnicy wypominali mu: „Księstwo? Ależ go nie ma syn z lewego boku!”. Pochodził z klasy wyższej, ale znajdował się na jej obrzeżach i za wszelką cenę chciał udowodnić, że zasługuje na książęcy tytuł. Żądza sławy napędzała go przez większość życia.

KOCHANEK TAHITANEK

Mając 15 lat, Karol zaciągnął się do armii, a jako 21-latek znalazł się wśród uczestników wyprawy Louisa Antoine'a de Bougainville'a, która miała opłynąć świat.

Wrócił do Francji w 1769 r. z historiami, którymi zdobywał salony. Pierwsza o tygrysie, którego przebił szpadą na Przylądku Dobrej Nadziei. Więcej w tym było przypadku niż odwagi – zapuścił się za bardzo w głąb lądu, został zaatakowany przez tygrysa i w ostatniej chwili wbił w niego szpadę, jedyną broń jaką miał pod ręką. W 1893 r. na łamach „Biblioteki Warszawskiej” pisano krytycznie: „Rzecz dokumentnie sprawdzić się nie daje, gdyż innych świadków, prócz murzynów, nie miała”.

Druga była o romansie z królową Tahiti – informacja ta dość regularnie przewija się w polskich tekstach o księciu Nassau. Jeżeli jednak sprawdzić źródła, to trudno uświadczyc władczyni, ale jest o przygodzie młodego Francuza z sześcioma Tahitinkami. Może rzeczywiście na potrzeby francuskich salonów lepiej było zamienić sześć dziewczyn w jedną królową? W każdym razie Nassau-Siegen miał na czym zbijać kapitał towarzyski. >

➤ Już w Europie do repertuaru opowieści o Nassau doszły historie o pojedynkach z jego udziałem. Zachował się opis jednego z nich, który wygląda niczym fragment powieści Dumasa: „Książę de Nassau nie bije się jak inni. Lekceważy on wszelkie szablonowe przepisy szermierki, a że jest nerwowy i zwinny, więc raz rzuca się na przeciwnika, to znowu odskakuje wstecz z tą samą szybkością, tak, iż równie trudno jest uchronić się przed jego błyskawicznymi razami, jak dosięgnąć go, kiedy się zręcznie cofa”.

DAHOMEJ CZY JERSEY

Sława Karola dotarła do Polski, a 10 czerwca 1774 r. król Stanisław August Poniatowski nadał mu order Świątego Stanisława i Orła Białego. Francuski pułkownik ani nie był wcześniej nad Wisłą, ani nic nie zrobił dla Rzeczypospolitej – widać ile warte były najważniejsze polskie odznaczenia państwowe. Ot, podarek dla salonowych gwiazd. Dopiero w styczniu 1776 r. Nassau wybrał się do Polski i przedstawił się królowi.

Nie zagrzał długo miejsca nad Wisłą. Ciągnęło księcia w inne strony świata: planował podbój afrykańskiego królestwa Dahomeju (obecny Benin). Pomysłom oficjalnie przyklaskiwał król Ludwik XVI. Nassau już widział się w roli przyszłego władcy, w myślach rozdawał ministerialne godności. Wydaje się jednak, że oprócz samego księcia nikt poważnie nie traktował afrykańskiej eskapady. Chodziło o to, aby zbroić się nie wzbudzając podejrzeń Anglików – bo Francja szykowała się do wojny z Wielką Brytanią.

Ta wybuchła, a Nassau uznał, że musi popisać się czymś spektakularnym. Postanowił w 1779 r. zdobyć na Brytyjczykach wyspę Jersey. Pomysł z kategorii tych, które w przypadku powodzenia zapewniają uznanie historyków wojskowości na wieki wieków – tyle że się nie udało. Książęca flota wprawdzie odbiła od brzegu, ale szybko powstrzymały ją burze i sztormy. Wróg zdążył przygotować się na inwazję, a Nassau, widząc że nie ma szans, wycofał się. Ośmieszył się, a co gorsza – przed wyprawą zadłużył się, naiwnie zakładając, że zdobędzie Jersey. Czekало go co najmniej kilkadziesiąt procesów. Z finansowych tarapatów wyciągnął go Pierre Beaumarchais, biznesmen i autor „Wesela Figara”. Przejął zarząd nad książęcymi majątkami, powoli spłacał wierzycieli, a jednocześnie lajał arystokratę za rozrzutny tryb życia. Z czasem ta zawodowa relacja zamieniła się w przyjaźń. Książę później odwdzieczył się, pomagając wystawić w Paryżu „Wesele Figara”, reżyserował też warszawską prapremierę tej sztuki.

NIEDŹWIEDZIE DO WALKI Z KOZAKAMI

Z długów można było wyjść też za sprawą dobrego ożenku. W sierpniu 1780 r. w Spa książę de Nassau poznał idealną

kandydatkę – Karolinę Sanguszkową z domu Gozdzką, około trzydziestoletnią bogatą rozwódkę z Polski. Już 14 września brali ślub w kaplicy warszawskiego zamku królewskiego. Wśród gości był sam król Stanisław August, mszę celebrował jego brat Michał Poniatowski (późniejszy prymas), a historyk Adam Naruszewicz napisał z tej okazji odę. Informacja, jakoby mieli pobrać się w Wersalu, jest fałszywa. Zresztą państwo Nassau nie mogli wziąć ślubu we Francji, gdzie poważnie traktowano nierozzerwalność małżeństwa – w katolickiej

Rzeczypospolitej rozwód Sanguszkowej nie był żadnym problemem. Nassau za pośrednictwem Beaumarchais'go prosił arcybiskupa Paryża o uznanie związku, ale hierarcha odmówił.

Różne opinie krążyły na temat małżeństwa księcia. Jedni przekonywali, że był to ślub dla pieniędzy, inni że rzeczywiście się zakochał. Z pewnością nie można było się nudzić z nową księżną Nassau. Karolina interesowała się sztuką, od nastoletnich lat występowała w teatrze i miała nieskrępowaną wyobraźnię. W czasie wizyt we Francji opowiadała, że w Polsce zwykła jeździć wierzchem na wilkach. Twierdziła, że miała 30 tresowanych niedźwiedzi, które walczyły z nękającymi jej dobrą złodziejami-kozakami. Znajomy arystokrata stwierdził, że ma „jak większość Polek, serce lepsze od głowy”.

Była również bogata, co rozrzutna. Miała też poczucie własnej wartości. Kiedy zakochał się w niej szwedzki król Gustaw III, ani myślała być metresą. Z pomocą prawdziwych i fałszywych genealogii dowodziła, że jest krewną królów Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego, a ród Gozdzkich to potomkowie królów gockich. Jednak Gustaw był zainteresowany jedynie romanssem (miał już żonę), a wkrótce w życiu Karoliny zjawił się Karol.

ATAK NA GIBRALTAR

De Nassau-Siegen widział swoją przyszłość w Polsce. „Książę Denasów”, jak go nazywano, od razu podjął starania o uznanie szlachectwa.

Niestety, jego prośby zostały dwukrotnie odrzucone przez sejm – w 1780 i 1782 r. Wspólnie z żoną przebudowali pałac w Warszawie, który Karolina odziedziczyła po ojcu. Pałac szybko miejscowi nazwali Dynasowskim, a z czasem całą okolicę nazywano Dynasą.

Mimo to Karol wciąż krążył po Europie. We Francji wprawdzie zamykał interesy, ale w Rzeszy procesował się o spadek, a żądza sławy zawiązała go do Hiszpanii. Od kilku lat Hiszpanie i Francuzi oblegali brytyjski Gibraltar, szykowali się właśnie do szturm generalnego i szukano kogoś, kto by nim pokierował. Nassau zaoferował swoje usługi i dostał wymarzoną pracę. Szturm zaplanowano na 13 września 1782 r. „Z Paryża, Wersalu i Madrytu zjechało mnóstwo najprzed-

Pod Gibraltarem jako ostatni wyskoczył z płonącego statku, który po chwili wybuchł



Książę chwalił się **ubiciem tygrysa**, co znalazło oddźwięk w „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza. W księdze VIII opowieść (niedokończona) o nim i Rejtanie snuje Wojski Hreczecha:

W świecie księcia był książę niemiecki, Denassów,
O którym powiadano, że w Libijskiej ziemi
Goszcząc, polował niegdyś z królami murzyńskimi,
I tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwałił,
Z czego się bardzo książę ów Denassów chwalił.
U nas zaś polowano na dziki w tę porę.
Rejtan zabił ze sztućca ogromną maciorę
Z wielkim niebezpieczeństwem, bo zbliżka wypalił.
Każdy z nas trafność strzału wydziwiał i chwalił;
Tylko Niemiec Denassów obojętnie słuchał
Pochwał takich i chodząc pod nos sobie dmuchał:
Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,
Biała broń śmiałą rękę



niejszej publiczności, zwabionej nadzieją tak niezwykłego widowiska” – pisał Lucjan Rydel (ten od „Wesela”), autor biografii księcia. Jest w tym obrazku coś niesamowicie smutnego i symbolicznego: gdy arystokracja traktowała wojnę jak rozrywkę, zwykli żołnierze płacili życiem, a w najlepszym razie urwanymi kończynami.

Brytyjczycy zdołali się obronić, ale Karol swój cel osiągnął. Nie chodziło mu o Gibraltar, lecz o sławę. Postarał się najlepiej jak mógł: spokojnie pisał raporty wśród świszczących kul, ostatni rzucił się w pław z gorzącego statku, a gdy dobił do brzegu – okręt wyleciał w powietrze. Słowem, niczym bohater filmowy, za którego plecami dochodzi do epickiego wybuchu.

Za udział w kampanii dostał tytuł granda hiszpańskiego pierwszej klasy, stopień generała-majora i przede wszystkim sporą darowiznę, dzięki której niezawodny Beaumarchais mógł okiełznać wściekłych wierzycieli. Tymczasem Nassau wrócił do Polski szukać nowych powodów do sławy.

W SŁUŻBIE RZECZYPOSPOLITEJ

Zaangażował się w zorganizowanie polskiego handlu w rejonie Morza Czarnego. Od pierwszego rozbioru w 1772 r. Rzeczpospolita była handlowo odcięta od krajów Europy Zachodniej i skazana na pośrednictwo Prus. Zwróciła więc większą uwagę na południe. Koszty transportu drogą lądową do portów ro-

syjskich i tureckich były jednak relatywnie wysokie. Początkowo nie brano pod uwagę możliwości spławu Dniestrem, gdyż uważano rzekę za niezdatną do żeglugi ze względu porohy.

I tutaj do akcji wkroczył de Nassau. W 1784 r. badał spławność Dniestru, sporządził przy okazji pierwszą w dziejach polskiej kartografii mapę hydrograficzną (w każdym razie tak twierdził historyk Julian Bartoszewicz). Jednym z uczestników wyprawy był Jean-François de La Porte d'Anglefort, francuski pułkownik, którego Nassau musiał znać co najmniej z czasów walk pod Gibraltarem. Niestety, biedak zgubił się w okolicach Kamieńca Podolskiego. Przestraszył się żołnierzy wysłanych na jego poszukiwanie (albo wziął ich za bandytów, albo obawiał się, że wezmą go za włóczęgę, a po francusku nie rozumieli), rzucił się do Dniestru i porwał go zdradliwy wir.

Wyprawa Dniestrem przyniosła księciu Karolowi upragniony indygenat, ale właśnie w 1784 r. zamknął sobie drzwi do kariery w Polsce. Jako lider stronnictwa królewskiego zaangażował się w wybory posłów na sejmiku podolskim. Miał jednak potężnego konkurenta – księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego. Ów przez kilka tygodni przed wyborami siedział w swoim majątku w Dłuszkach pod Kamieńcem i kaptował szlachtę sprawdzonymi sposobami: pochlebstwem, przekupstwem i alkoholem. W czasie spotkań zdarzało się, że „ściskając za głowy wygolone, nieraz do guzików kameryzowanych lub orderów tak przycisnął, że aż znak na głowie zostawał” >

➤ Same wybory miały odbyć się w kościele parafialnym w Kamieńcu Podolskim, ale po drodze część szlachty, zwolennicy króla, odbiła do klasztoru dominikanów. W parafialnym głosowaniu wygrał Czartoryski i jego stronnicy, ale nagle dotarła do nich wieść o konkurencyjnym zgromadzeniu. W jednej chwili dobyli szabel i ruszyli na drugi sejmik. Nassau ratował się ucieczką, Czartoryski później łagodził nastroje, organizując pijatykę, ale koniec końców na sejm przybyły później dwa komplety posłów z podolskiego.

Czartoryski i magnacka opozycja nie zapomniały tego księciu. W 1786 r. sejm zablokował dostęp do stopni oficerskich cudzoziemców, także tych posiadających indygenat. Nassau, żądny sławy, musiał poszukać sobie nowego kraju, w którym mógłby zaspokoić ambicje. Była nim Rosja.

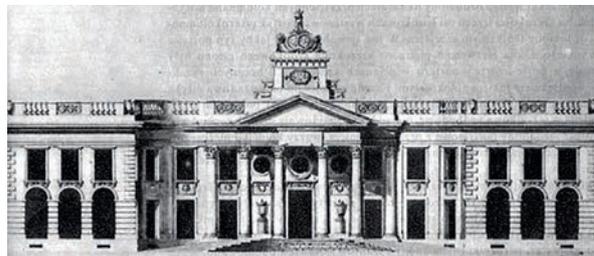
CARSKI ADMIRAŁ

Rosja, przynajmniej do czasu, spełniała oczekiwania żądnego sławy księcia. W 1788 r. odniósł kilka zwycięstw nad Turkami, za co otrzymał stopień wiceadmirała. Z kolei 24 sierpnia 1789 r. na Bałtyku odparł flotę szwedzką. Kampanię opisał w załączniku do listu do króla Gustawa III. Dbały o swój wizerunek, kazał go też ogłosić drukiem. Szwedzka dyplomacja w odpowiedzi wygotowała pismo, wskazując na labilność narodowościową księcia Karola, który zdążył być już Niemcem, Francuzem, Hiszpanem, Polakiem, by skończyć jako Rosjanin.

Bliski spektakularnego sukcesu był w 1790 r. pod Svenskundsundem. Zablokował skandynawską flotę, ale ta zdołała się przedrzeć, zatapiając większość rosyjskich jednostek (aż 44). Pięknie podsumował klęskę historyk Julian Bartoszewicz: „Przekonała się Europa teraz dopiero, że Karol de Nassau mógł lwy gromić w Afryce i pod Gibraltarem brawurować, ale nie mógł dowodzić siłami mocarstwa. Książę de Nassau był człowiekiem czynu, ale nie myśli, był awanturnikiem, ale nie wodzem”. Mimo to dostał awans na admirała.

Służył też Rosji, jeżdżąc w misjach dyplomatycznych po Europie. Odwiedzał m.in. Prusy, dokładając swoją cegiełkę do II rozbioru Polski. W czasie insurekcji kościuszkowskiej ten kawaler Orderu Orła Białego doradzał królowi pruskiemu. W listopadzie 1794 r. zwolnił się z rosyjskiej służby. Wielu historyków ludziło się, że w księciu odezwały się resztki lojalności wobec upadającej Rzeczypospolitej. Zdaje się, że lepiej odgadł motywy wybitny badacz Szymon Askenazy: Nassau zobaczył, że nic więcej nie osiągnie na rosyjskim dworze.

Na przełomie XVIII i XIX w. próbował jeszcze zdziałać coś w dyplomacji. Bywał w Paryżu, pozostawał w bliskich kontaktach z wpływowym ministrem Talleyrandem, ale największe sukcesy były już za nim. Coraz więcej czasu spędzał w dobrach na Podolu, gdzie zmarł 21 kwietnia 1808 r. Pochowano go w Tynninie koło Kamieńca Podolskiego. W testamencie „zostawił fundusz na dwa posagi dla dwóch dziewczyn po 300 złotych polskich z warunkiem, aby te miały staranie około kwiatów na jego grobie”. Jak długo kwitły



Z pałacu Gozdzińskich, w którym mieszkał Karol na warszawskim Powiślu, po pożarze zostały już tylko ruiny, włączone w XIX w. do zabudowy targowiska Sewerynowów. Z czasem je rozebrano. Natomiast ogrody poniżej dawnego pałacu i wzniesioną tam rotundę towarzystwa cyklistów zaczęto nazywać Dynasami.



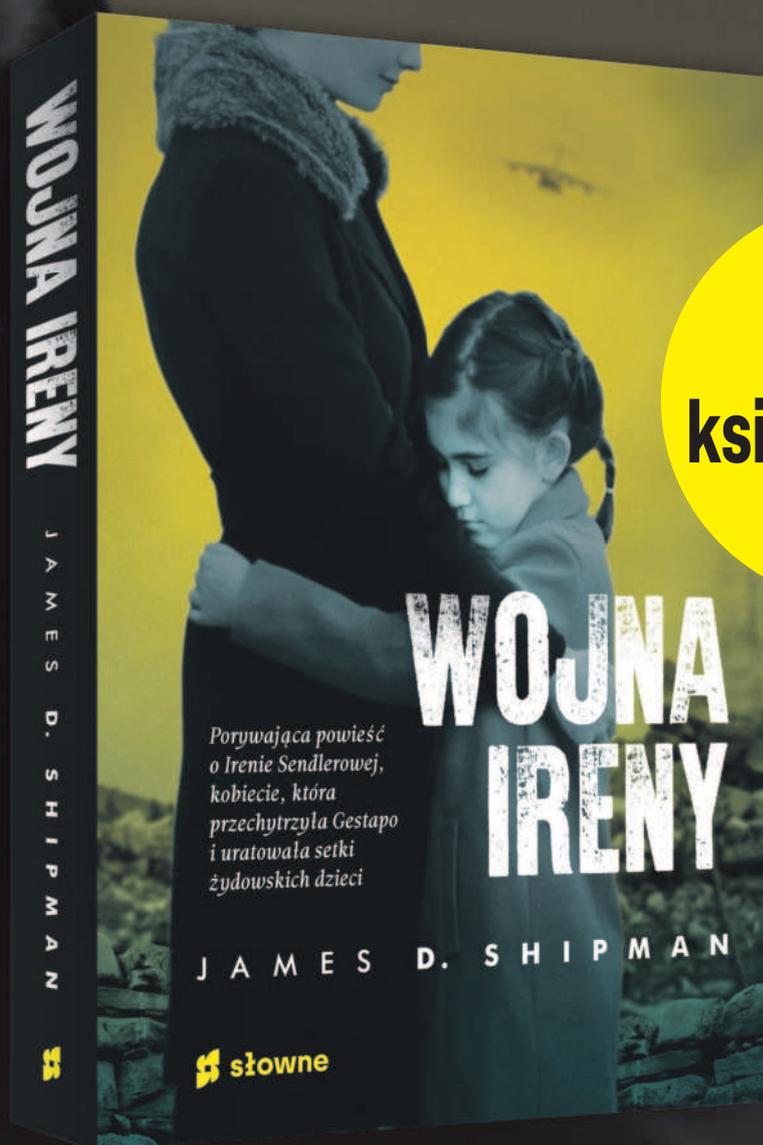
kwiaty, nie wiadomo. W każdym razie w roku 1892 grób był już zupełnie zaniedbany.

ULICA NA POWIŚLU

Karol, mimo że prawie całe życie łaknął sławy, został zapomniany. Gdzie mu do Casanovy, Beniowskiego czy Cagliostro! Literaci ominęli go łukiem. Owszem, są wzmianki o „księciu Denasów” w „Panu Tadeuszu” Mickiewicza, ale to żadne uwiecznienie – ot, ciekawostka. W 1999 r. ukazała się za Atlantykiem powieść Petera Brooksa „World Elsewhere” o tahitańskich przygodach księcia Karola, ale – przynajmniej sądząc po recenzji w „New York Times” – nie jest to wielka proza. Nie dało się też oblec biografii tego rosyjskiego admirała w szaty polskiego patriotyzmu, żaden to materiał na opowieść o szlachetnym obcokrajowcu, który pokochał Rzeczpospolitą. Póki co, jedyną pamiątką po nim jest ulica Dynasy na warszawskim Powiślu. Nazwa nawiązuje do miejsca, gdzie znajdowały się posiadłości Nassaua i jego żony.

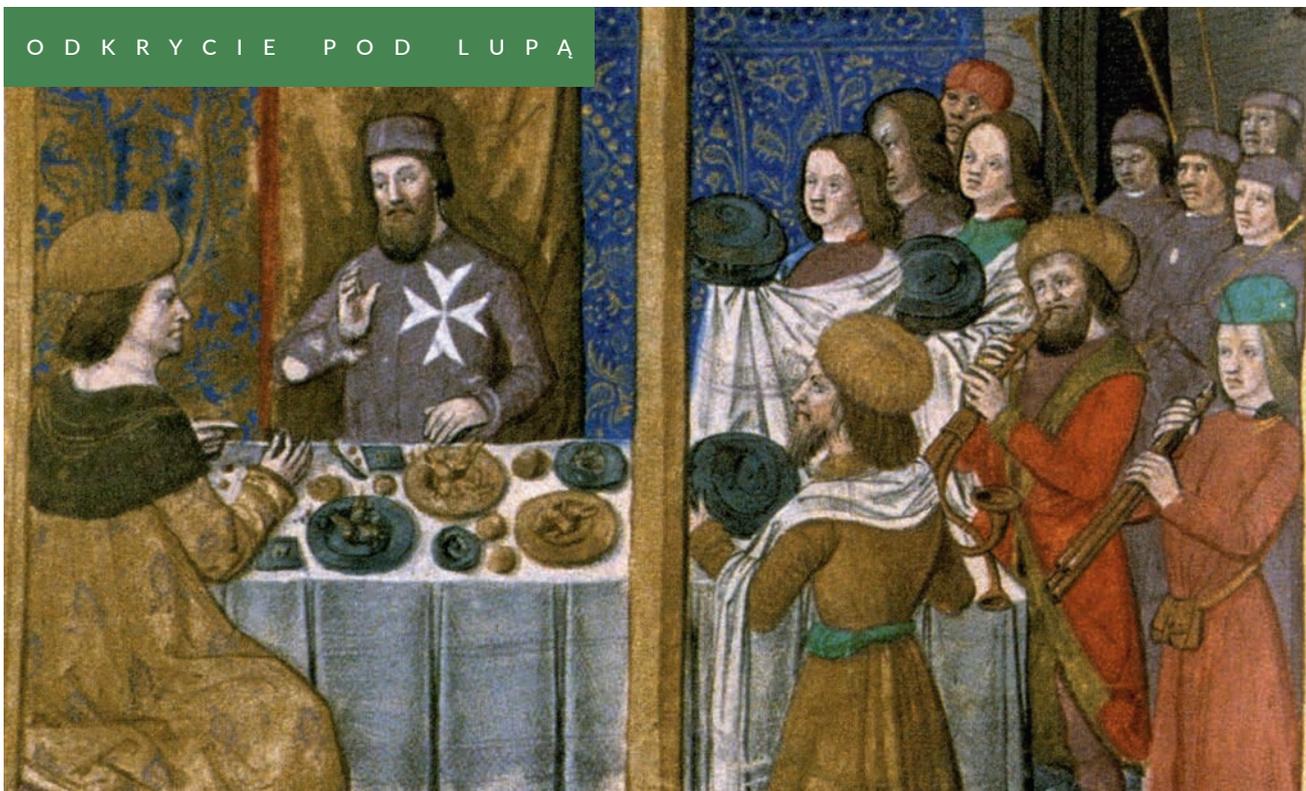
Brakuje nawet aktualnej naukowej biografii tego łowcy przygód. Dotychczasowe są mocno leciwe. Wprawdzie historycy wyłuskują ze źródeł nowe szczegóły, ale nie starczy im odwagi, by porwać się na wyczerpującą opowieść o niedoszłym zdobywcy Gibraltaru. Może jednak kiedyś uda się poznać dokładnie losy człowieka, który jest piękną egzemplifikacją XVIII w.? Bo chyba w żadnej innej epoce walka z tygrysem i romans z królową Tahiti nie byłyby wystarczającymi kwalifikacjami, by dowodzić armiami trzech imperiów. ■

Michael Morys-Twarowski – historyk, dziennikarz, autor książek, m.in. „Polskiego imperium” i „Przedmurza cywilizacji”.



Już w
księgarniach

*Porywająca powieść o Irenie Sendlerowej,
kobiecie, która przechytrzyła Gestapo
i uratowała setki żydowskich dzieci.*



Ucekinier Dżem (pierwszy z lewej) z Egiptu udał się na Rodos, gdzie oddał się pod opiekę Pierre'a d'Aubussona, wielkiego mistrza zakonu joannitów. Ten jednak go zdradził, porozumiał się z Bajezidem i uwięził pretendenta do tronu najpierw na Rodos, a następnie we Francji.

LIST KALIFA DO PAPIEŻA

Polski uczyony odnalazł list, który mógł zmienić historię renesansowej Europy

W dziale starodruków biblioteki uniwersytetu w Glasgow znajduje się egzemplarz pochodzącego z 1481 r. „Epistolae familiares” Eneasza Sylwiusza Piccolominiego, czyli papieża Piusa II. Ten zbiór 433 listów uchodzi za arcydzieło epistolografii, ciekawszy jest tekst odkryty przez prof. Piotra Tańkowskiego z Katedry Informatologii Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW, zapisany na niezadrukowanej części pierwszej karty dzieła i na jej odwrocie. To zaskakujący list od „sultana Babilonu”, zaadresowany do papieża Innocentego VIII.

Od czasów teologa Jana z Damasku (VIII w.) chrześcijanie postrzegali islam jako zagrożenie. Między tymi dwoma światami przez wieki toczyły się walki, nie było zaś prawie przy-

padków współpracy. List odkryty przez prof. Tańkowskiego to dowód, że możliwe były sojusze dyplomatyczne także między wysoko postawionymi przedstawicielami wrogich sobie religii.

List zawiera prośbę „sultana Babilonu” Abdalazisa do papieża Innocentego VIII – jako głowy świata chrześcijańskiego, mającego posłuch u innych władców – o uwolnienie niesłusznie więzionego syna zmarłego sultana Mehmeda Zdobywcy Dżema (nazywanego w liście Semgemi). Abdalazis odwołuje się do honoru papieża i wspomina, że ma pod swoją pieczęć liczne miejsca kultu czczone przez chrześcijan: Jerozolimę, Betlejem czy górę Synaj. Przypomina, że zawsze czuwał nad bezpieczeństwem pielgrzymów. Wskazuje, że uwolnienie Dżema zmałoby hańbę chrześcijan i spowodowałoby większą przychylność muzułmanów wobec pątników w Ziemi Świętej.

Żeby zrozumieć znaczenie tego dokumentu, trzeba cofnąć się do momentu śmierci Mehmeda Zdobywcy. Władca, który zdobył Konstantynopol, zmarł w maju 1481 r., nie ustanowiwszy następcy tronu. Jego dwaj synowie Bajezid i Dżem ruszyli do wyścigu po koronę. Dżem przegrał i zmuszony był do ucieczki. Udał się do Kairu, gdzie oddał się pod opiekę mamelukckiego sultana Qaytbaya (Kajtбая). Ten znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Z jednej strony nie mógł odmówić, nie tracąc twarzy. Z drugiej – zachowanie honoru groziło wejściem w otwarty konflikt z Bajezidem. Qaytbay zachował się dyplomatycznie: zapewnił pokonanemu Dżemowi opiekę, odmówił mu jednak pomocy finansowej i militarnej.

Ucekinier przebywał w Kairze zapewne do wiosny 1482 r. Potem udał się na Rodos, pod opiekę Pierre'a d'Aubussona, wielkiego mistrza joannitów. Ten jednak zdradził go, poro-



Zaskakujący list odkryto na stronach XV-wiecznej księgi „Epistolae familiares” Eneasza Sylwiusza Piccolominiego.

zumiął się z Bajezidem i uwięził Dżema najpierw na Rodos, a następnie we Francji. Ostatecznie, w marcu 1489 r. syn Mehmeda udał się do Rzymu, do papieża Innocentego VIII. Doszło do tego już po powstaniu wspomnianego listu.

Qaytbay musiał bardzo żałować, że wypuścił Dżema. Pod koniec lat 80. XV w. dochodziło do licznych starć między jego wojskami a armią osmańską. W listopadzie 1487 r. Qaytbay podjął nawet próbę nawiązania sojuszu z państwami chrześcijańskimi. Gdyby miał u siebie Dżema, mógłby toczyć walki pod pretekstem wspierania jednego z potomków Mehmeda.

List wysłano w 1487 r., jednak odkryty przez prof. Tańłowski dokument jest kopią łacińskiego tłumaczenia. Oryginału nie znamy, być może został bezpowrotnie utracony. Tłumacz i być może kopista nie tylko skrócili treść dokumentu, ale też popełnili wiele błędów – np. „sultan Babilonu” Abdalazis był w rzeczywistości kalifem Kairu al-Mutawakkilem II, którego rodowe imię brzmiało Abdul Aziz. Co istotne, kalif jako religijny przywódca świata islamu zwracał się do papieża, głowy chrześcijaństwa. Odkryty przez Polaka dokument to pierwszy znany list kalifa do najwyższego dostojnika kościelnego. Nie wiadomo, kto i w jakich okolicznościach wpisał list do tomu autorstwa Piusa II. Nie wiemy nawet, kto był jego właścicielem. Wiadomo tylko, że trafił do biblioteki uniwersytetu w Glasgow w 1778 r. jako darowizna księgarza Johna Barry’ego.

Trzy lata po tym, jak kalif Kairu wysłał list do papieża Innocentego VIII, sultan Qaytbay próbował podbić stawkę. W zamian za odesłanie Dżema do Kairu zaoferował papieżowi sumę 40 tys. dukatów, przekazanie chrześcijanom Jerozolimy, możliwość podróżowania do Ziemi Świętej bez konieczności płacenia danin, a nawet zwrot Konstantynopola. Oczywiście po tym, jak Mamelucy wraz z Dżemem odbiorą miasto Bajezidowi. Zabiegi dyplomatyczne kalifa i sultana nie odniosły jednak skutku. Dżem zmarł w Italii w 1495 r. ■

Marta Guzowska – archeolog, dziennikarka, popularyzatorka nauki, autorka kryminałów.



Komentuje
prof. Piotr Tańłowski
z **Katedry Informatologii**
Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW

Waga listu kalifa Kairu do papieża Innocentego VIII polega na wyjątkowości tego dokumentu. Jest on jedynym znanym obecnie listem tego rodzaju – mówi „Focusowi Historia” prof. Tańłowski.

W referacie wygłoszonym w kwietniu 2021 r. profesor tak wypunktował znaczenie listu: „Po pierwsze, jest to jedyny list kalifa, w którym tenże próbował aktywnie kształtować politykę międzynarodową, wszelkimi możliwymi argumentami starając się nakłonić papieżstwo do realizacji własnego planu, co skutkowałoby bezpośrednim wpływem na politykę państw trzecich. Znane i omawiane w historiografii listy sułtanów mameluckich dotyczyły głównie bezpośrednich kontaktów dyplomatycznych sułtanatu z państwami europejskimi oraz traktatów handlowych pomiędzy obiema stronami. Adresowane były do królów aragońskich, Francji, Sabaudii, do włoskich państw (Florencja, Wenecja, Genua, Neapol, Piza), Dubrownika, Osmanów, Cypru oraz joannitów z Rodos.

Po drugie, jak widać z tego zestawienia, badacze zajmujący się mamelucką dyplomatyką nie znali do tej pory mameluckich listów adresowanych do rzymskiego papieża. Omawiany tekst jest pierwszym dokumentem tego rodzaju.

Po trzecie wreszcie, jest to jedyny odnaleziony mamelucki list dotyczący sprawy sułtana Dżema. Dla badaczy dziejów i dyplomacji państwa mameluckiego z pewnością będzie on stanowił ważne odkrycie, a będzie ono także również dla badaczy dziejów kultury europejskiej. Dokonanie przez anonimowego kopistę odpisu listu sułtana Egiptu dotyczącego osmańskiego pretendenta do tronu świadczy o zainteresowaniu, jakim cieszyło się to zagadnienie wśród współczesnych Europejczyków. Znajdujemy tutaj dowód na to, że wiadomości dotyczące Dżema i toczących się wokół jego osoby akcji dyplomatycznych, w tym także kroków przedsięwziętych przez egzotycznego dla Europejczyków władcę, sułtana Egiptu (*Babilonu*), interesowały szersze kręgi społeczności europejskiej, wychodziły poza kancelarie władców. Interesowano się nimi, kopiowano je, zapewne czytano, komentowano i przekazywano dalej. Zapewne tej sensacyjnej treści zawdzięczamy fakt, że list ten został przepisany.”

Przed weneckim Arsenalem
stoi kilka posągów lwów.
Najcenniejszy z nich jest
pierwszy z lewej.



SKĄD LEW W WENECJI?

Stojący przed wejściem do weneckiego Arsenału **kamienny lew** to starożytny skarb zrabowany z Grecji w XVII stuleciu

1

Lew jako taki jest symbolem Wenecji za sprawą chrześcijańskiego patrona miasta. Został nim w średniowieczu św. Marek. Symbolem tego ewangelisty jest lew ze skrzydłami. Jednak zwierzę, którego posąg stoi przed weneckim Arsenalem, nie ma takich. Nic dziwnego: **jest to rzeźba wykuta trzy i pół wieku przed Chrystusem.**

2

Ów wykonany z białego marmuru lew **przez dwa tysiące lat znajdował się w Grecji, będąc ozdobą i symbolem portu w Pireusie.** Było tak aż do roku 1687. Wtedy to, podczas wojny z Turkami okupującymi Grecję, posąg wywieźli Wenecjanie. Dowodził nimi ambitny Francesco Morosini marzący o funkcji weneckiego doży.

3

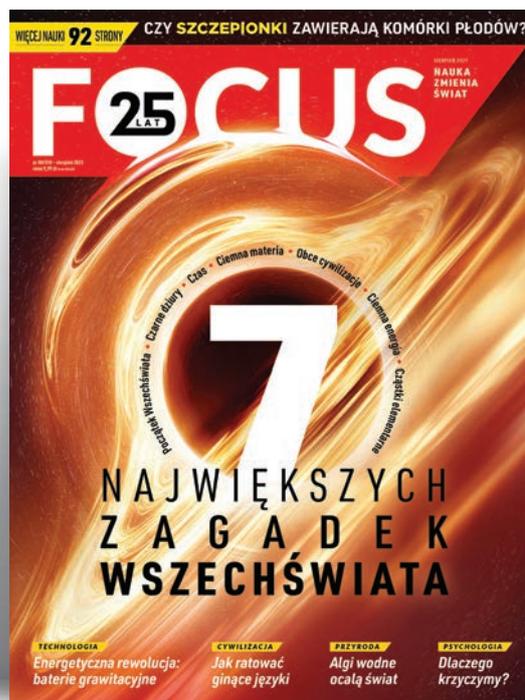
To podczas tej samej wyprawy Morosiniego doszło do zniszczenia ateńskiego Partenonu, gdy wenecki pocisk trafił w skład amunicji urządzony przez Turków w starożytnej świątyni na Akropolu. Morosini, owiany sławą bohatera wojennego, osiągnął swój cel: został dożą. Zmarł jednak zaledwie 6 lat później, w 1694 r.

4

Lew sprzed Arsenału nosi wiele śladów po wojnach. Co ciekawe, są wśród nich **runy wryte w średniowieczu przez wikińskich wojowników na służbie bizantyjskiej.** Napisali m.in. „Wyrył te znaki Asmund wspólnie z Asgeirem i Thorleifem, Thordem i Ivarem, na polecenie Harolda Wysokiego, chociaż Grecy po namyśle nam tego zabronili!”

NIE PRZEPLĄCAJ W KIOSKACH

PRENUMERATA 3 miesiące GRATIS



89,99zł
~~119,88zł*~~



3 NUMERY
FOCUSA GRATIS



MAGAZYN
PRZED PREMIERĄ
W KIOSKACH



DARMOWA
DOSTAWA



NIELIMITOWANE
ZNIŻKI NA
KSIĄŻKI

Oferty szukaj na:
www.kultowy.pl

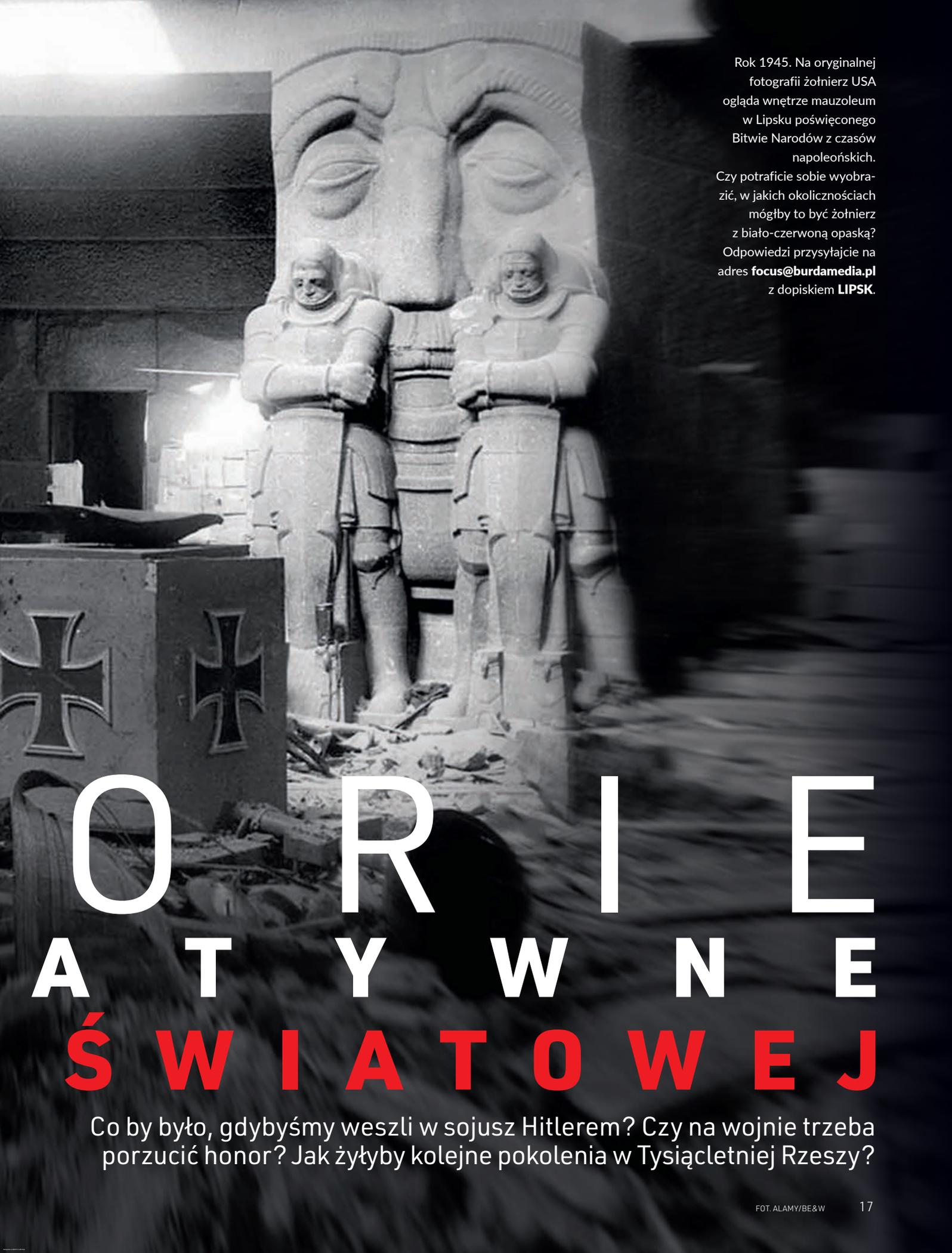
w kategorii: **FOCUS**

*Cena w kioskach

NA CELOWNIKU



H I S T A L T E R N I I W O J N Y

A black and white photograph showing a soldier in a trench, looking towards a massive stone face sculpture. The soldier is wearing a helmet and a uniform. The stone face is part of a larger sculpture, possibly a mausoleum. The scene is dimly lit, with a bright light source on the left. The soldier's face is partially visible in the foreground, looking towards the right. The stone face is the central focus, with its eyes closed. The soldier is standing in a trench, and there are some objects on the ground. The overall mood is somber and reflective.

Rok 1945. Na oryginalnej fotografii żołnierz USA ogląda wnętrze mauzoleum w Lipsku poświęconego Bitwie Narodów z czasów napoleońskich. Czy potraficie sobie wyobrazić, w jakich okolicznościach mógłby to być żołnierz z białą-czerwoną opaską? Odpowiedzi przysyłajcie na adres focus@burdamedia.pl z dopiskiem **LIPSK**.

O R I E A T Y W N E Ś W I A T O W E J

Co by było, gdybyśmy weszli w sojusz Hitlerem? Czy na wojnie trzeba porzucić honor? Jak żyłyby kolejne pokolenia w Tysiącletniej Rzeszy?

Dokładnie czterdzieści lat temu wydano w Polsce, z dość sporym opóźnieniem, słynną książkę „Człowiek z Wysokiego Zamku” Philipa K. Dicka.

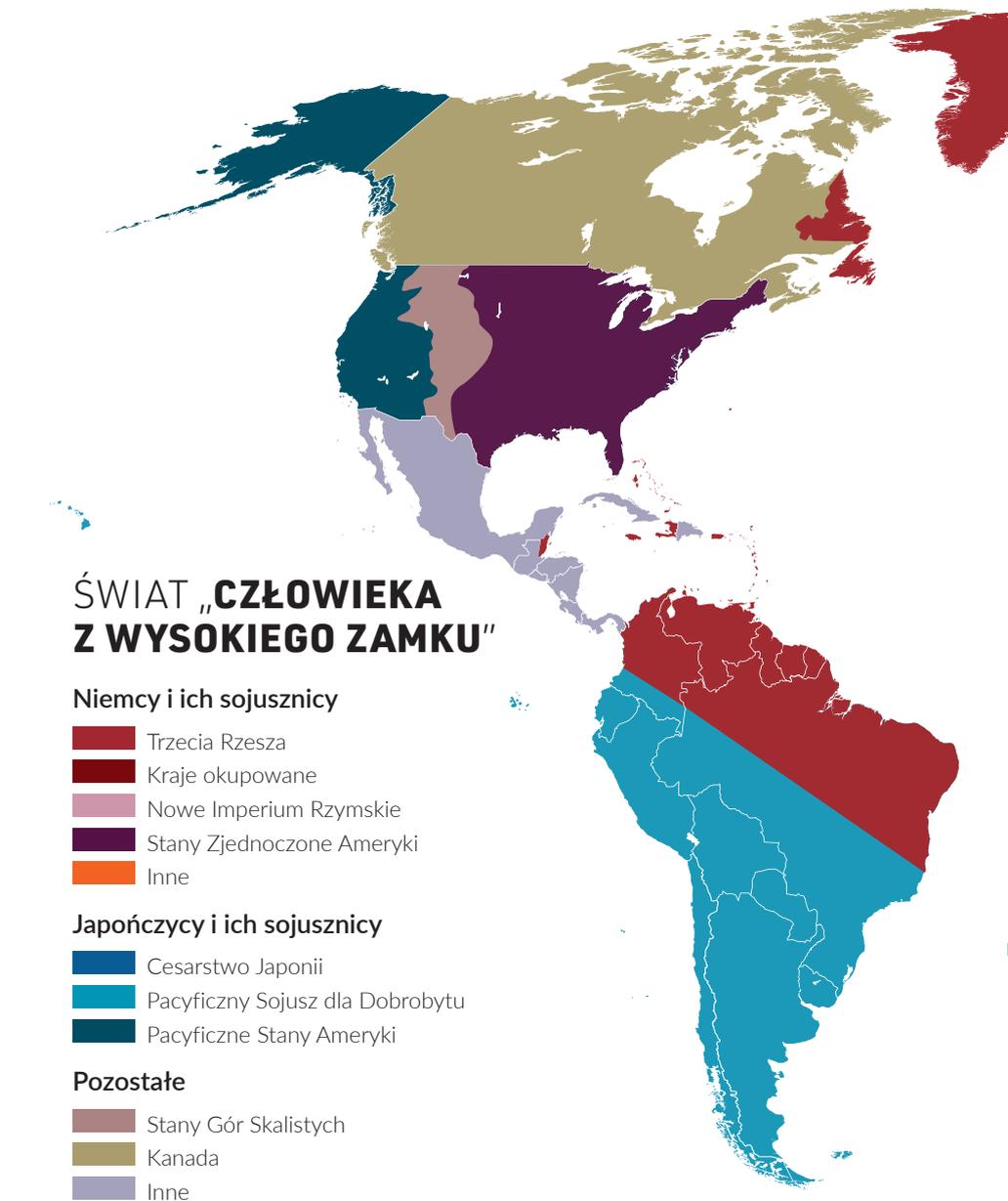
Tej kultowej i klasycznej już powieści science fiction stuknie w przyszłym roku sześćdziesiąt lat. Pokazywała ona alternatywną wizję historii, w której hitlerowcy wspólnie z Japonią pokonali Rosję i Wielką Brytanię, zwasalizowali USA. Alternatywną wizję historii bądź alternatywną rzeczywistość, świat równoległy – nie to jest najistotniejsze. Ważne, że pomysł chwycił.

Rzecz jasna Dick nie był pierwszym, który bawił się w historyczne „co by było, gdyby”. Już w starożytności Tytus Liwiusz zastanawiał się, czy Rzym oparłby się Aleksandrowi Wielkiemu, gdyby ten nie zmarł przedwcześnie i z czasem skierował swoje kroki na zachód.

Przez wieki wiele znakomitości zajmowało się historią alternatywną czy – nieco bardziej naukowo umocowaną – tzw. historią kontrfaktyczną. Owszem, część badaczy jej nie lubi, inni traktują jednak jako wartościową rozrywkę i ćwiczenie umysłowe. Wszystko zależy oczywiście od poziomu danej wizji.

Dziś trudno uwierzyć w taką alternatywną wizję historii, w której – wedle słów Dicka – Niemcom „ledwo udało się z największym trudem wygrać wojnę, a natychmiast zabrali się do podboju planet”. Nie to jest jednak sednem jego książki, skupiającej się bardziej na wątkach filozoficznych niż sensacyjnych. Dlatego wciąż inspiruje, czego dowodem niedawny serial oparty na powieści.

Rzecz jasna „Człowiek z Wysokiego Zamku” zachęcił innych pisarzy do snucia odważnych wizji dotyczących tego, co by było, gdyby Hitler wygrał wojnę. W 1966 r. Austriak Otto Basil w „Brunatnej rapsonadii” odmalował świat rządzony przez elity III Rzeszy ogarnięte okultystyczno-pogańską obsesją i brutalnie dławiące podbite narody: „Tam, gdzie dawniej stały obozy zagłady, wznosiły się teraz sztuczne pagórki – właściwie, jak mówiono, usypane z czaszek – zamki warowne zakonu SS oraz walhalle ariozofów”. Ludobójstwo doprowadziło do tego, że „Żyd» stał się



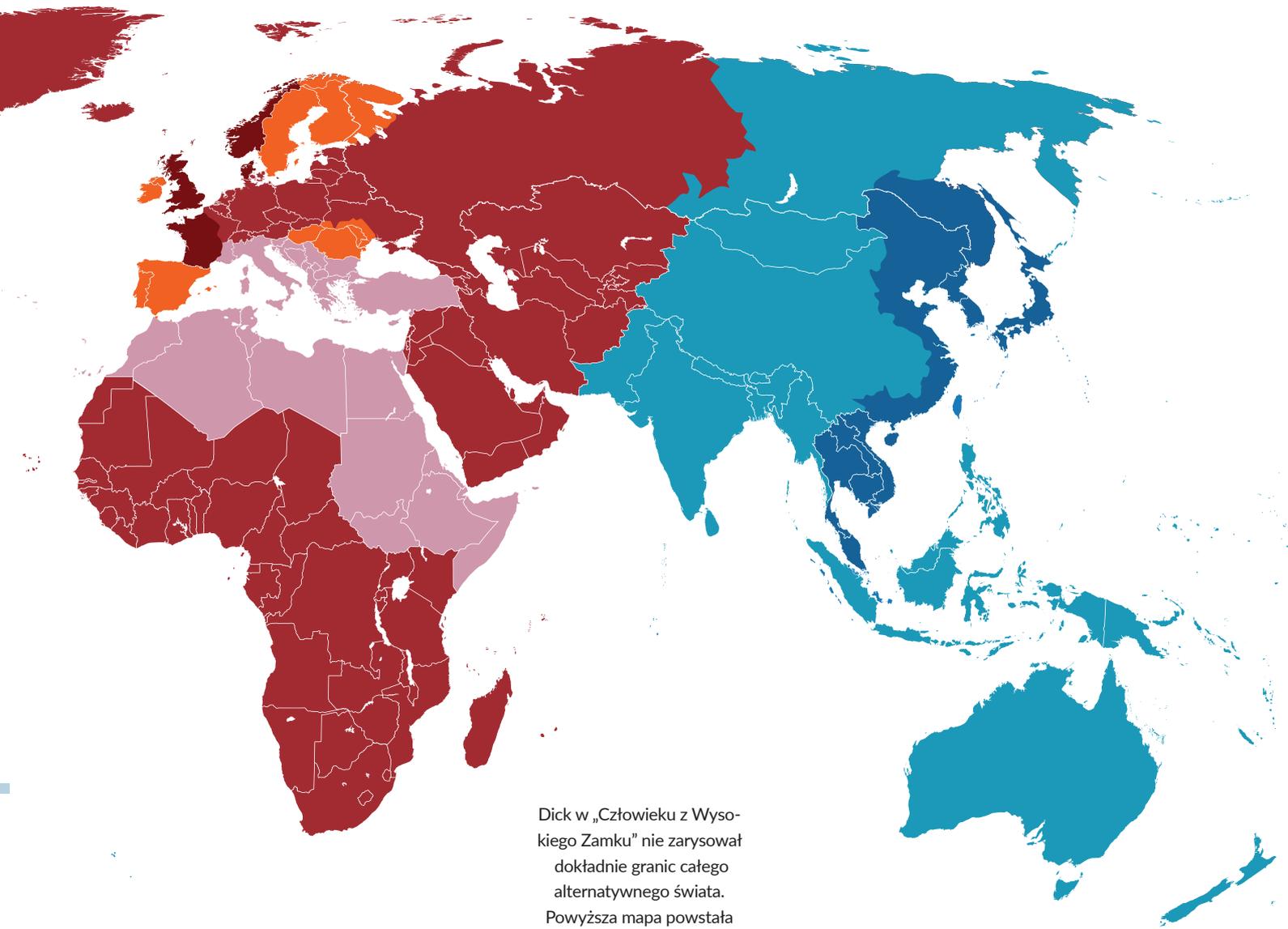
pojęciem ontogenetycznym, historycznym, abstrakcyjnym terminem. Żydów spotykało się jeszcze tylko w postaci wycpanych eksponatów w muzeach historii naturalnej, gdzie pokazywano ich jako odszczepioną od właściwego pnia ludzkości, zwyrodniałą gałąź hominidów”.

A to tylko brutalny wstęp do kolejnej wojny, w której zmierzą się dawni sojusznicy: Niemcy i Japonia. Ostatnią nadzieją hitlerowców są prace nad wunderwaffe, superbombą, prowadzone na północy, wśród lodów, gdzie wznosi się lodowy Sfinks SS i arktyczny zamek Graala...

Tę fascynację hitlerowską gigantomanią i przerażenie bezwzględnością reżimu widać również w thrillerze „Vaterland” Roberta Harrisa (1992). Tam jednak świat

nie został całkowicie zdominowany przez hitlerowców. Podzielili się nim z Amerykanami i wszyscy najwyraźniej chcieliby już zacząć normalnie żyć. Dałoby się, gdyby tylko zdołano przykryć niewygodną prawdę o nazistowskim ludobójstwie. Bo informacje o zagładzie Żydów albo nie zostały potraktowane poważnie, albo z różnych względów je zmarginalizowano lub wręcz przypisano innym nacjom. W tym świecie nie funkcjonuje w społecznej świadomości coś takiego jak „niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny”.

W tym numerze postanowiliśmy skupić się na Polsce i Polakach. Przedstawiamy trzy różne opowiadania – a więc beletrystykę, nie artykuły – utrzymane w konwencji historii alternatywnej.



Dick w „Człowieku z Wysokiego Zamku” nie zarysował dokładnie granic całego alternatywnego świata. Powyższa mapa powstała na podstawie powieści, serialu i domysłów fanów.

W pierwszym, zatytułowanym „Był sobie Polak, Rusek i Niemiec”, Ziemiowit Szczerek zastanawia się nad konsekwencjami ewentualnego sojuszu Polski z Hitlerem i wspólnego pójścia na wojnę przeciw Związkowi Sowieckiemu. Czy z ofiar zamienilibyśmy się w katów? Za kogo byśmy się uważali? Jak wiele by to zmieniło? Czy nasza część Europy stałaby się nie do poznania?

Z kolei Aleksandra Zaprutko-Janicka w opowiadaniu „Zamach na króla Polski” idzie innym tropem. Pokazuje historię bardziej w skali mikro. Przedstawia historię operacji polskiego podziemia, do której nigdy nie doszło, aczkolwiek była podobno planowana. To atak na generalnego gubernatora Hansa Franka jadącego

z wizytą do Zakopanego, w odwiedziny do „germańskich” górali. Zamach ma swoją cenę, pytanie czy warto ją zapłacić. Czy w walce z totalitarnym reżimem można być jednocześnie skutecznym i honorowym?

Trzecie opowiadanie to „Ucieczka ze Starego Boru”, łączące kilka wątków. Po pierwsze wykorzystuje ono – w alternatywnym świecie triumfującej III Rzeszy – klisze i postacie znane ze współczesnej kultury masowej. Po drugie pokazuje ewentualny los Polski północno-wschodniej w świecie rządzonym przez aryjskich szaleńców. Po trzecie zahaczamy o dosyć aktualną tematykę starcia nauki i pseudonauki. Ta ostatnia w III Rzeszy była motywowana ideologicznie. Obsesyjnie

widziała w wielu dziedzinach wiedzy „żydowskie” i „komunistyczne” wpływy, a sama gotowa była dać wiarę w najbardziej absurdalne teorie, byle były odpowiednio „aryjskie”.

Na koniec zaś, po opowiadaniach, przypominamy sylwetkę naszego największego twórcy science fiction Stanisława Lema – urodzonego 100 lat temu. W jego przypadku II wojna światowa nie była odległą wizją, lecz tragiczną kartą z życiorysu. Do tego proponujemy wywiad z pisarzem SF Marcinem Podlewskim. Opowie nam o tym, dlaczego historia alternatywna jest tak popularna, a jednak Lem unikał jej jak ognia. ■

Adam Węglowski



„Hitler z Rydzem podpisali pakt o nieagresji, potem o wojskowej współpracy. Przez Korytarz poszła autostrada, Gdańsk do Niemiec, Zaolzie do Polski, a potem – huzia na Józia, jak to mówią. Na Józia Stalina, oczywiście”

BYŁ SOBIE POLAK,

No, kiepsko, kiepsko. Siedzimy w Moskwie i zastanawiamy się, co będzie dalej. Udało się, ale co z tego. Moskwa przepalona na wylot, Stalin zwiął na Sybir, za Ural.

– No i co teraz – pyta pijany Franz, raz za razem próbując rozbić kryształowy kieliszek o ścianę, ale był, cholera, ten kieliszek dziwnie mocny, albo Franz zbyt już giętki od ruskiej wódki. Co więcej, Franz,

czego nie chciałem mu z litości wypominać, nie trafił ani razu w lustro, w które rzucał. – I co teraz, pójdziemy na, kurwa, Kamczatkę? Bić Ruskich?

– Na Kamczatce – też byłem wstawiony i mi się czknęło – to Japończycy.

– No tak, Japończycy – odparł Franz, z którym się znałem jeszcze ze szkoły. Ja też zresztą byłem Franz, tylko Franz-Josef, bo mi tak dali na imię po panu cesarzu. A właściwie Franciszek Józef miałem na imię, bo moi starzy, choć tak samo z cze-

skiej rodziny jak rodzice Franza, uznali, że są Polakami, a nie Czechami, bo od dwóch pokoleń mieszkali w Krakowie. Żeby było weselej, starzy Franza uznali z kolei, że nie ma się co bawić w jakieś stany pośrednie, w jakąś czeskość, i uznali się od razu za Niemców.

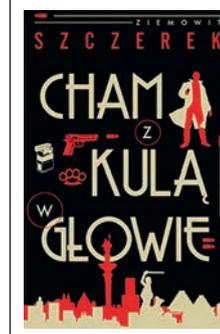
Po Wielkiej Wojnie, jak już Polacy zaczęli Austriaków rozbrajać na ulicach Krakowa i wszystko zaczęło być mniej więcej jasne, spakowali się i wyjechali całą rodziną do Wiednia. A po Anschlussie



Rok 1935. Wizyta w Berlinie ministra spraw zagranicznych RP Józefa Becka (drugi z lewej). Obok niego Joachim von Ribbentrop, Adolf Hitler, Konstantin von Neurath i Hermann Göring.



Ziemowit Szczerek – pisarz, dziennikarz, i tłumacz. Koncentruje się na Europie Wschodniej, podróżach i historii, w tym historii alternatywnej. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Nike, laureat Paszportu „Polityki”. Jego kryminał „Cham z kulą w głowie” (2020), osadzony w alternatywnej Polsce, która nie doświadczyła II wojny światowej, zostanie niebawem zekranizowany przez HBO. Poniżej prezentujemy jego premierowe opowiadanie.



RUSEK I NIEMIEC

Franz, oficer austriackiej armii, stał się oficerem armii Wielkich Niemiec.

No a ja – Franciszek Józef Wuttke – cóż. Skończyłem studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, nudne jak cholera prawo, a chciało się trochę życia użyć, to poszedłem do wojska, co okazało się najbardziej idiotycznym pomysłem na jaki kiedykolwiek wpadł człowiek chcący używać życia. Chciała dusza w szwoleżery, to niech śpi godziny cztery. W szwoleżerach generalnie było tak, że wszyscy,

ale to dosłownie wszyscy, którzy tam szli, szli po to, żeby golić wódrzę aż do dnia i obłapiać pannice – ale mało kto myślał, że po czymś takim jest jednak zazwyczaj kac, i na drugi dzień na ćwiczeniach to człowiek już tak bardzo nie marzy o tej szwoleżerze jak poprzedniego wieczora. Tylko o łóżku. A ta cała słynna kawalerska ostryga, co to niby na kaca rano w szklance kwaśna śmietana, jajko i jakieś inne świństwa, tylko pogarsza sprawę a nie polepsza, bo jedź tu na koniu dokoła

placu i odbijaj się dupą od siodła, jak ci ta ostryga ślizga się po żołądku, chce ci się rzygać, a przede wszystkim masz sraczkę taką, że nic tylko paść przed ołtarzem w Mariackim i krzyżem leżeć tydzień.

No ale po podpisaniu umowy wojskowej Rydz–Hitler to ja, kapitan *Franciszek Józef Przechadzka*, stałem się członkiem Biura Koordynacji wspólnych działań polsko–niemieckich podczas ataku na Sowiety. Oznaczało to tyle, że jeśli którykolwiek dowódca, polski czy niemiecki, >



W Polsce znane były symbole do złudzenia kojarzące się z hitlerowską swastyką: góralskie krzyże, czyli słowiańskie swarżycze (na dwóch pierwszych zdjęciach).

Czy w odpowiednich warunkach pod sztandarami z tymi bliźniaczo podobnymi znakami walczyłyby wspólnie – i dokonywały zbrodni – Wojsko Polskie i armie Hitlera?



› pomylił się w czymkolwiek i chciał ze-
pchnąć na kogoś winę, to zawsze była to
oczywiście wina kogoś z Biura. I często
moja. Albo mojego partnera po stronie
niemieckiej, a tym – ku mojemu zasko-
czeniu – okazał się mój szkolny kolega
Franz Kokoschka. Austriak i od dwóch
dekad wiedeńczyk.

No i cóż, dalej już wszystko wiadomo.

Hitler z Rydzem podpisali pakt o nie-
agresji, potem o wojskowej współpra-
cy. Przez Korytarz poszła autostrada,
Gdańsk do Niemiec, Zaolzie do Polski,
a potem – huzia na Józia, jak to mówią.
Na Józia Stalina, oczywiście.

– No i co teraz – dopytywał się
Franz w tej Moskwie. – Bo ja nie wiem
co oni mogą jeszcze wymyślić. Razem
z RONĄ odbijać Rosję po kawałku, aż
po Władywostok?

– No co – wzruszyłem ramionami.
– Za wojny domowej przecież tak było.
Bolszewicy podbili wszystko.

– No ale po cholere nam Władywostok,
Franek – zapytał Franz, i zapytał po
polsku. Co jakiś czas wracaliśmy do pol-
skiego, to znaczy on wracał. Znał prze-
cież z dzieciństwa, z polskiej galicyjskiej
szkoły w Krakowie.

– No nam, znaczy Polakom, na pewno
nie jest potrzebny – wzruszyłem ramio-
nami. – My wiemy doskonale, że wcho-
dzić w głąbię Rosji, o... to błąd. Tam się
człowiek zatracza, tam się każde imperium
zatracza. I co najwyżej zamienia w impe-
rium ducha. Jak świętej pamięci Orda,
jak świętej pamięci Napoleon, świętej
pamięci Sowiety...

– No, nie takiej jeszcze świętej, jeszcze
siedzą tam, daleko, na Sybirze.

– I jak dla mnie – niech siedzą. Niech
się staną azjatyckim narodem. No ale wy
– wy macie plany światowe. Globalne.
Chcecie Ameryce rzucać wyzwanie. To
rzucajcie. Ale do tego musicie być impe-
rium na cały kontynent, ba, na dwa kon-
tynty, albo i na trzy...

– A – Franz się zamachnął porządnie
i udało mu się w końcu rozbić kieliszek
o ścianę, ale w lustro nie trafił. – A co mnie
to, kurwa, obchodzi. Ja to chcę do Wiednia
wrócić. Przeraża mnie to wszystko, tfu...

Wyszliśmy z naszego biura, które
umieszczono ze względów prestiżowych

na Kremlu (podobnie jak Biura Koordynacyjne współpracy z innymi sojusznikami Rzeszy). Lało jak diabli, a przecież dopiero wrzesień był, co prawda późny, ale jednak wrzesień. U nas jeszcze się lato tak naprawdę nie kończyło, do babiego trzeba było jeszcze czekać, a tu – już zimą pachniało. Bo żeby choć jesienią. Tu już, na nasze, listopad był, cholera. A my – niedopici.

Franz mówi, że nie znał wcześniej tego słowa. „Niedopity”. Jak nie znał, jak on z Krakowa. Co za cymbał. Znał, znał. Tylko udawał, że nie zna. „Polak to się musi zesrać, żeby się czuć dostatecznie pijany” – mówił.

– Gówno – mówi teraz. – Gówniane gówno.

No więc zimno, mokro, śmierdzi paloną gumą i się dziwnie światło latarni odbija w mokrych kamieniach Placu Czerwonego, no – dawnego Placu Czerwonego, bo teraz to się nazywał Plac Adolfa Hitlera, uroczyście otwarty przez marszałka Timoszenkę, Wodza Wszechrusi, którego wzięliśmy do niewoli dwa lata temu pod Moskwą, i który od tej pory był tak gorliwym nazistą, że się w głowie nie mieści.

– Precz z krwawą dyktaturą Stalina – krzyczał Timoszenko, ubrany już w ładny, ronowski mundur z gałkami, listkami, pętelkami i tymi wszystkimi atrybutami marszałkowania na patkach, pagonach i wyłogach, i w niemieckim hełmie z rosyjskim dwugłowym orłem przyspawanym z przodu. – Precz z obrzydliwym komunistycznej kreatury państwowej, która sprowadziła nasz dumny naród na dno! Dziś dedykuję ten najważniejszy w życiu każdego narodu plac imieniu naszego wyzwoliciela: kanclerza sojuszniczej Rzeszy Adolfa Hitlera!

Pamiętam, też padało. Hitler, co w sumie było zabawne, stał wtedy na podium w stahlhelmie z okapem, pozazdrościł widać wyglądu Timoszenki, albo, kto wie, *vis virilis* Mussoliniemu, który też lubił w hełmie pobiegać po mównicach.

Był też, a jakże, Rydz. I, a jakże, również w hełmie. I tak stali, jedno jajo przy drugim jaju, Hitler, Timoszenko, Rydz, Mussolini, Horthy, Tiso, Pavelić, Szandruk i cała ta reszta. Nie wszyscy, niestety, w hełmach, bo wtedy to naprawdę cudownie by razem

Na Arbacie trwała defilada ciągła i pijacka, wielki pochód rosyjskich nacjonalistycznych oddziałów, które wprowadziły tam rządy sołdeckiego buta i butelki wódki, bijąc nielicznych pozostałych jeszcze w Moskwie Żydów czy ludzi zidentyfikowanych przez nich jako komunistów, szczając po murach, awanturując się w restauracjach i w szyby strzelając z pistoletów

wyglądali. I deszcz by się tak pięknie po nich wszystkich lał, woda, zimna, brudna, bo z tego brudnego moskiewskiego nieba, wydawałoby się, od razu brudna woda się leje, tak, zdecydowanie, coś było nie tak z klimatem i światłem we Wschodniej Europie. Coś, co sprawiało, że choćby się na głowie stawało, i tak to wszystko wyglądało tak, jakby się miało zaraz powiesić.

I też tak się czułem.

– Chodź, Franz – powiedziałem. – Na Kitaj-Gorod. Do „Imperatora” na wódkę. Inaczej się nie da.

– Nie da się – zgodził się Franz. A co miał robić? Iść na kwaterę? Patrzyć na rozwalony bombami kwartał, który widział z okna? Żeby patrzył na to zbombardowane – i co – żeby czuł dumę z dobrze wykonanego rozkazu Hitlera, który kazał im być „bez litości”? Który kazał im gardzić słowiańskimi podludźmi, a potem sprzymierzył się z Polakami? No mógł w sumie patrzeć i czuć. Ale wiedział, że pić jednak lepiej nie do lustra. Bo wcześniej czy później trzeba będzie je stłuc. A samemu jak się tłucze lustro to – w zasadzie – trochę bez sensu. Nawet jeśli się w nie trafi. Teatr bez widzów. Czwarta, bardzo dosłowna, ściana.

A w Kitaj-Gorodzie, gdzie zniszczeń od bomb było stosunkowo najmniej, mieliśmy jedną knajpę, ulubioną, oddaloną od Arbatu przede wszystkim, bo na Arbacie trwała defilada ciągła i pijacka, wielki pochód rosyjskich nacjonalistycznych oddziałów, które wprowadziły tam rządy sołdeckiego buta i butelki wódki, bijąc nielicznych pozostałych jeszcze w Moskwie Żydów czy ludzi zidentyfikowanych przez nich jako komunistów, szczając po

murach, awanturując się w restauracjach i w szyby strzelając z pistoletów.

Niemcy nie lubili tam chodzić, jak twierdzili, ze względów estetycznych. Powoli schodziło z nich uebermenschowskie powietrze, bo ładując się coraz głębiej we Wschód widzieli, że nie da się tu działać inaczej niż współpracować z tymi cholernymi podludźmi słowiańskimi: Polakami, Ukraińcami, Rosjanami. O Słowakach i Chorwatach nie wspominając, choć to jednak trochę inna historia. No ale pewnych rzeczy przeskoczyć nie mogli, i choć sama niemiecka soldateska też lubiła i w ryj dać, i się odlać pod murem, to jednak szybko tak się porobiło, że Arbat zaczęli Niemcy niezbyt formalnie nazywać „podludzkim ściekiem”, i nie bardzo chętnie tam chodzili.

Polacy też nie chodzili na Arbat, ale głównie dlatego, że bali się, że zarobią w zęby. W ogóle, szczerze mówiąc, trochę strach było w polskim mundurze po ulicy chodzić, i choć sprawców chuligańskich czy bandyckich ataków na naszych żołnierzy – jeśli ich złapano – karano ostro, i to najczęściej przez publiczne powieszenie albo rozstrzelanie, to jednak, no cóż, tutaj wszystko się jakoś zaczynało zawiązać, podkręcać – im więcej niemieckiego terroru, tym bardziej bano się Niemców. I tym bardziej odbijano to sobie na Polakach.

Do Niemców bali się podskakiwać. O, lubili oglądać niemieckie auta, sprzęt, gdy czołgi jechały, to wszyscy wychodzili na ulice i machali nazistowskimi flagami ze swastyką i rosyjskimi – z krzyżem św. Andrzeja. Ale jak szli Polacy, to rzucali ukradkiem, zza winkła – a to jakimś ogryzkiem, a to psim gównem. A niemieccy żandarmi, w tych swoich >

Te lustra, niepotłuczone, były dla nas dowodem, że RONA-owcy albo o tej knajpie nie wiedzieli, albo jeszcze jej nie odkryli, albo – co najbardziej prawdopodobne – bali się do niej chodzić. Bo im Niemcy zakazali. Bo cóż: tam, gdzie oni pili, tam lustra zawsze pierwsze pękły. Strzelali do tych lusterek, rzucali w nie kuflami, kieliszkami, szklankami, krzesłami, samymi sobą – i jakoś tak to zawsze było. A tu – nie. A tu – grzecznie. Tu – sami Niemcy, Polacy i jacyś rosyjscy melancholicy z Koordynacji. Bo tu, w zasadzie, tylko Koordynacja piła. Czasem się trafiali jacyś Węgrzy, Rumuni, Czesi. Ukraińców sporo. Włosi czasem tu nawet dojeżdżali

▷ skórzanych płaszczach, z ryngrafami na piersiach, z deszczem i śniegiem spływającym ze stahlhelmów, tylko rechotali.

Knajpa nazywała się „Imperator–kora-bl” i za barem stał w niej wielki włochaty chłop, który z jakiegoś powodu nigdy nie zdejmował kapelusza. Miał na imię Lew a na nazwisko Rafiejenko, ale twierdził, że jest wołżańskim Niemcem i jego rodzina dawniej nazywała się von Raffé. Strasznie pierdział, dlatego nazywaliśmy go Luftraffe.

Luftraffe, w każdym razie, ewidentnie lubił na siebie patrzeć. Albo patrzeć na innych. Luster w środku było co nie-miara. To nas pocieszało. I to, te lustra, niepotłuczone, były dla nas dowodem, że RONA-owcy albo o tej knajpie nie wiedzieli, albo jeszcze jej nie odkryli, albo – co najbardziej prawdopodobne – bali się do niej chodzić. Bo im Niemcy zakazali. Bo cóż: tam, gdzie oni pili, tam lustra zawsze pierwsze pękły. Strzelali do tych lusterek, rzucali w nie kuflami, kieliszkami, szklankami, krzesłami, samymi sobą – i jakoś tak to zawsze było. A tu – nie. A tu – grzecznie. Tu – sami Niemcy, Polacy i jacyś rosyjscy melancholicy z Koordynacji. Bo tu, w zasadzie, tylko Koordynacja piła. Czasem się trafiali jacyś Węgrzy, Rumuni, Czesi. Ukraińców sporo. Włosi czasem tu nawet dojeżdżali, patrzyli na ten krajobraz i niebo sine jak spizowa kopuła nad Walhallą i kłękli w żywy kamień.

– I co dalej, Wuttke? – Pytał mnie pijany Franz–nie–Josef Kokoschka, gdy już podnieśliśmy kieliszki i stuknęliśmy się – co będzie z nami?

– Z nami–nami? – zapytałem.

– Nie – odparł. – Z Europą.

– A co ma być. Nic. Jak zwykle.

– Komuniści wyparci za Ural, dobrze. Francuzi współpracują z nami, dobrze.

– Kto współpracuje ten współpracuje – przypominałem.

– E... – machnął ręką. – Opozycja. Zawsze jest jakaś opozycja.

– Ta opozycja do was strzela.

– A my do niej. No, ale idzie jej na pomoc cała siła Anglosasów... a wiesz, to nie jest Europa. I to jest problem. Jedną nie–Europę wyrzuciliśmy za Ural, a druga na nas idzie.

– Morze – pokiwałem głową – kontra Ląd. A my w środku.

– Morze? Ląd?

– Tania rosyjska filozofia – pokiwałem głową. – Oni zawsze byli efekciarzami – powiedziałem, ale nie udało mi się ukryć zazdrości.

– Są wielcy w tym co robią – odparł Franz, zapalając papierosa. – Wszystko jedno co robią. Jak srają, to robią gównem na cały świat. Jak robią literaturę – to robią ją tak, że cały świat się trzęsie z przejścia. Jak zaczynają sami siebie nienawidzić, to mówią między sobą po francusku, nawet jeśli cała Francja na



nich idzie i nimi gardzi. Jak robią rewolucję, to taką, że cały świat sra ze strachu.

– A jak przegrywają?

– To przegrywają do końca. Z rozmacchem. Po całosci. Tak, że sami głowę pod topór jeszcze podłożą i będą płakać: tni, tni kacie, a rąb! Tak, żebym czuł, bo mi się należy!

– Nie przegrali do końca.

– Przegrają. Ale nie o to chodzi.

– Tak. Chodzi o to, żebyście wy Niemcy umieli tak wygrać jak oni przegrają



Rok 1935. Defilada Wehrmachtu podczas wizyty w Berlinie Józefa Becka. Podobna mogła się odbyć w Moskwie, gdybyśmy poszli za Hitlerem... Czy Polaków z Galicji przekonałby ich dawny sentyment do cesarza Austro-Węgier Franciszka Józefa, zwanego z racji swych licznych spacerów „Starym Prochazką” (Przechadzka)?

– powiedziałem i roześmiałem się takim rodzajem chichotu, który, wiedziałem, rozsierdzi Franza, bo zawsze go sierdził.

Ale on też się zaśmiał.

– Wiesz – odpowiedział. – Ja nic nie chcę ci sugerować, ale krytykujesz mnie z pozycji Polaka. Który nie ma ani kawałka tego rozmachu co Rosjanie, wszystko jedno czy w przegrywaniu, czy w wygrywaniu. Nie wspominając o Niemcach...

– Co o Niemcach? – też zapaliłem i nalałem nową kolejkę. – Z tego co pamiętam, to obaj jesteśmy z tej samej szkoły, Fra-

nek... Obaj wywodzimy się z tego samego świata, mówiliśmy tym samym językiem w szkole – tu znów przeszedłem na polski. Franz się skrzywił.

– Co się krzywisz – podniosłem kieliszek. – Ty sam wybrałeś. Wybrałeś bogatego wuja, a nie biednego kuzyna. Na zdar – przypomniałem sobie jedyne słowa po czesku, które znałem.

– Moja rodzina wybrała – machnął ręką Franz. – Zresztą – jakie to ma znaczenie. Chodzi o to, żeby tak wygrać, jak oni przegrają.

Krakusik z Wiednia chce wygrać z Rosją od Atlantyku po Pacyfik. Tak z nią wygrać, jak ona przegra.

Parsknąłem śmiechem dokładnie w momencie, kiedy wypijałem wódkę. Parsknąłem, i cały elegancki abehrowski mundur Franza pokrył się moją śliną zmieszaną z ciężkim ruskim samogonem.

– Donnerwetter! – wrzasnął Franz zrywając się z miejsca. Kilku wehrmachtowskich oficerów siedzących wokół nas podniosło niechętnie oczy. Dziewczyny, >



Rok 1935. Kolarze niemieccy wykonują nazistowski salut przed warszawskim Grobem Nieznanego Żołnierza, po złożeniu pamiątkowego wieńca.

› które z nimi siedziały, blond wysztafirowane Rosjanki – również.

– Siadaj – odpowiedziałem. – Wiesz co powiedział nasz wielki Wieniawa.

– Nie wiem.

– To sobie kup zestaw „Myśli wielkich Polaków”. Nic ci nie będzie.

– Jak jesteś taki mądry – powiedział – to sam noś popluty mundur.

– Dawaj – odpowiedziałem, rozpinając swoją kurtkę mundurową, piękną, oliwkową, z wężykami na karmazynowych patkach kołnierza. – Bierz moją i nie hańb.

Franz się zawahał. Zastygł tak w pół ruchu, tym bardziej że Niemcy na niego patrzyli. Ale i kilku Polaków w porzpinanych mundurach. Uśmiechali się zachęcająco. Przynajmniej mnie się tak wydawało.

– Nie – odpowiedział Franz. – Nie zamienię się.

– Nie podoba ci się polski mundur?

– A skąd – powiedział szczerze Franz. – Bardzo ładny.

– To może się go wstydzisz? – wyszczerzyłem się. – Zaraz wszystkim tu ogłoszę, że oto Franciszek Kokoszka, urodzony w Krakowie, wstydzi się założyć sojuszniczny mundur. Bo on, Franciszek Kokoszka, z którym w szkole po polsku Austriaków wyklinałem, woli być Niemcem, bo tak mu wygodniej... takie to „Meine Ehre heisst Treue”, proszę bardzo...

– Halt die Klappe, Wuttke – syknął Franz, i wiedziałem, że z tego wszystkiego wstydzi się najbardziej jednego: że kiedyś, dawno temu, był małym Polakiem. Urodzonym w polskim mieście.

– To dawaj – powiedziałem i rozpiąłem guziki do końca. Podałem mu. On, patrząc mi wściekle w oczy, podał mi swoją kurtkę.

Jacyś Niemcy parsknęli. Parsknęły Rosjanki. Franz nalał sobie wódki i wypił.

– No i cóż – powiedziałem ja, dopinając jego Waffenrock. Popatrzyłem na gapę ze swastyką na piersi. – Co teraz?

– Co teraz? – Zapytał Franz jak papuga. Pasowała do niego ta polska kurtka. Ale stracił na pewności siebie. Jak gdyby powietrze z niego spłynęło. – Co teraz – z czym?

– Z Europą. Anglosasi atakują, a tu jeszcze z Rusami sprawa niewyjaśniona. I jak ją wyjaśnić?

Nalałem sobie jeszcze raz. Dla animuszu. A czułem animuszu, czułem.

– Nie da się – podjąłem po niemiecku. – Musielibyśmy, hm... – pogładziłem gapę po główce, jakbym gołębia w ręce głaskał, na co Franz znów się skrzywił. Co on się tak krzywi i krzywi, pomyślałem, pewniem mu krzywy. – Musielibyśmy iść do końca. Do Azji. Do Pacyfiku. Wybijać. Mordować. Zakopywać. Zасыpywać.

– Zасыpywać?

II – Musimy z nimi zrobić szlus! – podlizał się Franz oficerowi i również do niego przepił.
– A co znaczy zrobić szlus? – zapytałem.
– Wymordować?
– Wystarczy ich zagnać gdzieś – machnął ramieniem w moim mundurze Franz. – Gdzieś tam... na Kołymę, na północ... niech tam żyją. Niech tam wyginą.
– Bardzo pięknie – pokiwałem głową. – Rezerwat zrobić. Dla wszystkich Słowian. Polaków, Czechów...
– Ciszej, na litość boską – syknął po polsku Franz. – Wiesz, że to już... nieaktualne...
– Strategicznie nieaktualne.

– Rosjan zasypywać – powiedziałem głośno, aż któraś z dziewczyn stolik obok, siedząca na kolanach jakiegoś oficera Wehrmachtu popatrzyła na mnie iz-kosa. Szepnęła coś oficerowi. Ten odgonił się jak od muchy, ale ta położyła mu dłoń na klatce piersiowej i to już go ugotowało.

– Mój panie – zwrócił się do mnie.
 – Nie walczymy z Rosjanami, a z bolszewikami. To zasadnicza różnica.

– Racja, mój panie – powiedziałem mu. – Bolszewicy. Zrobić z nimi koniec.

– A – podniósł w górę swój koniak oficer. – To tak.

– A bolszewicy to Rosjanie – odpowiedziałem. – W zdecydowanej większości. Więc jest mi bardzo przykro, ale będziemy musieli z jednymi Rosjanami bić innych Rosjan. Jeśli drogie są panu uczucia narodowe – mówiłem, jakbym się nakokainował – to musi pan wiedzieć jak wielka musi to być trauma dla naszych rosyjskich braci.

– Braci to przesada – skrzywił się pijany oficer. – Sojuszników. Strategicznych.

Dziewczyna zeszyła z jego kolan. Pocałowała go i skierowała się w kierunku toalety.

Skąd oni tu koniak mają? – przemknęło mi przez myśl. – Pewnie Ruscy ich poją wódą zaprawioną bejcą, a ci się nawet nie zorientowali.

– Musimy z nimi zrobić szlus! – podlizał się Franz oficerowi i również do niego przepił.

– A co znaczy zrobić szlus? – zapytałem. – Wymordować?

– Wystarczy ich zagnać gdzieś – machnął ramieniem w moim mundurze Franz. – Gdzieś tam... na Kołymę, na północ... niech tam żyją. Niech tam wyginą.

– Bardzo pięknie – pokiwałem głową. – Rezerwat zrobić. Dla wszystkich Słowian. Polaków, Czechów...

– Ciszej, na litość boską – syknął po polsku Franz. – Wiesz, że to już... nieaktualne...

– Strategicznie nieaktualne.

– Strategia jest nauką życia... e... mądrości... – chciał jakoś wybrnąć Franz. – Oddawaj kurtkę.

– Czekaj – powiedziałem. – Jeszcze nie wyszła. Pójdę w niej do domu, oddam do czyszczenia.

– Ani mi się waź! – warknął. – Oddawaj!

– Ale co się stanie z nami? – zapytałem. – Z Niemcami? My, Galicjanie, wyrosliśmy w niemieckiej tradycji, austriackiej. W tym mundurze czuję to wybitnie. No i co czuję, jako Niemiec? Że idąc tam, dalej, na wschód, staniemy się nimi. Rosjanami.

– Jak to? – odpalił wściekle kolejnego papierosa.

– A co czyni Rosjan Rosjanami? Czy nie właśnie to, że muszą zuć największy na świecie kawałek mięsa? Którego nawet lew by nie przeżuł swoimi wielkimi szczękami? Jak chcesz zniemczyć tę wielką ziemię? To raczej ona cię uwielkoziemi...

Przerwałem, bo dziewczyna z kolan oficera Wehrmachtu wróciła na salę. I to bynajmniej sama. A ja przypomniałem sobie, że przecież właśnie tam, w stronek kibla, jest sala prywatna, taka, która zawsze była wynajmowana oficerom, ale wysokim oficerom. Od pułkownika w górę. Że tam Lufttraffe wyjątkowo wybitnych gości gości. I że czasem nasi szefowie z Koordynacji zabierali tam swoich rosyjskich partnerów, żeby spotkać się z nimi na możliwie własnym gruncie. Nie arbackim. Bo na Arbacie to Niemcy się czuli, cóż... niezbyt komfortowo. Musieliby tam wejść z miotaczami ognia, żeby zaprowadzić porządek.

W każdym razie za dziewczyną stał rosyjski generał, którego stamtąd wywabiała. Stał i dyszał wódką i wściekłością.

W mundurze RONY, gładko ogolony na twarzy jakby zabiej, a jednak szlachetnej – coś jakby Kazach wbił się w wielkim pędzie w Bałta i zmieszał z nim dokumentnie, kazachska komórka obok bałtyckiej komórki, bałtycki nos obok kazachskiego oka.

– Który Polaczek chce zakopywać Rosjan?! – ryknął urżnięty jak prosię generał, i to po niemiecku ryknął, żeby wszyscy słyszeli. – Wy... – nachylił się nad Franzem siedzącym w polskim mundurze i otwierającym już usta do odpowiedzi. Tak, jego palce się już zaciskały, ale nie w pięść, nie w pięść bynajmniej, bo wskazujący jego palec na mnie już zaczynał wskazywać. I już się nawet zacząłem podnosić z krzesła, gdy generał wyrznął Franza z całej siły z otwartej dłoni w pysk.

– To chyba nie ten, Wasilij... – szepnęła Rosjanka, ale było już za późno.

Franz wyskoczył zza stolika jak na sprężynie i rzucił się na generała. Pochpnął go, a ten stracił równowagę, runął na ścianę. Na lustro. Lustro spadło na ziemię i się potłukło. A za nim kolejne i kolejne. Spadały lustra, spadały, a ja widziałem tylko Franza w polskiej kurtce mundurowej i niemieckich bryczesach w każdym spadającym szkle.

– Nie będziesz – ryczał Franz – ruska świnię obrażał niemieckiego munduru!

I wtedy ja zacząłem się śmiać.

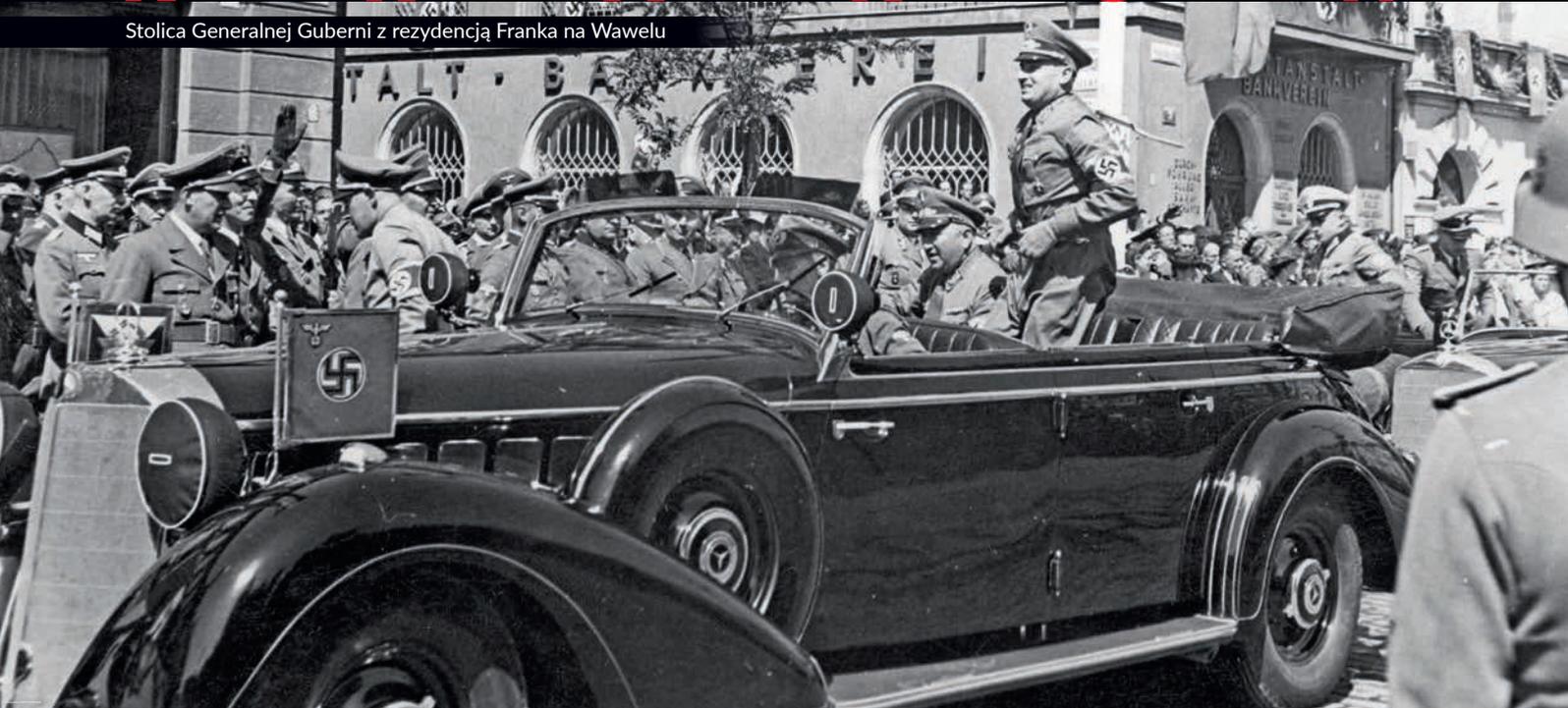
Spodnie, w końcu, to też mundur. ■

Ziemowit Szczerek



K R A K Ó W

Stolica Generalnej Guberni z rezydencją Franka na Wawelu



ZAMMACH NA KRÓLA POLSKI

„Od swoich ludzi wiedział, że ta kanalia będzie jechać do Zakopanego. Wybrali miejsce, czas, najlepszych żołnierzy do tej roboty. Frank znalazł się dosłownie na wyciągnięcie ręki”

Władek nie spał całą noc. W głowie analizował każdą sekundę wczorajszego dnia. Przewijał je powoli, niczym klatki taśmy filmowej w kinowym projektorze. Wszystko było doskonale zaplanowane. Od swoich ludzi wiedział, że ta kanalia będzie jechać do Zakopanego. Wybrali miejsce, czas, najlepszych żołnierzy do tej roboty. Frank znalazł się dosłownie na wyciągnięcie ręki, a dłoń Władka była już zaciśnięta na rękojeści rewolweru. Wystarczyło tylko wycelować i pociągnąć za spust, ale tego nie zrobił...

Z ponurych myśli wyrwały go pokrzykiwania przekupek na Rynku Podgórkim. Wiejskie baby z Bonarki, Woli Duchackiej i Kurdwanowa przydreptały, jak co dzień, z koszykami, żeby w kramach przed kościołem św. Józefa lub bez ceregieli – prosto w koszyków – sprzedać to, co udało się zaoszczędzić w gospodarstwie. Niby rok temu Frank ogłosił, że włącza różne wsie w granice Krakowa, jednak dla tych prostych kobiet nic się nie zmieniło. Nadal zakładały kolorowe chusty, bojczyły po swojemu i dzień za dniem robiły wszystko byle przetrwać. Nawet jeśli nielegalna sprzedaż jednej kury, kilku jajek i paru ziemniaków mogła je kosztować życie. Niemcy byli bezwzględni i cała nadzieja w tym, że baba trafi na pazernego, który wyżej ceni



Aleksandra Zaprutko-Janicka
– historyczka i publicystka, współzałożycielka portali Ciekawostki Historyczne oraz Wielka Historia. Autorka kilku książek, m.in. „Okupacja od kuchni” (2015). **Interesuje się dwudziestoleciami międzywojennym oraz II wojną światową od strony życia codziennego.**

porządny obiad i łapówkę niż egzekwowanie prawa.

Władek przeciągnął się na drewnianym łóżku, które nieprzyjemnie skrzypnęło. Spuścił stopy na podłogę, potarł ręką szczękę, wyczuwając szorstki zarost, i z niechęcią wstał. Był piekielnie zmęczony. Czuł jakby dźwigał na plecach życie wszystkich ludzi, których ten drań jeszcze zdąży zabić. Spojrzał na siebie w niewielkim odrapanym lustrze wiszącym

na ścianie. Skrzywił się. Owszem, parę razy w życiu zdarzyło mu się wyglądać tak źle, ale zwykle było to po całonocnej pijatyce. Jeszcze przed wojną z kolegami z oddziału w wolne dni podrywali rozśmiane panny i roznosili kolejne speluny. Teraz większość z nich nie żyje, część siedzi w oflagu, a kilku – jak on – dalej próbuje walczyć z okupantem.

Wczoraj zmogło go co innego: porażka. Po tym, co się wydarzyło i marszu szosą zakopiańską w gorący czerwcowy dzień, nie miał już na nic siły. Powrót do miasta zajął mu przeszło trzy godziny. Zdjął tylko buty i – jak stał – padł na łóżko. Teraz musiał się jednak wziąć w garść. Dowódca czekał na szczegółowy raport.

Ta świadomość go otrzeźwiła. Z dzbanka stojącego na umywalni nalał wody do miednicy i energicznie ochlapał twarz, którą przetał szorstkim płótnem. Wyjął z szuflady sfatygowany grzebień. Brakowało mu już kilku zębów, jednak nadawał się do użytku. Władek przeczesał włosy, po czym przejechał po nich zwilżoną dłonią. Następnie sięgnął po pas, brzytwę, mydło i pędzel. Starannie naostrzył ostrze brzytwy, spokojnie namydlił twarz i metodycznie zaczął skrobać zarost. Dawniej po zakończeniu tej czynności skropiłby jeszcze twarz wodą kolońską, ale kogo teraz było stać na takie luksusy? Zwilżoną ściereczką obmył się z wczorajszego potu i włożył świeżą koszulę. >

➤ Rozległo się pukanie do drzwi mieszkania. Pokój, który podnajmował w przyległej do Rynku Podgórskiego kamienicy, znajdował się na ostatnim piętrze. Raczej nie zdarzało się, by zbłądził tam ktoś przypadkowy.

– Panie Andrzeju – zawołała gospodyni. – Panie Andrzeju! – powtórzyła głośniej, odwracając głowę w stronę jego pokoju. – Ktoś do pana. Mówi, że ma wiadomość od pana kuzynki.

Andrzej. Andrzej Rempalski. Tak nazywał się od kilkunastu miesięcy. Już niemal nikt nie zwracał się do niego prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Dla kolegów z konspiracji był „Ćwiekiem”, a oficjalnie Andrzejem Rempalskim.

Dobrze wiedział, co znaczy ta „wiadomość od kuzynki”. Wzywał go komendant. Ruszył pospiesznie do drzwi, minął gospodynię i podszedł do gościa. Począł w milczeniu aż kobieta zrozumie aluzję i odejdzie. Skinął jej z wdzięcznością głową i wyszedł na korytarz. Stała przed nim piegowata dziewczynka z dwoma długimi warkoczami, w jasnej sukience. Widywał ją już wcześniej – wyglądała jak wcielenie niewinności. Takie łączniczki były najlepsze.

– „Baca” wzywa. W południe u szewca – powiedziała cicho i pognęła w dół po schodach.

Zanim Niemcy zamknęli krakowskich Żydów w getcie, Szmul był najlepszym szewcem po tej stronie Wisły. Kiedy musiał pójść za mury, zabrał ze sobą ukochane narzędzia i tam na miejscu zelował buty esesmanom. Wierzył, że jak długo będzie dla nich użyteczny, nie zabiją go.

Połączony z warsztatem sklep obuwniczy Szmula w jednej z podgórskich uliczek przejęła Polka, Jadwiga, i otworzyła tam mikroskopijną kawiarenkę. Kobieta od dawna była zaprzysiężona, a jej lokal pełnił rolę skrzynki kontaktowej. Władek wyjął z kieszeni zegarek na łańcuszku i sprawdził, która godzina. Była dopiero 8.

Miał szmat czasu, żeby przemyśleć, co powie dowódcy.

– W podwórzu – powiedziała Jadwiga, widząc „Ćwieka” w drzwiach swojej kawiarenki. Właśnie kończyła nakładać ziemniaki z kapustą i skwarkami na talerz jednego z gości. W wojennych realiach w większości kawiarni na próżno było szukać kawy, która stała się towarem deficytowym, jednak kotleta spod lady z ziemniakami można było bez problemu dostać.

Władek skinął jej lekko głową i ruszył przez zaplecze. W podwórku kamienicy, oparty o pompę od studni, stał wysoki mężczyzna, grubo po czterdziestce. Komendant krakowskiego inspektoratu AK

podpułkownik Wojciech Wayda nie wykonał żadnego ruchu, jednak z Władek wyraźnie widział gniew w jego oczach. To spojrzenie aż go zmroziło.

– Co tam się do cholery wydarzyło? – wycedził „Baca” przez zęby.

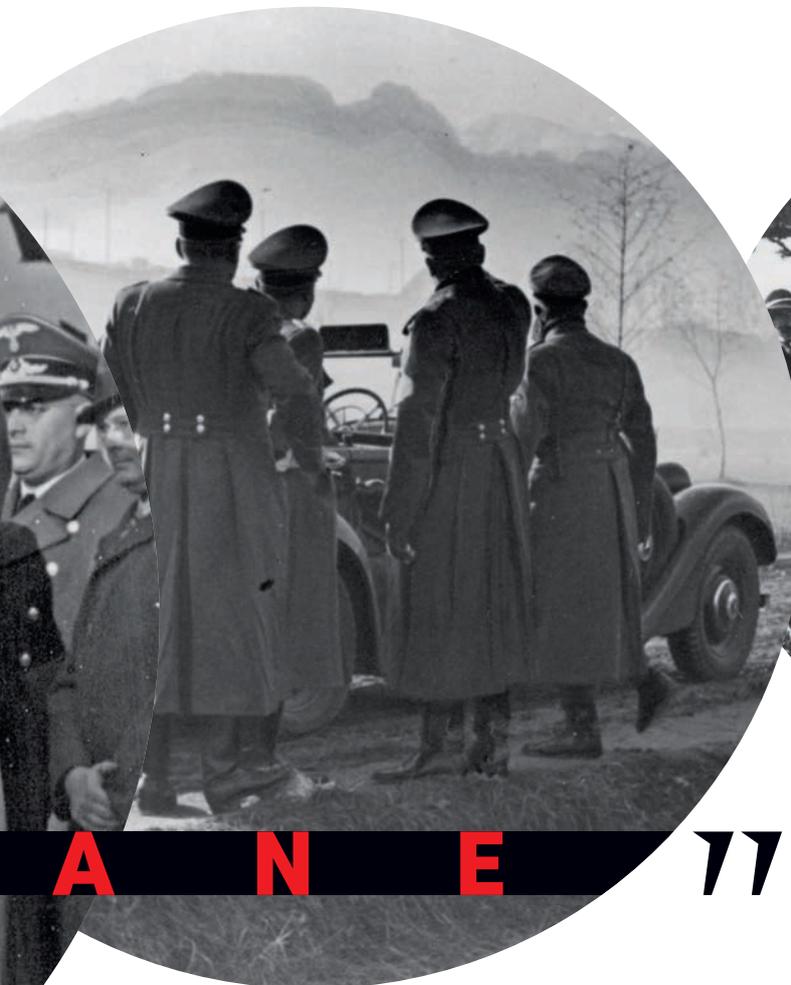
Generał gubernator Hans Frank z niesmakiem odstawił filiżankę na swoje okazałe antyczne biurko.

„Ta nowa sekretarka nie umie nawet zaparzyć przyzwoitej kawy. Oby przynajmniej dokumenty trzymała w nienaganym porządku. W mojej kancelarii nie może być mowy o żadnych potknięciach. Führer powierzył mi zbyt dużą odpowiedzialność!” – pomyślał.



ZAKOPI

Miejsce spotkań Franka z góralami kolaborującymi z Niemcami



A N E

11

Na szczęście jechał do Zakopanego, do przyjaciół. Już dawno zaplanował tę wizytę. Chciał osobiście się przekonać, jak idzie wydawanie kenkart góralom. Nie spodziewał się kłopotów, raczej serdecznego przyjęcia

Od dawna towarzyszyły mu nieustanne pokrzykiwania robotników i odgłosy budowy, które rozpoczynały się niemal o świcie, a kończyły dopiero późnym popołudniem. Już przestał je zauważać. Jego rezydencja na Wawelu z każdym dniem nabierała nowych kształtów, a dzięki usprawnieniom, jakie zlecił, żyło się w niej jeszcze wygodniej. Był dumny. Dumny z tego, gdzie jest, do czego doszedł oraz z tego, co – jak sądził – jeszcze przed nim.

Pozbył się z Wawelu tego cholernego Otto Wächtera i jego panoszącej się wszędzie żony. Z zachodu sprowadził sobie eleganckie antyczne meble i dzieła sztuki, którymi urządzał kolejne pokoje. Dużo czasu zajęło mu co prawda uporządkowanie kwestii Żydów w mieście i okolicy, jednak z Polakami poszło łatwiej. Trochę aresztowań, egzekucji i udało się zabrać im większość nadziei. W stolicy jego własnego udzielnego państewka musiał panować spokój. Nawet jeśli miałyby wybić lub zgłodzić wszystkich tych „podludzi”.

Uporządkował papiery na blacie, chwycił za słuchawkę telefonu i prze-

kręcając tarczę wybrał jeden z numerów wewnętrznych. Dłuższą chwilę czekał. Już myślał, że sierżant, który zwykle obsługiwał tutejszą centralkę, opuścił swoje stanowisko. A co gdyby akurat dzwonił z Berlina! Zaczął się nawet zastanawiać czy wysłanie go na front będzie odpowiednią karą... Po chwili usłyszał jednak trzask słuchawki podnoszonej z widełek. „Szykować samochód!” – rzucił tylko, odłożył słuchawkę i ruszył do drzwi.

Na zdobionym korytarzu dobiegł do jego uszu dziecięcy śmiech, a po chwili usłyszał tupot na kamiennej podłodze.

– Tatusiu! – dobiegło do jego uszu znajome wołanie. Po korytarzu biegła 7-letnia Brigitte w sukieneczce w marynarskim stylu. Na głowie miała uroczy kapelusik, spod którego wysypywały się jej jasne włosy. Córka nie przejmowała się tym, ile ma jeszcze do zrobienia, jaka odpowiedzialność na nim ciąży. Kochała go bezgranicznie, rozjaśniając jego dni swą obecnością.

Pomyślał z niechęcią o drugiej Brigitte, swojej żonie. Co prawda doczekał

się z nią aż piątki dzieci, dzięki czemu z naddatkiem spełnił swój obowiązek wobec ojczyzny, jednak najchętniej zapakowałby ją do skrzyni i odesłał w siną dal. Ciągle robiła mu wstyd tym, jak pazernie gromadziła w Generalnym Gubernatorstwie biżuterię, kosztowności i żywność, które wypychała później do swojej rodziny do Rzeszy. Wolał nie sprawdzać, skąd bierze na to pieniądze. W dodatku Brigitte w kółko jeździła do getta kupować kolejne futra i precjoza. Docierały do niego z Berlina plotki na temat tego, co mówią o jego żonie i o tym, co dzieje się w Krakowie. Miał tylko nadzieję, że Hitler nie pomyśli o nim źle. Nie zamierzał w tej chwili tego roztrząsać. Uściskał swoją ulubienicę, wziął ją na ręce i powoli ruszył w stronę wyjścia na dziedziniec.

– Dokąd idziesz tatusiu? – zapytała Brigitte.

– Załatwiać ważne sprawy dla Rzeszy – rzucił bez zastanowienia. Zwykle to wystarczało, by dziewczynka odpuściła i wróciła do swoich dziecięcych spraw. >

➤ – Chcę iść z tobą! Proszę! Proszę! – spojrzała na niego błagalnym wzrokiem i zarzuciła mu ręce na szyję. Na dziedzińcu postawił dziewczynkę na ziemi.

– Nie dzisiaj. Nie będzie mnie przez cały dzień – odpowiedział stanowczo. W jednej chwili oczy jego córki napęły się łzami. Z ciężkim sercem odwrócił się i ruszył w stronę samochodów, które już czekały.

Pierwszy stał jego elegancki kabriolet, w którym miejsca z przodu zajmował kierowca w mundurze Wehrmachtu, a tylna kanapa czekała tylko na niego. Za nim był samochód, w którym jechała obstawa. W Krakowie było spokojnie, jednak nigdy nie wiadomo co tym polskim szaleńcom może strzelić do głowy za miastem. Muszą wreszcie zrozumieć, że wojna się skończyła i żadnej Polski już nie będzie. Zamiast utrudniać mu życie powinni się wreszcie z tym pogodzić.

Na szczęście jechał do Zakopanego, do przyjaciół. Już dawno zaplanował tę wizytę. Chciał osobiście się przekonać, jak idzie wydawanie kenkart góralom. Nie spodziewał się kłopotów, raczej serdecznego przyjęcia. Uśmiechnął się nawet pod nosem na wspomnienie ostatniej wizyty. Rozsiadł się wygodnie w kabrioletcie. „Jechać” – rzucił do kierowcy.

Właściwie cieszył się, że wizyta w Zakopanem wypadła akurat dzisiaj. Pogoda była tak piękna, że zapowiadała się przyjemna przejażdżka. Mijali kolejne ulice, a ludzie pospiesznie umykali im z drogi. Po przejechaniu Wisły wjechali do getta. Tłok, brud, wychudzone i obdarte postaci snujące się po ulicach... Nie był to przyjemny widok, ale przecież konieczny.

Kiedy wyjechali z Krakowa na południe, mogli się odprężyć. Samochód nieco zwolnił w miejscu, gdzie szosa wspinała się na pierwsze góry za miastem. W pewnym momencie kierowca zatrąbił na załadowany niemal pod niebo sianem wóz drabiniasty. Koń, gdy usłyszał nagły ostry dźwięk, szarpnął się w stronę pobocza, łamiąc dyszel. Wóznica coś krzyknął, jednak kiedy zauważył niemieckie mundury, natychmiast zdjął czapkę z głowy i skulił się w sobie. „To go nauczyć” – pomyślał Frank. Gdy zjechali

z kolejnego wzniesienia, w oddali zamajaczyła wieża kościoła w Mogilanach.

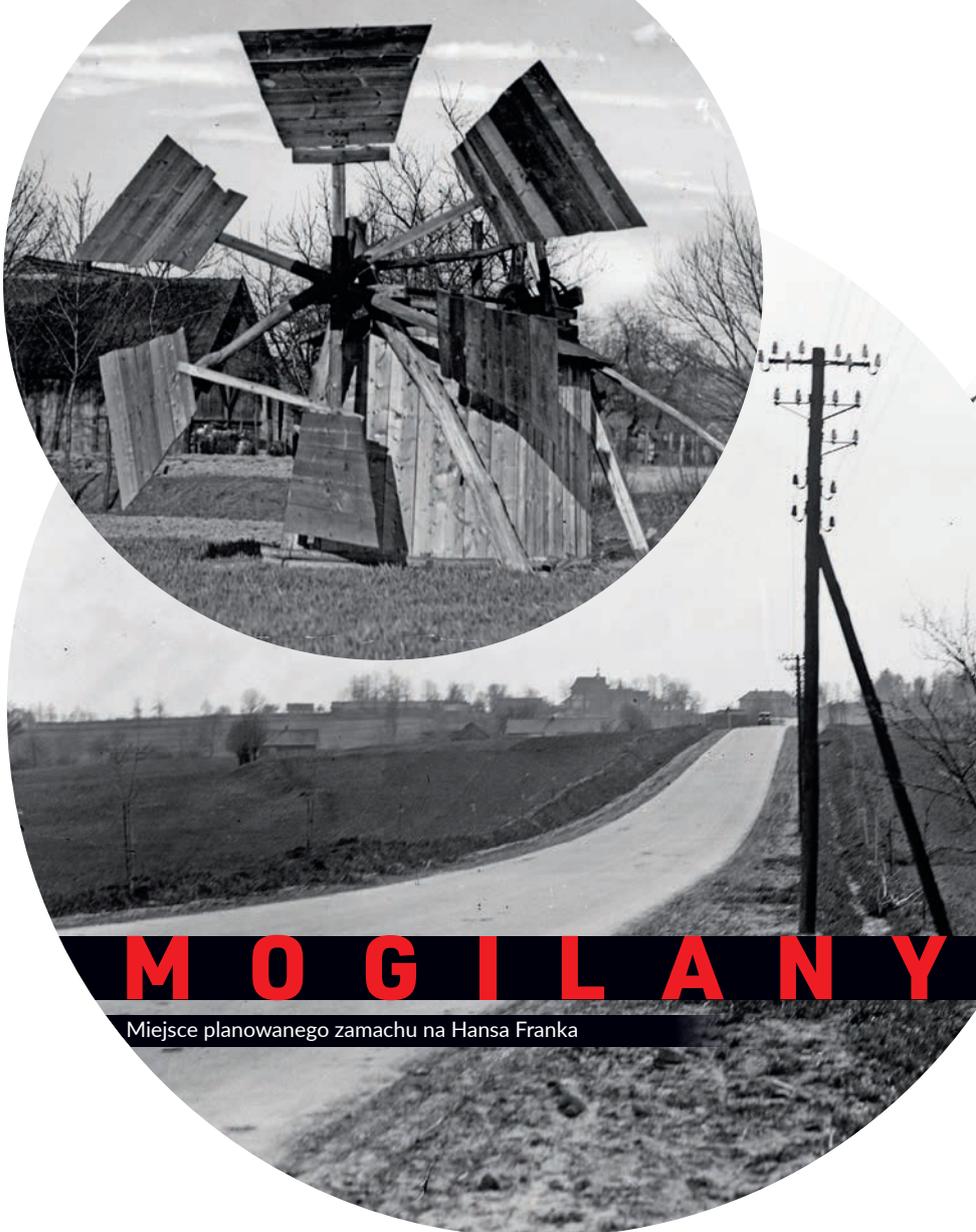
Akcję planowali od kilku tygodni. Ludziom „Ćwieka” udało się dowiedzieć, że tego dnia Hans Frank będzie jechał do Zakopanego na spotkanie z przedstawicielami górali. Wiadomo było, że wybierze tę trasę i że nie będzie miał ze sobą wielkiej obstawy. Nie spodziewał się przecież, że ktoś śmiały podnieść na niego rękę. Tę jego butę chcieli wykorzystać przeciwko niemu. Zakończyć jego krwawe rządy raz na zawsze.

Uznali, że najlepiej będzie spróbować w Mogilanach, a na miejsce akcji wybrali okolice kościoła. Czemu akurat tam? Świątynia stała na wzgórzu, dzięki czemu

jak na dłoni widać było szosę przecinającą pola od strony Krakowa. Będą wiedzieli, kiedy konwój się zbliży. W dodatku nawet niemieckie samochody, wspinając się na szczyt mogiłańskiej, trochę zwalniały, co tylko ułatwiało im zadanie.

Na miejsce przyjechali już dzień wcześniej, ukryci na pace ciężarówki. Niespokojną noc przed akcją przesпали na sianie w stodole należącej do jednego z członków miejscowej komórki AK. Rano ich gospodarz przyniósł dzbanek żołądźdźki, ale z domieszką prawdziwej kawy. Pachniała wybornie.

– Ku poczekaniu – powiedział z lekkim uśmiechem i podał im metalowe kubki. Władek nie zastanawiał się nawet, ile to musiało kosztować. Był zwyczajnie wdzięczny, czując jak czarny płyn rozlewa przyjemne ciepło po jego organizmie.



M O G I Ł A N Y

Miejsce planowanego zamachu na Hansa Franka



Staszek podbiegł do samochodu eskortującego Hansa Franka i przez opuszczoną z powodu upału szybę wrzucił do środka granat. Ten wybuch niemal natychmiast, eliminując wszystkich w środku

Po tym jak hitlerowski starosta powiatu przejął miejscowy dwór na swoją rezydencję kręciło się tu sporo Niemców i lepiej było nie szwendać się bez celu. Niemał do ostatniej chwili siedzieli w domu swojego gospodarza. Plan był prosty. Gdy samochód Franka zbliżył się do kościoła, zza dwóch potężnych drzew rosnących przy jego bramie wyskoczą ludzie Władka. Jeden miał wrzucić granat do samochodu eskortującego generalnego gubernatora, dwaj kolejni mieli strzelać. On sam miał się ukryć za załomem muru przy okazałej dzwonnicy. Był najlepszym strzelcem z nich wszystkich i miał tylko jedno zadanie: podbiec do auta i upewnić się, że Frank nie wyjdzie z tego żywy. Kawalek dalej, za kościołem, mieli

czekać łącznicy, którzy wyprowadzą ich po akcji. Akcję miał przeprowadzić mały, ale wypróbowany oddział.

– Staszek granat, „Świsł” i Antek, wystrzelacie. Ja poluję na tę kanalię, a „Koński” nas ubezpiecza. No dobrze chłopcy, za Polskę – powiedział z poważną miną Władek, po czym wyszedł przez wrota stodoły na skąpane w porannym słońcu podwórze.

* * *

Dochodziła godzina 9. Lada chwila samochód z Hansem Frankiem miał się pojawić na horyzoncie. Władek palił już drugiego papierosa i oparty o mur kościoła obserwował, co działo się na rynku. Nagle rozległ się cichy gwizd. To był ich umówiony sygnał. „Koński” wypatrzył na drodze kabriolet.

Powoli, by nie wzbudzać niczych podejrzeń, ruszyli na swoje pozycje. Dzięki temu, że tak dobrze było widać drogę, mieli czas na przygotowanie. Władek rzucił niedopałek na ziemię i roztarł go butem. Sprawiał wrażenie spokojnego, jednak w rzeczywistości każdy jego mięsień napięty był do granic możliwości. Kątem oka widział jak jego chłopcy zajmują swoje miejsca. Teraz pozostało tylko czekać.

Stał jego rewolweru ciążyła nieznosnie w kieszeni, sprawiając, że każda sekunda rozciągała się do wieczności. Samochody Franka i jego obstawy z każdą chwilą zmniejszały dystans. Dokładnie tak, jak przewidywali, obie maszyny zwolniły nieznacznie, wjeżdżając pod górę. Władek wiedział, że nie ma odwrotu. „Teraz!” – krzyknął.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Staszek podbiegł do samochodu eskortującego Hansa Franka i przez opuszczoną z powodu upału szybę wrzucił do środka granat. Ten wybuch niemal natychmiast, eliminując wszystkich w środku. Rozpędzone auto zjechało z drogi i wjechało w wóz stojący na rynku. „Świsł” i Antek strzelali. Udało im się postrzelić kierowcę Franka, jednak samochodu nie zdołali zatrzymać. I na tę okoliczność byli przygotowani. Władek już czekał z rewolwerem w ręce.

Odgłos strzałów zaalarmował wartowników przy mogiłańskim dworze, jednak ich zdążył zatrzymać „Koński”. Wszystko było jak idealnie ułożone kostki domina, które przewracają się jedna po drugiej. Władek także ruszył do akcji. Podbiegł do samochodu Franka, wyciągnął przed siebie odbezpieczoną broń, wycelował i wtedy ją zobaczył.

Obok tego bydlaka siedziała mała dziewczynka w marynarskim ubranku. Jej twarz z wielkimi, okrągłymi ze strachu oczami, była wykrzywiona z przerażenia. Kurczowo trzymała się ramienia „króla Polski”, a on za wszelką cenę próbował ją ochronić. To była jego córka. Gdy to zrozumiał, ręka mu zdrząła. Jak mógł to zrobić? Zabić go na oczach dziecka? Patrząc jak krew rozpryskuje się po strzale i koloruje jej jasne włosy na czerwono? Ten moment zawahania wystarczył. Kierowca Franka szarpnął kierownicę, odbijając w prawo i pomknął szosą w dół. Od strony dworu biegli kolejni Niemcy. Wszystko było stracone. Jeśli chcieli przeżyć, musieli się natychmiast ulotnić. Władek włożył dwa palce do ust i gwizdnął na swoich ludzi.

Zaczęli się wycofywać, ostrzeliwując. Prowadzeni przez miejscowe dziewczyny błyskawicznie zniknęli między opłotkami, każdy idąc w swoją stronę. Łączniczki wiedziały co robią i bezpiecznie wyprowadziły ich różnymi trasami do umówionego punktu. Tam znowu się spotkali. Jego ludzie patrzyli na niego wilkiem. Jak to możliwe że nie strzelił? Zmarnował okazję, która może się już nigdy nie powtórzyć!

Antek nie wytrzymał. – Jak on ci się wywinął? Miałeś go jak na patelni! Broń ci się zacięła?

– Czemu nie strzeliłeś? Coś ty najlepszego zrobił? – dopytywał wściekły „Świsł”. – Cała robota, tyle planowania... Mało nam łbów nie odstrzelili. Wszystko poszło na marne, bo nie mogłeś raz wystrzelić!

– Nie mogłem – odpowiedział Władek. Czy koniecznie musiał im to wszystko tłumaczyć, mówić o dziecku w aucie i honorze polskiego oficera, nim wydadzą na niego wyrok? ■

Aleksandra Zaprutko-Janicka



UCIECZKA ZE STAREGO BORU

„Tak zwana Święta Puszcza wcią się na przestrzeni setek kilometrów i składała z kilku części. Najmłodszą stanowił Młody Las rozciągający się od Wilczego Szańca na południe po Morze Mazurskie”



Adam Węglowski – redaktor naczelny magazynu „Focusa Historia”, pisarz, autor kryminałów retro, poszukiwacz zapomnianych polskich tropów w popkulturze oraz mazurskich tajemnic. Ostatnio wydał audiopowieść grozy „Pastor” i kryminał „Czarny kogut”.

Smigłowiec minął Kolumnę Führera w Wilczym Szańcu. Za szybą mignął znicz, płonący w wyprostowanej prawicy stumetrowego spiżowego Hitlera. Wódz wyglądał niczym Kolos Rodyjski – tyle że miał na głowie wieniec z liści dębu, a nie słoneczną koronę starożytnego boga, zaś drugą ręką obejmował dziecko o nordyckich rysach. Gigantyczny płomień rozpalano nad prawicą założyciela Tysiącletniej Rzeszy jedynie w Noc Walpurgii, tak samo jak ogień na zabytkowych Wieżach Bismarcka rozsianych po całym świecie od Chile po Nową Gwineę, od Prus Wschodnich po Tanzanię. Od kiedy rakiety von Brauna zrównały z ziemią Statuę Wolności w Nowym Jorku, monument z Wilczego Szańca nie miał sobie równych. Wprawdzie ostatnio krążyły plotki w zachodnich marchiach Rzeszy, jakoby posąg zniszczyli sabotażyści, a zamiast niego uruchomiony został gigantyczny hologram, jednak lecący śmigłowcem powietrznodesantowcy w brunatnych beretach z dywizji SS Otto Skorzeny nawet nie patrzyli na Kolumnę, by to sprawdzić. Obserwowali bacznie transportowanego więźnia – zarośniętego typa z opaską na oku. Kiedyś był ich kameratem, a stał się najbardziej notorycznym przestępcą Tysiącletniej Rzeszy.

Tym renegatem był obersturmführer Siegfried von Plessen. Pochodził z wielkopolskiego rodu, ale swoim życiem dowiódł, że nie nadawał się na salony. Najpierw dzięki junak z Hitlerjugend, potem bohater kampanii wschodniej. W trakcie desantu w Nowym Leningradzie stracił oko, a podczas ofensywy na Syberii zaginął w tajdze i został uznany za poległego na polu chwały. Wrócił do jednostki po miesiącu, z odmrożeniami i... z grupą esesmanów uwolnionych z kałmuckiej kopalni uranu. Po zwycięstwie, zamiast wracać do Berlina na defiladę, wyruszył w obstawie naukowej wyprawy na Kaukaz, szukającej śladów mitycznego Asgardu. To wtedy na brzuchu wytatuował sobie wielkiego węża Jormunganda, bóstwo z nordyckiej mitologii.

Zamiast kontynuować karierę wojskową zszedł na złą drogę. Dlaczego? Trzeba byłoby o tym książkę napisać. Wersja oficjalna mówiła, że to frontowe okru-

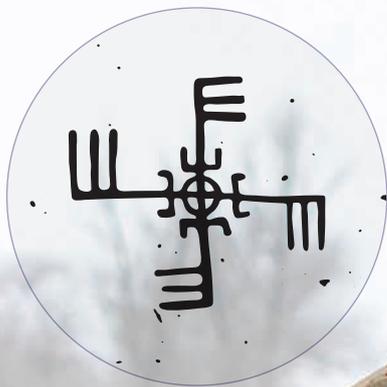
ciństwa Kałmuków oraz gazy wojenne użyte przez stalinowców wywołały u niego rozchwianie osobowości. Czasem ktoś dodawał coś o wojennej traumie i nadmiernym pobudzaniu Pervitinem, ale takie informacje cenzurowano. Zupełnie zaś nieoficjalnie opowiadano o całkiem innej przyczynie upadku von Plessena. Otóż kiedy uznano go za poległego, jego rodowiy majątek szybciułtko znacjonalizowało państwo pod budowę podziemnych miast przeciwoatomowych, podobnie jak kiedyś majątki zbuntowanych pruskich junkrów. Von Plessen, choć patriota i esesman, dostał dzikiego ataku furii.

Dłatego po powrocie do ojczyzny dokonał napadu na Bank Rzeszy w Breslau. Nieudanego. Schwytyany, trafił do obozu karnego. Trzymano tam nie tylko zwyczajnych bandytów – morderców, gwałcicieli, złodziei i fałszerzy – ale też przedstawicieli sztuki zdegenerowanej oraz pseudonaukowców: genetyków i einsteinowców. Znalazło się także paru homoseksualistów, kryptokomunistów, jankeskich szpiegów, pół-Słowian i ćwierć-Żydów. W tych plugawych warunkach, za drutami, umarł ostatecznie oficer SS Siegfried von Plessen, a narodził się notoryczny przestępca Wąż Plessen, Schlange Plessen.

Uciekł podczas jednego z więziennych buntów. Był na wolności dwa miesiące, podczas których wysadził tory do podziemnego miasta, za co miał trafić przed pluton egzekucyjny. Znów uciekł. Według jednych, związał się z siecią anarchistów sabotujących rządowe media własnymi komunikatami. Według drugich, planował ucieczkę U-Bootem za Atlantyk. Jeszcze inni powiadali, że udawał pastora z Deutsche Christen, by opiekować się w domu starców ponadstuletnimi weteranami z walk roku 1939, ale zdradziło go sztuczne oko i brak podstawowej wiedzy o dziewięciu przykazaniach Bożych. Tak czy owak, Schlange Plessen stał się legendą. Nawet dla powietrznodesantowców, którzy go pilnowali.

– Dawno się nie widzieliśmy, von Plessen – przywitał go na ziemi siwy jak gołąbek dowódca brunatnych beretów gruppenführer Hauke.

– Nazywam się Schlange – mruknął więzień, poprawiając opaskę na oku. >



- > – Aha, nieważne. A chcesz żyć?
Kto nie chciał? Lecz życie zawsze ma swoją cenę.
- Musisz kogoś odnaleźć – usłyszał Schlange w kwaterze Haukego.
- Kogo? Terrorystów, co chcieli uderzyć sterowcem w Adolfa z Dzieciątkiem?
- To byłoby zbyt proste. Ale masz rację w jednym: nie przypadkiem przetransportowaliśmy cię tutaj, na skraj Świętej Puszczy – odparł Hauke.

Tak zwana Święta Puszcza wiała się na przestrzeni setek kilometrów i składała z kilku części. Najmłodszą stanowił Młody Las rozciągający się od Wilczego Szańca na południe po Morze Mazurskie, Spirdingsee. Był to teren zamknięty, lecz niemal rekreacyjny, gdzie wysyłano wycieczki młodzieży z Hitlerjugend. Mieszkała w starych pruskich dworach i pałacach. Poznawała tam starogermańskie opowieści, a także historie o Krzyżakach, Prusach i Słowianach. W lasach można było spotkać trochę dzikiego zwierza, ale niegroźnego. Ostatnio eksponowano tam także mamuty otrzymane w trybunie od cara Rasputina III. Rozwiązanie to miało jednak pewnych wrogów, ponieważ gigantyczne włochate słonie powstały drogą genetycznych eksperymentów, a naukowcy Tysiącletniej Rzeszy mieli ambiwalentne odczucia w stosunku do genetyki – wielu uważało ją za pseudonaukę skażoną jankesko-judeo-komunistycznym światopoglądem.

Zaraz za Młodym Lasem ciągnął się szeroki Kanał Göringa, nie do przebycia nawet dla mamutów, a za nim zaczynał się tak zwany Pas Wojny. Przestrzeń tę patrolowały śmigłowce – i nic w tym dziwnego. Przez kilkadziesiąt kilometrów ciągnęły się porośnięte prawie stuletnimi drzewami resztki spalonych wiosek, istne kamieniołomy z betonu i cegieł w miejscu dawnych miasteczek, rozpadające się nieużywane drogi. Zniszczono i zostawiono je tam celowo, Tysiącletnią Rzeszę było na to stać.

Wokół mnożyły się dzikie zwierzęta i krążyły całe watahy wilków. Niektóre uzbrojono w czujniki wykrywające niepowołanych gości. Nie przypadkiem. Bo w położonej za gruzami Dzikiej mieszkali Podludzie. Pokonani Słowianie, których tam pozostawiono po zwycięskiej Wielkiej Wojnie Ojczystej Tysiącletniej Rzeszy.

Kilkanaście tysięcy okazów. Pewna ich część pochodziła z wysiedlonych wiosek z Pasa Wojny. Ci wszyscy, którzy nie zostali zesłani do niewolniczej pracy na rubieżach Lebensraumu, nie zginęli na froncie, w partyzantce, w więzieniach, przy budowie podziemnych miast i podczas eksperymentów z Wunderwaffe.

Skąd ten pomysł, by ich osiedlić w Dziczcy? Po pierwsze Podludzi uznano za element miejscowej przyrody. Kontrolowali populację saren, łosi, dzików, wilków, rysiów oraz niedźwiedzi, specjalnie reintrodukowanych na tych terenach. Najdalej na południe Dziczcy, gdzie pojawiały się często żubry, przyrodnicy Rzeszy wprowadzili również tury – odtworzone metodą krzyżowania gatunków. Podludzie mieli zakaz polowania na te cenne zwierzęta. Oczywiście nikt z Dzikusami tego nie negocjował, wszak to byłoby jak spierać się z małpą albo z kamieniem. Po prostu ogłoszono to nad lasami z głośników umieszczonych na śmigłowcach. Jeśli ktoś z miejscowych złamał zakaz, ginął przybity do drzewa. Taki przekaz Podludzie rozumieli. Z czasem dorobili sobie własne wierzenia: że niby tury to duchy ich przodków, a zaatakowane w odwecie atakują i pozerają myśliwych. Reszty dokonały hologramy z pogańskimi bóstwami, wyświetlane czasem pojedynczym Podludziom zagubionym w lesie i przekazujące „rozkazy od bogów”. Ot, taka prymitywna religijność.

I tu dochodzimy do drugiego powodu, dla którego Dzicz funkcjonowała tak, a nie inaczej.

W te ostępy pełne rzek, bagien i mokradel, między Podludzi i tury, dwa razy w roku trafiali z Rzeszy młodzi Aryjczycy mający dostąpić wtajemniczenia do Zakonu SS. Blond chłopcy ze znakami w kształcie błyskawic, trupich czaszek i połamanych krzyży. Najpierw obowiązkowo polowali tam na tura – to było ich prawo, uświęcony rytuał. Potem uctowali, a następnie tropili i zabijali parę Podludzi. To także był rytuał. Ci blond chłopcy mieli zwykle do walki tylko włócznie i łuki, jak ich legendarni przodkowie, do których się odwoływali. To miało im wystarczyć. W razie zagrożenia mogli jednak liczyć na wsparcie. Biada, jeśli mieszkańcy Dziczcy nie poprzestawali na ucieczce przed mło-

dymi tropicielami, lecz próbowali bić się z nimi na śmierć i życie. Wtedy przylatywały śmigłowce z brunatnymi beretami, z bronią plującą ogniem i żelazem.

W końcu Podludzie zrozumieli, że walka nie ma sensu. Nie mieli w niej szans. Pojęli też, że Aryjczycy pojawiali się i znikali jak burza, jak pożar, jak naturalna klęska. Młodzi esesmani nie mieli wcale zamiaru wybijać mieszkańców Dziczcy do nogi. Traktowali ich jako element natury, który wręcz należy chronić przed całkowitym wymarciem. Dlatego kapituła Zakonu SS

Przyrodnicy Rzeszy wprowadzili również tury – odtworzone metodą krzyżowania gatunków. Podludzie mieli zakaz polowania na te cenne zwierzęta. Oczywiście nikt z Dzikusami tego nie negocjował, wszak to byłoby jak spierać się z małpą albo z kamieniem

wypuszczała swoich młodych w Dzicz tylko dwa razy do roku. Tyle że zawsze bez zapowiedzi, z zaskoczenia, o innej porze.

Plessen znał te tereny z kilku powodów. Po pierwsze w młodości trafił właśnie na taki dramatyczny turnus, który skończył się prawdziwą walką z dzikimi – wściekłymi, że młodzież z Hitlerjugend spaliła im poletka żyta między gruzami dawnych miasteczek. Nie tylko, że sam zabił wtedy Podczłowieka, ale i uratował powietrznodesantowca ze śmigłowca strąconego przez mieszkańców Dziczcy za pomocą jakiejś archaicznej balisty. Wtedy postanowił, że sam zostanie zawodowym żołnierzem. Ba, przez kilka lat służył w jednostce patrolującej z powietrza Dzicz i oba Pasy Wojny: północy i południowy. Bo – trzeba dodać – Dzicz była oddzielona strefami porośniętych zgliszcz obustronnie.

Nawet Plessen nie wiedział jednak, co działo się dalej, za kolejnym szerokim pasem wody zwanym Kanałem Degrelle’a. Wedle map znajdował się tam rezerwat, Stary Bór, ostatni element Świętej Puszczy.

Teoretycznie miało to być miejsce zamknięte, przeznaczone tylko dla naukowców. Z ust Haukego Plessen dowiedział się jednak, że było inaczej. Okazało się, że od jakiegoś czasu przetrucano tam najbardziej kłopotliwych więźniów.

– Po co? – zdziwił się Schlange, znów poprawiając opaskę na oku.

– By nie sprawiali już kłopotów.

– Nie starczyło ich zagazować i spalić?

– Nie. Chodziło o to, by na coś się przydali – pokręcił głową Hauke.

– I co, mieli karczować puszcę? – za-

rechotał chrapliwie Schlange.

Nie wyobrażał sobie, by te niedożywione szkieletory, które pamiętał z obozu, zajęły się wycinką drzew.

– Nie – chrząknął stary z wyraźnym zakłopotaniem. – Mieli brać udział w... hmm... telewizyjnym polowaniu z udziałem zasłużonych dla Rzeszy.

– Myślałem, że to teren zamknięty, tylko dla przyrodników?

Hauke tylko machnął ręką.

– Zaraz, zaraz – Plessena

jakby olśniło. – Powiedziałeś, że więźniowie „mieli brać udział w polowaniach”. Jako naganiacze?

– Nie udawaj głupszego, niż jesteś – mruknął Hauke. – Oni byli zwierzyną!

„No oczywiście”, pomyślał Schlange, „W tym państwie nic nie może się zmarnować, nawet żywy trup, póki może jeszcze ruszać rękami i nogami”.

– Ale jaki w tym sens? Po co dewastować Stary Bór? – mruknął Schlange, bo jak każdemu esesmanowi los przyrody był mu bardzo bliski.

– Po to, żeby dać ludziom rozrywkę – wycedził Hauke. – Transmisja w telewizji na cały kraj. Przodownicy pracy, matki sześciorga dzieci i szkolni prymusi ścigają po lesie największe szumowiny Tysiącletniej Rzeszy. Kamery na kamizelkach kuloodpornych i hełmach, broń automatyczna, doberman, cały cyrk.

– Jasne... Nadal nie wiem jednak, co ma to wspólnego ze mną? – mruknął Schlange i nagle go olśniło: – Ja też mam być zwierzyną łowną? >



- > – Byłbyś dobrym trofeum, ale nie, nie o to wcale chodzi... – zaśmiał się Hauke.
- I wyjaśnił mu w czym naprawdę rzecz, starając się jednak wyjawic jak najmniej. Wszystko było bowiem objęte klauzulą tajności. Otóż więźniowie poradzili sobie podczas polowania zbyt dobrze. Wcale nie mieli zamiaru dać się odstrzelić na oczach telewizorów. Dostali też jakieś wsparcie ze strony Podludzi, którzy nie wiedząc czemu nagle znaleźli się w pobliżu. W efekcie zwierzyna zaczęła polowanie na myśliwych. Więźniowie porwali grupę porządnym obywateli Rzeszy i uszli w las.
- Porządni obywatele Rzeszy – pokiwał głową Schlange.
 - Wśród porwanych jest – gruppenführer Hauke natychmiast ściszył głos i spojrzał znacząco w jedno oko Plesse-na – prawnuk Adolfa Hitlera.
 - Zapewne przodownik pracy?
 - Nie. Szkolny prymus – chrząknął Hauke. – Trzeba ich szybko odnaleźć...
 - Już to pojąłem. Oko mam jedno, ale mózg jeszcze cały. Dlaczego nie pošlesz swoich powietrznodesantowców?

- Posłałem. Niestety maszyny runęły w las. Wpadły w burzę.
- W burzę? A może to był zamach? – zainteresował się Plessen.
- Burza. Nagła śnieżycą z piorunami – wycedził Hauke.
- Śnieżycą? Tutaj? O tej porze? Bardzo dziwne.
- Prognozy wprawdzie tego nie mówią, ale jestem pewny, że może się powtórzyć – Hauke znów chrząknął znacząco. Zapadła dłuższa cisza.
- Czemu ja? – spytał w końcu Plessen.
- Bo znasz tych skazańców, tych uciekinierów. Garowałeś z nimi.
- To była grupa „judaizujących” genetyków oraz naukowców skazanych za „skrzywienie einsteinowskie” i krytykę teorii lodu Hörbigera. Twierdzili, że ogień i lód nie są wcale kluczowymi pierwiastkami, z których powstał wszechświat. Wyśmiewali wiarę, że embriony Aryjczyków spadły na Ziemię jako protoplazma zatopiona w skrawkach kosmicznego lodu. Owi badacze zostali za swą niewiarę ukarani. Plessen był z nimi

w jednym obozie. Pamiętał tych mędrców w okularach i ich wywody.

- Znasz tych jajogłowych, oni ciebie też na pewno pamiętają jako jednego z „opozycjonistów”. Z kolei las nie ma przed tobą tajemnic, a ty sam nie masz nic do stracenia – wyliczał na palcach Hauke.
- Nie mam nic do stracenia. A co do zyskania? – sarknął Schlange Plessen.
- Życie. Bo dostaniesz od Nowego Führera akt łaski, Schlange.
- Nazywam się von Plessen – mruknął więzień. Jednak zgodził się. Cóż innego mu pozostało?
- Całą noc śniły mu się mamuty od Rasputina III...

* * *

Nad tym fantastycznym wątkiem o mamutach młody scenarzysta Hans Kostrop musiał jeszcze popracować. Miał wrażenie, że nie został wystarczająco mocno i efektownie wykorzystany. Ale to chyba nie z tego powodu Kostrop został dziś wzywany przez oberproducenta z Deutscher

Fernseh-Rundfunk, czyli najstarszej telewizji Rzeszy?

– Z pańskiego scenariusza nici! – oberproducent cisnął pomiętym wydrukiem na biurko. Był człowiekiem starej daty, pochodzącym z dobrej austriackiej rodziny: to dlatego wciąż wołał czytać teksty na papierze, a nie na monitorze.

– Dlaczego pan tak mówi? – młody pisarz poruszył się nerwowo w krześle. – Przecież miesiąc temu w sanatorium zapewniał pan, że „Ucieczka ze Starego Boru” to pewny kinowy przebój. Czyżby moja fantastyczna wizja okazała się zbyt mroczna? Ludzie nie uwierzą, że gdyby historia potoczyła się ciut inaczej, to zwycięstwo Tysiącletniej Rzeszy w Eurazji wymagałoby walk na Syberii, budowy całych podziemnych miast i pokazowego zrównania z ziemią Nowego Jorku? A i tak mielibyśmy jeszcze na karku terrorystów i sabotażystów, a dzieci szykowałibyśmy na żołnierzy od najmłodszych lat? Aż tak bardzo przyzwyczajeni jesteśmy do łatwych sukcesów? Przecież nawet nie sugeruję, że moglibyśmy przegrać...

– Chodzi o cały ten las... – stary Austriak wstał od stołu i odwrócił się do okna. W stronę głośniejszą jak zawsze ulicę, pełną aut. Sznury „samochodów ludu”, volkswagenów różnych typów i kolorów, w tym najnowszych elektrycznych VW 2020, ciągnęły przed wochehende w stronę autostrad.

– Dlaczego? Pana zdaniem nikt nie uwierzy, że zamiast dzisiejszych leśnych rowerostrad od Wilczego Szańca po Max-Białystock-Stadt i dalej Belowesch, mielibyśmy pas grozy ze Słowianami, więźniami i mutantami? Żydów oczywiście praktycznie pominąłem...

Oberproducent milczał.

– Nie o to chodzi... – odparł wreszcie po chwili i nagle, nie wiedząc czemu, zmienił temat: – A dlaczego przyszedł pan bez maseczki, Kostrop?

– Przecież zniesiono obostrzenia. A ja przechorowałem już wirusa, i to lekko – zdziwił się młody pisarz. Coraz mniej rozumiał, do czego zmierza ta rozmowa.

– Tak – westchnął oberproducent i odwrócił się z zaciętą miną. – Obostrzenia zniesiono. Lecz z tego, co właśnie się dowiedziałem, nie doceniono pewnych skutków ubocznych pandemii. Nieodwracal-

nych zmian neurologicznych u osób, które zetknęły się z wirusem, panie Kostrop.

– To znaczy? Coś mi grozi?! – zadrżał Kostrop.

– Panu?! Pan myśli tylko o sobie, młody człowieku. Chyba nie był pan w Hitlerjugend – zachnął się Austriak, po czym jego głos stał się twardy i zimny jak stal. Jak przed wieloma laty, gdy wydawał rozkazy Einsatzgruppen „oczyszczającym” Londyn. – Powiem panu coś,

Do nich wirus nie dotarł. Oddziela nas Atlantyk. Taka przynajmniej będzie nasza wersja oficjalna. Między wierszami zasugerujemy jednak, że to nasi wrogowie stworzyli tego wirusa, a on atakuje tylko organizmy najdoskonalsze. Czyli aryjskie

co jest jeszcze tajemnicą, ale w oczywisty sposób odpowie na pańskie pytanie. Otóż w rok po przebytej chorobie zauważono u ozdrowieńców szybko postępującą utratę pamięci długoterminowej, czasem w sposób wręcz gwałtowny. Jak z tymi ludźmi, którzy pod wpływem dramatycznych przeżyć siwieją w jeden wieczór.

– Czyli? – wydukał Kostrop, najwyraźniej coraz bardziej przerażony.

– Czyli mieszkańcy Rzeszy niedługo nie będą nawet pamiętali jak się nazywają. Nic nie rozumieją z pańskiej historyjki i nie w głowie będą im takie fantasmagorie.

Klaus Kostrop siedział jak skamieniały. – Pan wybacz, a co z naszymi wrogami? – spytał wreszcie.

– Do nich wirus nie dotarł. Oddziela nas Atlantyk – telewizyjny bonzo zmarszczył brew. – Taka przynajmniej będzie nasza wersja oficjalna. Między wierszami zasugerujemy jednak, że to nasi wrogowie stworzyli tego wirusa, a on z kolei atakuje tylko organizmy najdoskonalsze. Czyli aryjskie.

– To prawda? – spytał Kostrop naiwnie, jakby pierwszy raz pojawił się w państwowym telewizji.

– Oczywiście, że nie! – warknął oberproducent. – Oni po prostu mają szczepionki na tego wirusa, bo mają prawdziwych genetyków!

– Genetyków? – do Kostropa wciąż nic nie docierało.

– Tak. Genetyków. Tych, których w pańskim scenariuszu umieściliśmy w obozach, a potem zesłaliśmy do lasu na odstrzał na oczach widzów – powtórzył Austriak cicho.

Wyglądało na to, że w obecnej sytuacji genetycy w Tysiącletniej Rzeszy muszą wrócić do łask. Tak jak przed laty, gdy uznawano ich za nadzieję na udoskonalenie rasy i na skuteczną walkę z różnymi chorobami. Gdy jednak zaczęli dowodzić, że ludzkość wywodzi się z Afryki, a wśród przodków niejednego Aryjczyka znaleźć można Żyda, Cygana albo Hotentota, partia uznała genetykę za pseudonaukę. Podczas gdy wrogowie Tysiącletniej Rzeszy inwestowali w genetyków, władze w Berlinie stawiały na ziołolecznictwo z jednej strony, a ostrą farmakologię z drugiej.

– To może w swoim scenariuszu zrobić z genetyków tych dobrych? – zaproponował nieśmiało Kostrop.

– Czy pan wciąż nic nie rozumie? – oberproducent wbił wzrok w młodego scenarzystę. – Nie ma już tematu pańskiego filmu. Nie ma w ogóle tematu nowych filmów dla mieszkańców Rzeszy! Od dziś będzie im trzeba przypominać, że mają mówić po niemiecku, zmieniać majtki i myć zęby!

Kostrop z trudem przełknął ślinę.

– Nie chcę wyjść na pacyfistyczną świnię, ale czy nie zmusi nas to do zawieszenia operacji na froncie atlantyckim? Nie wybuchnie nagle pokój? – spytał.

– Nie sądzę – oberproducent znów odwrócił się w stronę okna, patrząc na sznur świecących pojazdów za szybą. – Nawet jeśli my stracimy pamięć o przeszłości, nasi wrogowie nigdy o niej nie zapomną. ■

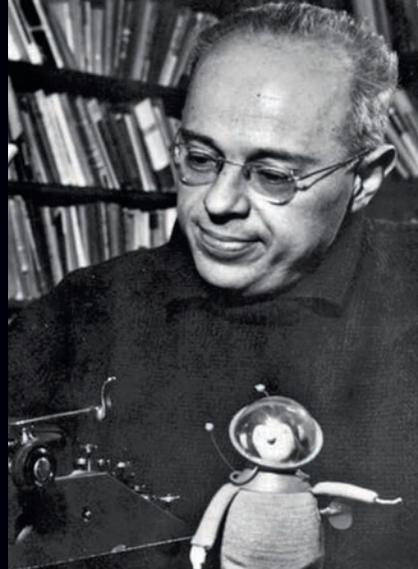
NA CELOWNIKU



PODCZŁOWIEK Z WYSOKIEGO ZAMKU

Stanisław Lem urodził się sto lat temu, we Lwowie, w rodzinie o żydowskich korzeniach. Jako dwudziestolatek **przeżył koszmar**





Lem do końca życia miał sentyment do Lwowa. W mieście wciąż stoi **kamienica, w której żył z rodzicami** (zdjęcie z lewej, mieszkanie z balkonem). Zachowały się także **ruiny gotyckiego lwowskiego Wysokiego Zamku** – jednego z ulubionych miejsc małego Stanisława. Znalazło to odbicie w tytule jego wspomnień z dzieciństwa: „Wysoki Zamek” (1966). Wbrew krążącym mitom, jest to więc echo dzieciństwa pisarza, bez związku ze słynną historią alternatywną Philipa K. Dicka „Człowiek z Wysokiego Zamku” (1962).

Twórczość Lema, urodzonego we wrześniu 1921 r. we Lwowie, kojarzy nam się z książkami SF. Nikt raczej nie łączy go z II wojną światową. A przecież pochodził z Kresów, z rodziny z żydowskimi korzeniami, więc wojna całkowicie zniszczyła jego świat. To musiało na niego wpłynąć.

Najwyraźniejszym dowodem jest wydany w latach 50. „Szpital Przemienienia” oraz powiązane z nim „Wśród umarłych” i „Powrót” (1950). To opowieść o młodym lekarzu zatrudnionym podczas wojny w szpitalu psychiatrycznym. Echa hitlerowskich zbrodni są tu bardzo wyraźne.

Jednak znawcy twórczości pisarza uważają, że wątki autobiograficzne pojawiają się w jego książkach częściej, aczkolwiek są ukryte. Na przykład w „Głosie Pana” pojawia się opowieść prof. Rappaporta, któ-

ry ocalał z masakry w murach płonącego więzienia gdzieś w Europie Wschodniej. W monografii „Zagłada i gwiazdy. Przeszłość w prozie Stanisława Lema” literaturoznawczyni Agnieszka Gajewska prześledziła ten i inne tropy. Okazało się, że relacja z „Głosu Pana” najwyraźniej nawiązuje do wydarzeń ze Lwowa z lata 1941 r. Najpierw w obliczu wkroczenia wojsk niemieckich Sowietci wymordowali więźniów politycznych w katowniach NKWD. Takich jak więzienie Brygidki (przy ul. Kazimierzowskiej, obecnie Horodockiej), nieopodal kamienicy rodziny Lemów (przy ul. Brajerowskiej, obecnie Bohdana Łepkiego) oraz dzielnicy żydowskiej. Następnie, widząc że miasto wpadnie w ręce hitlerowców, do działania przystąpili ukraińscy nacjonaliści, rzucając się na lwowskich Żydów. Spędzili ich do wynoszenia ofiar z sowieckich kazamatów, a potem bili i mordowali. W czasie tych

wydarzeń zginęły przynajmniej trzy tysiące Żydów. Sam Lem ledwo uszedł z życiem.

Nawiązań do takich wojennych traum jest więcej. Trudno powiedzieć, na ile wspomnienia prześladowały Lema. Tym niemniej nigdy nie „bawił się” w nakreślanie żadnej fantastycznej alternatywnej wizji II wojny światowej. My zaś możemy się tylko zastanawiać, jak potoczyłoby się życie Lema, gdyby nie doświadczenia z lat 1939–1945 (patrz wywiad s. 42). Nieco nieporozumień wywołuje przy tym tytuł wspomnień Lema z dzieciństwa: „Wysoki Zamek”. Fanom SF kojarzy się z książką Philipa K. Dicka „Człowiek z Wysokiego Zamku” o świecie, w którym to hitlerowcy wygrali wojnę. Jednak amerykański autor napisał swą powieść 4 lata przed Polakiem, zaś tytułowy Wysoki Zamek Lema to budowla ze Lwowa. Wspomnienie z dzieciństwa, z innego świata, ale rzeczywistego. ■

FOT. NAC (4), WIKIPEDIA COMMONS (6)

W ciągu kilku lat młody Lem doświadczył upadku państwa polskiego w 1939 r., niepewności podczas sowieckiej okupacji Lwowa, a wreszcie wejścia do miasta hitlerowców oraz zbrodniczej polityki Niemców (i ich kolaborantów) – z represjami, pogromami, gettem i zagładą Żydów.



Najstynniejszym dziełem Lema pozostaje kosmiczne „Solaris”. Miało swoją premierę 60 lat temu i doczekało się trzech ekranizacji.

LEM: PISARZ BEZ ALTERNATYWY

Polacy nie potrafią pogodzić się z historią, jednak Lem **wolał kreować światy niż je przerabiać** – mówi w rozmowie z „Focusem Historia” pisarz SF Marcin Podlewski

Focus Historia: Historie alternatywne, rozmaite utopie i dystopie są w Polsce bardzo popularne. Dlaczego?

Marcin Podlewski: To chyba nasza przypadłość narodowa. Lubimy historie alternatywne – zarówno dystopijne, jak i utopijne – bo chyba nie potrafimy do końca pogodzić się z naszą nieco siermiężną, polską rzeczywistością. Pociaszamy się więc, że mogło być gorzej i zaczytujemy się w książkach, w których Polska przestała istnieć lub stanowi tylko bezimienną część Eurazji, lub – dla od-

miany – czytamy o tym, jak Polska została wreszcie Mesjaszem Narodów, skolonizowała Księżyc lub zagrała po nosie największym supermocarstwom. Jeśli zaś chodzi o nasz świat jako taki, to owo zastanawianie się nad jego potencjalnym rozwojem i/lub upadkiem to rozrywka niemal matematyczna, a czytelników ciekawi, jak toczyłby się świat po przedstawieniu kilku zmiennych i jak daleko – w owym ciągu logicznym – potrafi posunąć się autor, jednocześnie zachowując realizm świata przedstawionego.



Marcin Podlewski – pisarz, zwycięzca konkursu na XXX-lecie „Nowej Fantastyki”, nominowany w 2014 r. do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za dystopijne opowiadanie „Edmund po drugiej stronie lustra”. Wydał zbiór opowiadań „Szklana Góra. Ponure baśnie”, powieść „Happy END”, jest również autorem serii „Głębina” oraz „Księga Zepsucia”.

Dlaczego Stanisław Lem nie pisał historii alternatywnych, w odróżnieniu np. od Philipa K. Dicka?

M.P.: Na to pytanie trudno odpowiedzieć, bo nie jesteśmy w stanie zerknąć do głowy Lema. Zakładam jednak, że to ćwiczenie zdawało mu się dość proste. On wolał kreować światy niż przerabiać istniejące bądź (jak np. w „Śledztwie”) odkrywać ich drugie dno, odsłaniać strukturę. Jest takie opowiadanie Lema, w którym jego bohater tworzy nowe, miniaturowe społeczeństwa, patrząc na nie pod mikroskopem – i społeczeństw tych jest multum. Lem jest takim właśnie bohaterem: dla niego alternatywne światy są tylko dodatkiem do opowiadania fantastycznego zawierającego głębszy sens niż sam tylko eksperyment logiczny.

II wojna światowa zniszczyła świat młodego Lema. Powstaje jednak pytanie: czy w ogóle zostałby pisarzem,

gdymy nie ta tragedia? Możemy sobie wyobrazić, jak potoczyłoby się jego życie w spokojnym świecie? Czy zostałby lwowskim lekarzem jak jego ojciec?

M.P.: Wierzę, że przeznaczenie Lema było przesądzone. Owszem, mógł zostać lekarzem, ale nie uratowałyby go to przed ciekawością świata i pragnieniem jego analizy. Najlepszym dowodem na to jest jego „Wysoki Zamek” (powstała po „Człowieku z Wysokiego Zamku” Dicka, który notabene uznał kiedyś, że... Lem nie istnieje i jest elementem komunistycznego spisku przeciw amerykańskiej SF!). W tej konkretnej książce Lema widać, jak kształtowała się jego wyobraźnia. Popatrzmy choćby, co pisze o zamyśleniu:

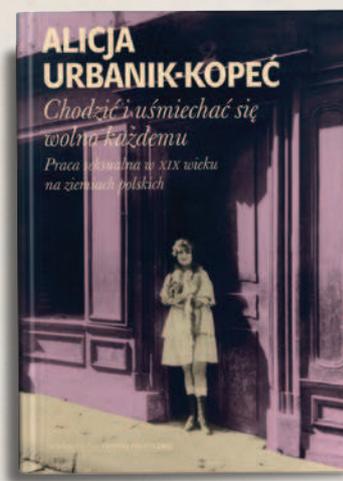
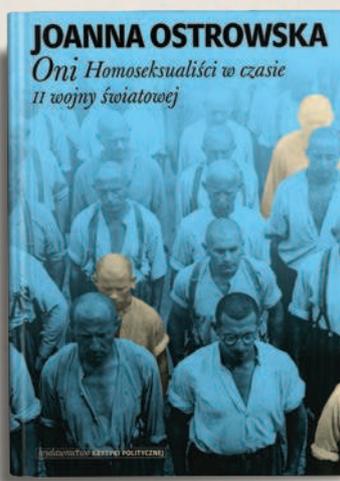
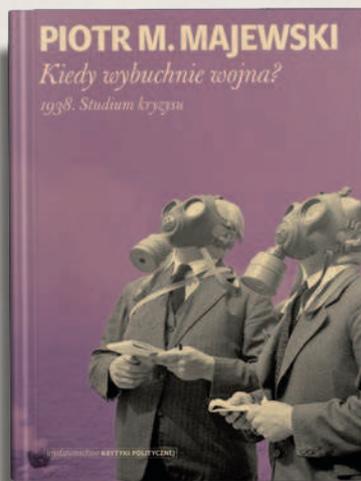
„Zamyślenia jak podkopy, jak sztolnie, które się zapadają; cóż za sknerstwo, co za obojętność pamięci, która wszystko przecież wie i może, ale nie poddaje się uparta, wzgardliwie w sobie zamknięta, ignorują-

ca upływ czasu, niezawisła od niego. Gdybyż choć naprawdę była pustką, z rzadka zasianą rojowiskiem gasnących obrazów, ale nie, na pewno tak nie jest, są na to dowody, w snach – a zawsze nie tam dopuszcza, gdzie bym chciał, nie wówczas, gdy mi na tym zależy, nigdy, tępo zatrzaśnięty mechanizm, suwerenny w precyzyjnym swoim, z obłądną doskonałością wykonywanym zadaniu – utrwać, przechowywać, niezmiennie i na zawsze. Ależ to nieprawda – przecież przepadnie ze mną, strażniczka zaciekle, sknera, zaprawiona w tyranii, w nieposłuszeństwie, w szyderczej krnąbrności, tak stała i tak krucha zarazem, czuła, a równocześnie obojętna jak węgiel, w którym odcisnął się liść. Jak ją zrozumieć? Jak się z nią pogodzić?”

Czy taki człowiek miał szansę, by nie zostać pisarzem? ■

rozmawiał: Adam Węglowski

REKLAMA



WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL



znajdziesz w

empik

salony / online / aplikacja
i dobrych księgarniach

Bona uważała na dworskie intrzygi,
a mimo to **padła ofiarą spisku**.
Otruł ją zaufany dworzanin
Pappacoda, prawdopodobnie
przekupiony przez Habsburgów.



KRÓLOWA NIETUZINKOWA

Bona Sforza przywiozła z Italii nad Wisłę nie tylko marchew, seler i pietruszkę. Pokazała, że **kobieta nie ustępuje mężczyznom** w politycznych talentach

Patrycja Podrazik

Wśród europejskich królowych okresu średniowiecza i renesansu było wiele silnych i uzdolnionych kobiet. Namyśl przychodzą Eleonora Akwitańska (1122–1204), Katarzyna Medycejska (1519–1589) czy Elżbieta I (1533–1603). Wszystkie miały głęboki wpływ na rządy swych krajów, chociaż jedynie Elżbieta formalnie jako królowa panująca. Pochodziły one jednak z krajów, gdzie wysoko urodzone kobiety cieszyły się większą wolnością (jak na standardy ówczesnych czasów) niż ich odpowiedniczki ze wschodniej części kontynentu.

Rola kobiet w krajach takich jak Polska poza obrębem domu była bardzo ograniczona. Nawet w przypadku szlachcianek czy arystokratek ich głównym obowiązkiem było wydawanie na świat potomstwa, nadzorowanie służby i pełnienie roli pani domu. Oczekiwano, że odejdą od stołu po określonej godzinie i że będą unikać rozmów z mężczyznami spoza kręgu rodziny. Podmiotowości odmawiano nawet dziedzicom fortun, co pokazuje tragiczny los Halszki Ostrogskiej (1539–1582). Od najmłodszych lat ręka tej spadkobierczyni majątku niewiele mniejszego od powierzchni ówczesnego województwa poznańskiego była przedmiotem targów.



Młoda Bona uchodziła za piękność. Była córką urodziwej Izabeli Aragońskiej i księcia Gian Galeazzo Sforzy. To po jego matce dostała swoje imię.

Zmuszona trzykrotnie do małżeństwa, porwana i ścigana przez zalotników od Litwy przez Polskę po Czechy, ostatecznie spędziła wiele lat osamotniona na zamku w Szamotułach. Tam jej wolność ograniczono do granic posiadłości, z wyjątkiem pielgrzymek do wielkopolskich klasztorów.

CUDZOZIEMKA W KRAKOWIE

Bona Sforza, urodzona w 1494 r. dziewczynka księstw Mediolanu i Bari, wyszła za mąż za króla Polski Zygmunta I w roku

1518 i była jego drugą małżonką (pierwsza, Barbara Zápolya, zmarła trzy lata wcześniej). Przywiozła ze sobą z Italii nie tylko suknie według najnowszej mody oraz wiele warzyw, o których wcześniej w Polsce nie słyszano, lecz także inne zwyczaje i maniery. Zarówno ona, jak i panny z jej dworu rozmawiały i śmiały się przy stole, doskonale jeździły konno i polowały. Niektórym dworzanom przypadło to do gustu, wielu innych gorczyło.

Niekonwencjonalne podejście Bony do swej roli poszło jednak znacznie dalej. Odebrała ona doskonale wykształcenie w Bari – współczesne źródła twierdziły, że potrafiła wyrecytować z pamięci dzieła Petrarke. Znała też dobrze historię, języki klasyczne i orientowała się w polityce. Kiedy została żoną króla, który już się starzał (w momencie ich ślubu *per procura* miał 50 lat) i znany był z braku zdecydowania oraz z tendencji do unikania konfliktów, szybko przyjęła rolę nieformalnego doradcy i władcy „zza tronu”.

WPŁYW NA POLITYKĘ

Bonę żywo interesowała sytuacja ekonomiczna jej nowego królestwa. Zwłaszcza przestarzałe praktyki rolnicze powodujące, że ziemia była uprawiana nieefektywnie i dawała niskie plony. Chłopi litewscy byli wciąż *de facto* niewolnikami, a w całym państwie do ich biedy przyczyniały się >



Pomimo wszystkich stawianych jej zarzutów, **Bona stała się jednym z symboli polskiego renesansu**, Złotego Wieku w naszej historii. Powyżej: obraz Jana Matejki „Zawieszenie dzwonu Zygmunta na wieży katedry w Krakowie w 1521 roku”.

➤ niesprawne zarządzanie i ciężary podatkowe w postaci danin w naturze. Młoda królowa podjęła się reformy gospodarczej z ogromnym entuzjazmem, nakazując pomiar i scalanie gruntów, ujednoczenie miar, przebudowę wsi, kolonizację pustek i wymianę administracji na bardziej kompetentną. Największy jednak postęp w zakresie wydajności rolnictwa przyniosła rotacja zasiewów, czyli tzw. trójpolówka. Według niej zasiewano co roku jedną część pola oziminą, drugą zbożami jarymi, a jedną trzecią pozostawiano ugorzem w celu odnowienia żyzności gruntu. Według biografki Bony Marii Boguckiej reformy te doprowadziły do dwu-, a nawet czterokrotnego wzrostu dochodów w niektórych włościach litewskich i tym podniosły ogromnie wpływy do skarbu wielkosiążącego.

Druga małżonka Zygmunta I Starego była także dobrze obeznana w polityce zagranicznej jako gorąca zwolenniczka przymierza z Francją i zagorzały wróg Habsburgów. Działała na rzecz wzmocnienia Polski przeciw wpływom tych ostatnich oraz popierała pomysł rozszerzenia strategicznego dostępu Polski do Bałtyku. Jak pokazały kolejne stulecia, było to podejście właściwe i dalekowzroczne, jednak za jej życia stało się źródłem głębokiej krytyki królowej.

Jednym z najzagorzalszych przeciwników Bony był Kanclerz Wielki Koronny Krzysztof Szydłowiecki, który wspierał in-

Gdy w roku 1547 Zygmunt August ożenił się potajemnie z Barbarą Radziwiłłówną, młodą i piękną wdową, Bona natychmiast przeciwstawiła się synowej. Ze względów strategiczno-politycznych marzyła się jej francuska księżniczka dla syna

teresy Habsburgów w Krakowie. Istnieją poszlaki wskazujące na to, że Szydłowiecki mógł być cesarskim szpiegiem.

GOSPODYNIA I PATRONKA

Po przyjeździe do Polski, Bona dostała od męża uposażenie w postaci księstw pińskich i kobryńskich, które dzięki roważnemu gospodarowaniu i wyżej cytowanym reformom przyniosły jej ogromne dochody. Zakupiła za nie jeszcze więcej ziemi i z czasem znacznie powiększyła rodową fortunę. Jednakże mimo tych sukcesów (czy może właśnie z ich powodu) została nienawidzona przez sporą część polskich magnatów. Postrzegali oni jej działalność jako nienaturalną dla kobiety, zaś jej zyski jako nieprzystługujące cudzoziemce. Sytuacji z pewnością nie pomógł fakt, że Bona łączyła swoją inteligencję

i energiczność z wyniosłością i wybuchowym temperamentem.

Nie wszyscy jednak Polacy żywili tak negatywne uczucia w stosunku do królowej. Tym, którzy dobrze i wiernie jej służyli – a było kilku takich – królowa odpłacała lojalnością i wspierała ich kariery. Jednym z jej protegowanych był Jan Dantyszek.

Ten pochodzący z Gdańska poeta i dyplomata był członkiem poselstwa, które wynegocjowało małżeństwo młodej Bony z Zygmuntem I. W pierwszych latach jej pobytu w Polsce otaczała się głównie włoskimi dworzanami. Jednak już w 1524 r. Dantyszek znalazł się znowu w poselstwie do Włoch, co świadczyło o zaufaniu królowej. Wysłano je w celu załatwienia formalności spadkowych po śmierci matki Bony Izabeli Aragońskiej. Przez kolejnych siedem lat Dantyszek pełnił funkcję ambasadora przy dworze cesarskim, broniąc m.in. polityki polskiej w sprawie Prus, co zgadzało się z koncepcjami Bony.

W młodych latach Dantyszek był też znany kobieciarzem oraz autorem swawolnych epigramatów i pamfletów satyrzujących życie dworskie, na co królowa Bona, preferująca skądinąd surową dyscyplinę, patrzyła przez palce. Gdy wreszcie porzucił hulanki i przyjął święcenia kapłańskie (!), promowała jego karierę tak, iż w końcu za zasługi otrzymał stanowisko biskupa chełmińskiego (w 1530 r.) i warmińskiego (w 1537 r.).



Po królowej zachowały się zabytki stworzone przez mistrzów: iluminowany **modlitewnik** (powyżej strona ze „Zwiastowaniem pasterzom” wzorowanym na „Dudziarzu” Dürera), **kamea** z profilem władczyni autorstwa Caraglia oraz **portret** pędzla Lucasa Cranacha młodszego.

Jednakże nawet oddanie utalentowanych dworzan nie było w stanie uchronić Bony Sforzy przed największym politycznym – i jednocześnie osobistym – kryzysem jej życia.

KONFLIKT Z SYNEM

Gdy w roku 1547 jej syn i następca tronu Zygmunt August ożenił się potajemnie z Barbarą Radziwiłłówną – młodą i piękną wdową, której barwną przeszłość podsyłały jeszcze barwniejsze plotki – Bona natychmiast przeciwstawiła się synowej. Ze względów strategiczno-politycznych,

marzyła się jej francuska księżniczka dla syna. Niedługo po ślubie, Barbara zaczęła niedomagać na zdrowiu i w 1551 r. zmarła w wieku zaledwie około trzydziestu lat. Przyczyną zgonu Radziwiłłówny był najprawdopodobniej rak, lecz reputacja Bony była już tak nadwyrężona, że powstały plotki – spisane przez kronikarzy takich jak Marcin Bielski i Maciej Strykowski. W kraju aż huczało, że otruła ona Barbarę. Krótko po śmierci młodej królowej zaczął krążyć anonimowy utwór pt. „Narzekanie królowej na nieszczęście po śmierci”, w którym pojawia się taki fragment:

*Wnetem potym zachorowała
I dziwnem choroby miała,
Albom snadź czasu którego
Wypiela [wypiła] co niezdrowego.*

O wiele później – nawet jeszcze w XIX stuleciu – historycy tacy jak Józef Szujski nie wykluczali teorii o truciznie. Dzisiaj jest ona powszechnie odrzucana.

Małżeństwo Zygmunta Augusta i Barbary na dobre poróżniło matkę i syna. Jednak ich relacje psuły się już od czasu, gdy stary król zaczął ze względu na podeszły wiek przekazywać swemu następcy coraz więcej władzy. W 1544 r. Zygmunt August >

REKLAMA

Czarny bez - cudowna roślina

Czarny bez od stuleci był ceniony i stosowany na przeziębienie, zapalenie migdałków, krtani. Wzmacnia organizm i poprawia przemianę materii.

Cukierki ziołowe „Czarny Bez” z ekstraktem i koncentratem czarnego bzu i witaminą C renomowanej firmy Reutter, to prawdziwy produkt z bogato zachowaną w procesie wytwarzania skarbnicą cennych dla naszego organizmu składników.

Ponad stuletnie istnienie firmy „Reutter”, to ogromne doświadczenie i niepowtarzalne, najwyższej jakości procesy produkcyjne.

Polecamy świetne cukierki ziołowe „Czarny Bez” firmy Reutter.

Dostępne
w aptekach
i zielarniach.



➤ wyjechał na Litwę, by tam sprawować rządy jako wielki książę. Było to posunięcie, któremu Bona bardzo się sprzeciwiała, bojąc się osłabienia swych wpływów. Miała rację, gdyż młody Zygmunt, w przeciwieństwie do ojca, nie miał zamiaru pozwolić jej na wtrącanie się do spraw państwowych. Rozgoryczona i osamotniona, choć wciąż pełna energii, stara królowa wyniosła się z Krakowa do Warszawy. Stamtąd dawała dalej upust swym ambicjom i inwestowała spore sumy w mniej lub bardziej udane projekty finansowe w całej Europie.

POŻEGNANIE Z POLSKĄ

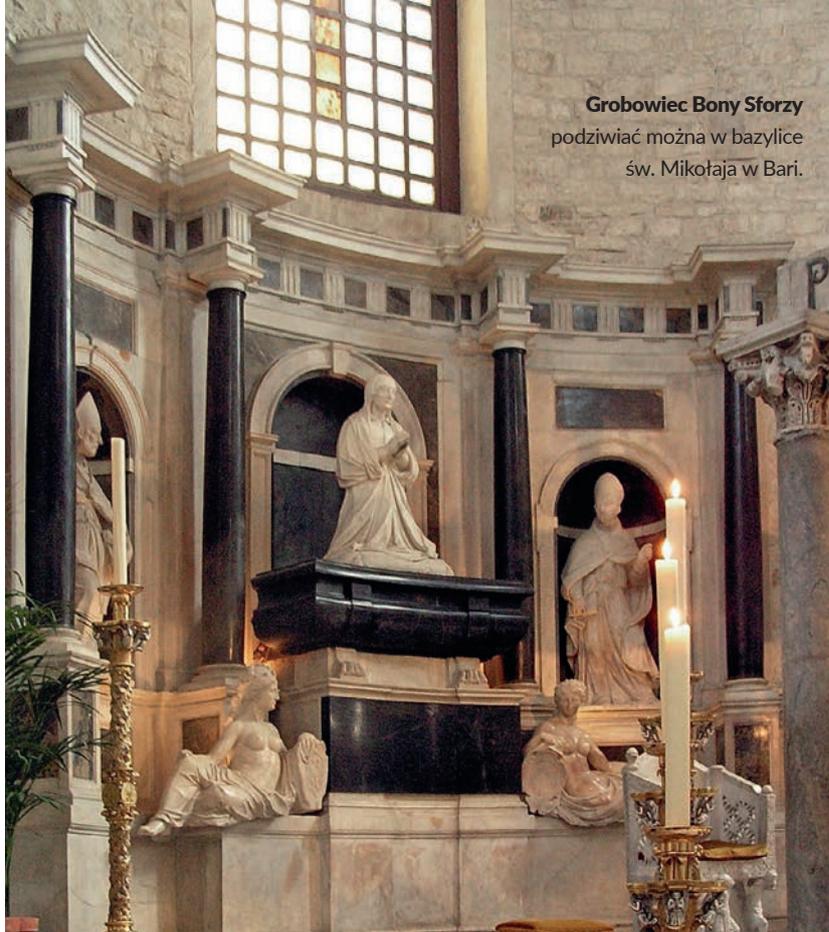
W 1556 r. Bona opuściła Polskę i wróciła do rodzinnego Bari. Tam wkrótce pozyskała ogromną sumę 430 tys. dukatów – szacowaną dzisiaj na równowartość około 235 mln złotych – królowi Hiszpanii Filipowi II. O tym jak wielki był to skarb świadczy fakt, że monety ważyły ponoć 1,5 tony. Celem Bony, odsuniętej od władzy, a wciąż chętnej do jej sprawowania, było takie powielenie kapitału, aby była w stanie kupić sobie tytuł wicekróla Neapolu. Jednakże Filip, z natury rozrzutnik i oszust, nie miał zamiaru spłacić długu owdowiałej królowej Polski. Zamiast tego przekupił jej zaufanego dworzaniarza Gian Lorenzo Pappacodę, który otrul Bona jesienią 1557 r.

Zaledwie 15 lat później zmarł też Zygmunt August. Z jego bezpotomną śmiercią dynastia jagiellońska poczęła chylić się ku końcowi. Pozostałymi dziećmi Zygmunta Starego i Bony były bowiem córki, w tym królowa Anna.

Ta, jako żona Stefana Batorego została razem z nim koronowana w katedrze wawelskiej na króla Polski, pozycję formalnie równorzędną z Batorem. Po śmierci męża w 1586 r. miała nawet okazję rządzić samodzielnie. Ostatecznie jednak zrzekła się praw do tronu na rzecz siostrzeńca, Zygmunta Wazy, syna jej siostry Katarzyny i króla Szwecji. Ironią losu jest to, że oddała z własnej woli tron, którego jej matka pragnęła jak niczego innego.

WSPÓŁCZEŚNI I POTOMNI

Czy decyzja Anny o usunięciu się ze sceny politycznej była wynikiem jej konserwatywnego polskiego wychowania, tak



Grobowiec Bony Sforzy podziwiać można w bazylice św. Mikołaja w Bari.

innego od edukacji Bony we Włoszech? Być może. Pozostaje natomiast faktem, że Bona Sforza jest w naszej historii rzadkim przykładem ambitnej, asertywnej, niezależnej i bezkompromisowej małżonki królewskiej. Według Marii Boguckiej nawet najbardziej zacięci wrogowie królowej przyznawali, że była osobowością wybitną. Filip Padniewski, współczesny królowej autor biograficznego „Żywołu Piotra Gamrata” pisał tak o Włoszce: „Gardząc zajęciami niewieściami zajmowała się sprawami publicznymi i administracją Rzeczypospolitej i takie w tym zakresie osiągnęła sukcesy, takie miała poszanowanie u królewskiego małżonka, że za jej rozstrzygnięciem prawie wszystkie honory były rozdawane [...]. A że było wiadome, iż nie ma niewieściego usposobienia, wiele pracy wkładała w działalność publiczną, uzurpując sobie władzę”.

Podczas prawie trzydziestu lat pełnienia roli królowej, cechy te pomogły Bonie zgromadzić wielki majątek i ogromne wpływy. Jednak ostatecznie kosztowały Sforzę życie i przyczyniły się do oczerznienia reputacji na całe stulecia. Musiało minąć aż czterysta lat od jej śmierci, by historycy zaczęli rewidować nieścisłe fakty i krzywdzące opinie. ■

+

DLA GŁODNYCH WIEDZY
 Królowa Bona Sforza jest jedną z bohaterek powieści historycznej **P.K. Adams „Ciche wody”** (Prószyński, 2021). Artykuł powstał w oparciu o materiały zebrane przez autorkę podczas prac nad książką. Źródłem cytowanego w artykule XVI-wiecznego wiersza jest opracowanie J. Nowaka-Dłuzewskiego, „Okolicznościowa poezja polityczna w Polsce. Czasy Zygmunto-wskie”, Warszawa 1966, s. 192–193 (za: Z. Kuchowicz, „Barbara Radziwiłłówna”, Łódź 1989, s. 201).

Patrycja Podrazik – jej pseudonim literacki to P.K. Adams. Mieszka od przeszło 20 lat w USA i oprócz Cyklu Jagiellońskiego ma na koncie dwuczęściową powieść opartą na życiu średniowiecznej mistyczki i uzdrowicielki Hildegardy z Bingen.



SZALEŃSTWO ZAKUPÓW

23-25 września



Platforma rabatowa
szalenstwozakupow.pl

Kupony rabatowe w październikowych wydaniach magazynów

ELLE

1 września



GLAMOUR

23 września



Claudia

14 września



CIXI (1835–1908)

Zwana Cesarzową Wdową. Przez lata sprawowała władzę w imieniu małoletnich cesarzy. Ta żądna władzy intrygantka, często odsądzana od czci i wiary, zainicjowała jednak pod koniec życia próbę zreformowania podupadłego państwa.



SUN YATSEN (1866–1924)

Ten wykształcony na brytyjskiej uczelni lekarz poświęcił się walce o obalenie władzy Mandżurów i stworzenie demokratycznej Republiki Chińskiej. Większość życia spędził na emigracji, w kraju był początkowo mniej znany.



YUAN SHIKAI (1859–1916)

Ambitny i giętki generał. Najpierw popierał konkurentów cesarzowej Cixi, potem znalazł się u jej boku i bronił władzy Mandżurów, ale ostatecznie poparł Republikę. Jednak nie wystarczył mu fotel prezydenta: marzył o tronie smoka.



PUYI (1906–1967)

Bohater „Ostatniego cesarza”. Pochodził z mandżurskiej dynastii Qing. Trafił na tron jako dwulatek. Nim dorósł, Chiny przestały być cesarstwem. Wrócił na tron w uzależnionym od Japonii państwie Mandżukuo (1931).

UPADEK TRONU SMOKA

W październiku Chińczycy świętować będą 110. rocznicę rewolucji, która **zmiotła z tronu Mandżurów**, w miejsce obalonej władzy cesarskiej wprowadzając **rządy republikańskie**. Republika nie przyniosła jednak końca chaosowi w państwie...

Łukasz Czarnecki

Wiek XIX nie rozpieszczał Chin. Kraj błyskawicznie tracił pozycję. Wojna opiumowa, która wybuchła w 1839 r., ujawniła światu, że Cesarstwo to kolos na glinianych nogach. Flota królowej Wiktorii przewyższała chińskie dżonki pod każdym względem, a po dokonaniu desantu na ląd nieliczne brytyjskie oddziały gromiły służące cesarzowi mandżurskie siły. Chińczycy zostali upokorzeni, a Europejczycy przekonali się, że chiński smok, do którego dotąd podchodzili na palcach, jest bezzębny.

Przez następne dziesięciolecia zachodnie mocarstwa (do których dołączyła też Japonia) poczyniły sobie wobec Państwa Środka coraz bezwzględniej i drenowały go z bogactw. Ośmielone porażkami Pekinu, a niechętnie pochodzącemu od mandżurskich najeźdźców rodowi panującemu, także masy ludowe łapały za broń. Największą z rebelii, czyli powstanie tajpingów, kosztowała życie ponad 20 mln ludzi. W międzyczasie kontrolę nad tronem smoka przechwycała wyuzdana i żądna władzy Cesarzowa Wdowa Cixi, pełniącą funkcję regentki przy boku imperatorów figurantów.

REFORMUJĄC PAŃSTWO ŚRODKA

Na początku XX w. Cesarstwo sięgnęło dna. Skierowane przeciw cudzoziemcom

powstanie bokserów, któremu dynastia Qing udzieliła oficjalnego poparcia, zaowocowało złupieniem Pekinu przez siły zagranicznych interwentów oraz narzuceniem Chinom wysokiej kontrybucji. Nawet dla Cixi jasne stało się, że chiński smok ugrzązł w bagnie. Niezbędne były reformy. Dowcip polegał na tym, że za ich wprowadzanie zabrała się monarchini, która niespełna trzy lata wcześniej zorganizowała przewrót pałacowy, by odsunąć od władzy młodego cesarza reformatora Guangxu.

Nastał okres tzw. Nowej Polityki. Tradycyjne działające przy cesarskim dworze biura (jak np. Biuro Kar) zamknięto, w ich miejsce powołując 11 ministerstw wzorowanych na zachodnich odpowiednikach. W roku 1904 zezwolono na tworzenie na prowincjach izb handlowych mających stanowić wyrazicieli głosu lokalnych środowisk biznesowych. W niespełna pół dekady zarejestrowano aż 180 takich organizacji.

Zabrano się za reformowanie szkolnictwa. Otwierano nowoczesne szkoły, których program miał skupiać się na filozofii konfucjańskiej, obejmował praktyczną i przystającą do XX w. wiedzę. W roku 1905 rząd zniósł nawet tradycyjne egzaminy urzędnicze. Od tej pory kandydaci na stanowiska administracyjne zdawać mieli testy ze współczesnej wiedzy politycznej, a nie wykazywać się znajomością nauk Konfucjusza.

Do życia powołano zgromadzenia prowincjonalne stanowiące namiastkę samorządu. Co prawda cenzus wyborczy był tak wysrubowany, że prawo wyboru przedstawicieli do owych ciał miało 0,42 proc. populacji Chin, ale był to już pewien krok w dobrym kierunku. Pekin wypuścił jednak nieświadomie dzina z butelki, bo lokalne elity szybko rozsmakowały się w działalności politycznej i zaczęły głośno domagać się zwołania prawdziwego parlamentu. W odpowiedzi cesarski rząd wysłał w latach 1905–1906 do Europy i USA delegacje mające zbadać, jak właściwie działa taki organ w praktyce.

Gdy toczono o nim dyskusje, do Pekinu płynął strumień petycji wzywających władze do działania. W 1908 r., by uspokoić nastroje, wydano tzw. Zarys konstytucji, w którym obiecano wprowadzenie monarchii parlamentarnej w ciągu dziewięciu lat. Deklaracja ta dołała tylko oliwy do ognia. Elity (bo chłopom, stanowiącym zdecydowaną większość populacji, sprawa była obojętna) nie chciały czekać. W 1909 r., już po śmierci Guangxu i Cixi, do stolicy napłynął prokonstytucyjny memoriał, pod którym widniały podpisy aż 300 tys. przedstawicieli chińskiej szlachty urzędniczej.

CHINY DLA CHIŃCZYKÓW!

Nowym władcą został zaledwie dwuletni Puyi, przy którym funkcję regenta pełnił >



(THE REVOLUTION WAR IN CHINA) No. 9. The Battle of the Lu-ping Gate at Nanjing.

Na pocztówkach z epoki walki **podczas rewolucji chińskiej** w roku 1911 wyglądają dynamicznie, malowniczo, wręcz bohatersko. Zdjęcia z tamtego okresu ujawniają jednak całą okrutną prawdę: znęcanie się nad jeńcami, psy pożerające ciała zabitych, okrutne egzekucje.

➤ jego ojciec Caifeng. Ten po grząskim politycznie gruncie poruszał się z wdziękiem słonia w składzie porcelany. Gdy powołał rząd, w jego skład weszli prawie wyłącznie Mandżurowie, w rządowych fotelach znalazło się miejsce tylko dla jednego Chińczyka! Tymczasem niezadowolone społeczeństwo pikowało. Elity czuły się lekceważone tym, że Pekin nie reagował na ich wezwania przyspieszenia demokratyzacji państwa. Zwyczajni ludzie narzekali na drożyznę. Do tego rosły podatki, bo reformy, które wdrażała dynastia, trzeba było jakoś opłacić.

Nic dziwnego, że dochodziło do zbrojnych wystąpień. Według niektórych szacunków w latach 1896–1911 zanotowano aż 653 wybuchów przemocy skierowanych przeciw władzom! Przykład powstania bokserów jasno pokazywał, do jakiej katastrofy może doprowadzić niezadowolony lud. Kolejne wystąpienia łączyło niewiele, aczkolwiek powtarzało się hasło wygnania Mandżurów. Ludowi, owładniętemu sentymentem do odległych czasów dynastii Ming, wydawało się, że samo zrzucenie z tronu smoka potomków obcych najeźdźców i osadze-

Zaczęło się od wybuchu 9 października 1911 r. na terenie rosyjskiej koncesji w Hankou, wchodzącym w skład trójmiasta Wuhan

nie na nim rdzennego Chińczyka sprawi, iż wszystkie problemy rozwiążą się same. Żłudzenie to chętnie podsycali opozycyjni nastawieni do stolicy prowincjonalne elity oraz konspiratorzy skupieni w szykującej ogólnokrajową rewolucję Lidze Związkowej, na której czele stał czołowy chiński ideolog demokracji doktor Sun Yatsen. Jak twierdził pewien ówczesny chiński literat, hasło wzywające do wypędzenia Mandżurów miało tę zaletę, iż „nawet tępak jest w stanie je zrozumieć, mówić o nim i się nim kierować”.

REWOLUCYJNA ROLA PRZYPADKU

Jesienią roku 1911 wrzenie w narodzie osiągnęło punkt krytyczny. Mimo to nikt z obserwatorów chińskiej sceny politycznej

nie podejrzewał, że już wkrótce Cesarstwem wstrząśnie eksplozja, która wyrzuci tron smoka. W kwietniu w Kantonie wybuchła insurekcja zorganizowana przez zwolenników doktora Suna. Jak wszystkie powstania, za którymi stał lekarz rewolucjonista (a łącznie było ich dziesięć), zryw zakończył się totalną klęską. Zrezygnowany przywódca Ligi Związkowej spakował walizkę i popłynął do USA, by tam popularyzować wizję Republiki Chińskiej, o którą walczył.

Minęło kilka miesięcy. I wtedy wybuchła bomba. Dosłownie. Na terenie rosyjskiej koncesji w Hankou, wchodzącym w skład trójmiasta Wuhan. 9 października 1911 r. doszło tam do przypadkowej eksplozji materiałów wybuchowych gromadzonych przez lokalnych konspiratorów. Rosyjska policja w odpowiedzi dokonała serii aresztowań, a zdobytą dokumentację o spiskowcach przekazała w ręce chińskich służb.

Na żołnierzy stacjonujących w innej części składowej trójmiasta – Wuchangu – padł błady strach. Garnizon był zinfiltrowany przez rewolucyjnych agitatorów i wielu młodszych żołnierzy podzielało



poglądy Sun Yatsena. Teraz stanęli przed ponurą perspektywą dekonspiracji i rozstrzelania. Wiedząc, że nie mają czasu do stracenia, młodzi wojacy postanowili działać. 10 października metropolię ogarnęło powstanie. Buntownicy zdobyli miejski arsenał i zastrzelili kilku urzędników. Przeciw rebeliantom ruszyły siły dochowujące wierności Pekinowi. Niedawni koledzy stoczyli na ulicach Wuhanu krwawą bitwę. Buntownikom udało się odeprzeć atak lojalistów i przejąć kontrolę nad trójmiastem.

Pucz odniósł sukces. Insurekcja potrzebowała teraz utalentowanego lidera, który poprowadziłby buntowników do dalszego boju. Odniesione zwycięstwo nie odebrało zrewoltowanym żołnierzom zdrowego rozsądku – na razie kontrolowali przecież tylko jedną metropolię. Puczyści postanowili obwołać wodzem generała brygady Li Yuanhonga. Problem w tym, że on sam niespecjalnie widział się w tej roli. Gdy młodzi żołnierze przyszli do jego kwatery, zastali generała... schowanego pod łóżkiem i głośno protestującego przeciw zaszczytowi, który go spotkał. Kiedy jednak wyciągnięto

go z kryjówki i pogroźono, odkrył w sobie ogromne pokłady rewolucyjnego zapału.

BURZA NAD CESARSTWEM

Wiadomość o wydarzeniach z Wuhan okazała się iskrą rzuconą na beczkę prochu. Ogień rewolucji ogarnął całą prowincję i zaczął przenosić się za jej granice. W kolejnych miastach dochodziło do puczów obalających mandżurską władzę. Ludność organizowała się w powstańcze milicje. Żołnierze lojalistów częściej uciekali, niż walczyli, a wielu z nich przechodziło na stronę wroga. Lokalna administracja również odwracała się do Pekinu. W efekcie do grudnia rewolucjoniści przejęli władzę w kilkunastu prowincjach, a w ich ręce wpadła m.in. dawna stolica dynastii Ming – Nankin. Powstańcy sformowali własny parlament i powołali rząd rewolucyjny.

Doktora Sun Yatsena wieści z ojczyzny zaskoczyły w Denver. Najpierw dostał zasztyfowaną depeszę od aktywistów Ligi Związkowej, ale... zgubił gdzieś książeczkę z kluczem deszyfrującym. O wybuchu wymarzonej rewolucji dowiedział się dopiero z prasy. Czym prędzej przerwał objazd po USA i pożegłował do Londynu, by zabiegać w tamtejszym MSZ o poparcie Wielkiej Brytanii dla buntowników. Uzyskawszy zapewnienie życzliwej neutralności i zawadzawszy jeszcze o Paryż, ruszył ku Chinom.

Tymczasem w Pekinie wybuchła panika. Przerażeni Mandżurowie gorączkowo rozważali różne opcje. Jedni radzili uciekać do Mandżurii, inni walczyć. W końcu wzywali na pomoc odesłanego parę lat wcześniej na emeryturę generała Yuana Shikaia.

OBROŃCA OSTATNIEGO CESARZA

Yuan to postać dwuznaczna. W trakcie swojej kariery dopuścił się ogromnej liczby aktów wiarołomstwa. W 1898 r. pomógł Cixi w odsunięciu od władzy cesarza Guangxu, który chwilę wcześniej prosił go o ochronę przed ambitną ciotką. Dzięki temu judaszowemu postępkowi kariera generała nabrała rozpędu. Jednak, gdy wybuchło powstanie bokserów, Yuan wbrew cesarskim rozkazom odmówił współpracy z buntownikami. Nic dziwnego, że potem nikt mu nie ufał i został odesłany na emeryturę. Miał jednak posłuch w szeregach Armii Północnej – nowoczesnej siły zbrojnej, nad której sformo-

waniem osobiście czuwał. Sentyment mieli do niego zarówno konserwatyści, jak i reformatorzy. Uchodził za postępowca, ale nie radykała. Ponadto cieszył się łaskami zagranicznych mocarstw. Zachodni dyplomaci uważali go za wybitnego męża stanu.

Yuan powiedział władzom w Pekinie, że gotów jest ruszyć w bój w obronie dynastii, ale w zamian żądał stanowiska premiera i powierzenia mu prawie całkowitej władzy. Zdesperowani Mandżurowie zgodzili się.

Armia Północna ruszyła w pole. Szybko wykazała, że opinia o skuteczności tej formacji nie była przesadzona. Lojalistom udało się odbić maceznic rewolucji – Wuhan. Tyle tylko, że żołnierzy Yuana było za mało, by rozciągnąć nad odzyskanymi ziemiami stałą kontrolę. Czas leciał, bieg spraw coraz bardziej się komplikował, żadna ze stron nie mogła zadać decydującego ciosu. I wtedy właśnie Yuan dokonał kolejnej zdrady.

ZGNIŁY KOMPROMIS

Gdy parowiec z doktorem Sun Yatsenem na pokładzie pruł przez ocean, ludzie Yuana skontaktowali się z rewolucyjnym rządem. Generał oferował, że zdradzi cesarza Puyi i wymusi abdykację dynastii, o ile w nowej Republice Chińskiej otrzyma fotel prezydenta. Zaczęto tajne rokowania.

Tymczasem w Boże Narodzenie 1911 r. do Szanghaju dobił statek z Sun Yatsenem. Pod koniec miesiąca doktor był już w Nankinie. Tu parlament powierzył mu urząd tymczasowego prezydenta. Wzruszony lekarz rewolucjonista 1 stycznia 1912 r. oficjalnie proklamował powstanie Republiki Chińskiej. Po czym odwiedził mauzoleum założyciela dynastii Ming cesarza Hongwu, by poinformować jego ducha o odzyskaniu wolności przez Chiny.

W sekrecie Sun zobowiązał się jednak ustąpić z urzędu na rzecz Yuana. Zdradziecki generał, czując już smak prezydentury, zaczął naciskać na ród cesarski, wciąż trzymający się tronu. Lecz gdy Yuan pozwolił sobie na zbyt dużo, pewien mandżurski wojskowy zaproponował zamordowanie zdrajcy i postawienie na czele Armii Północnej kogoś o bardziej wypróbowanej wierności. Kilka dni później ów wojskowy zginął z rąk nieznanymi sprawcami. Mandżurowie pojęli, że gra jest skończona. Nie mieli szans na zachowanie tronu, mogli >

MEANDRY CHIŃSKIEJ REWOLUCJI (1911)

ZWYCIĘŻYŁ PRZYPADEK

*Efekt rebelii mogło być powstanie **nowej dynastii, a nie republiki***

Łukasz Czarnecki: Wybuch rewolucji poprzedziło kilkaset zbrojnych wystąpień, w tym dziesięć nieudanych zrywów zorganizowanych przez samych zwolenników Sun Yatsena. Dlaczego to właśnie rebelia z 10 października 1911 r. odniosła sukces?

Jakub Polit: Najkrócej mówiąc – przez przypadek polegający na trafieniu na sprzyjającą chwilę. No i to przesada z tymi kilkuset próbami. Chyba, że policzymy wszystkie wystąpienia przeciw dynastii rozpoczynane z jakichkolwiek powodów. Yatsen mówił o „dziesięciu nieudanych próbach rewolucyjnych”, ale ta okrągła liczba jest czysto symboliczna.

Na początku XX wieku mocarstwami mającymi największe wpływy w Państwie Środka były Wielka Brytania oraz Japonia. Jak Londyn i Tokio zareagowały na wybuch rewolucji?

J.P.: Wyczekująco. Dla obu mocarstw – notabene od roku 1902 połączonych formalnym

sojuszem – liczył się nie taki czy inny ustrój w Chinach, ale to, by owa władza respektowała zaciągnięte przez poprzedników zobowiązania. I aby nie przeszkadzała cudzoziemskim interesom. Dlatego rewolucjoniści ze wszystkich sił podkreślali, iż ich akcja interesem tym nie zagrazi.

Dodać można, iż Sun Yatsen świetnie znał Japonię, gdzie przez dłuższy czas mieszkał pod nazwiskiem Nakayama. Miał tam zwolenników i przyjaciół. Ci skutecznie stordowali pomysły ratowania Mandżurów, jakie przelotnie pojawiły się na dworze cesarza Meiji.

Jeszcze jedno warto powiedzieć. Sun Yatsen i jego otoczenie byli chyba najbardziej prozachodnią ekipą polityczną w całej historii Chin. Sam przywódca był chrześcijaninem z dyplomem doktora zachodniej (nie chińskiej!) medycyny, manierami i strojem przypominającym angielskiego dżentelmena. Choć partia, którą sformowali, nosiła nazwę narodowej czy wręcz nacjonalistycznej,

w języku marksistowskim bardziej zasługiwaliby na nazwę „psów łańcuchowych imperialistów”.

O zwycięstwie rebeliantów zadecydowały nie ich sukcesy na polu bitwy, lecz porozumienie z Yuan Shikaim. Sun Yatsen odstąpił generałowi urząd prezydenta. Ten zaś, jak wiemy, rychło zdradził sprawę demokracji. Czy posunięcie lekarza rewolucjonisty możemy zatem uznać za jego błąd? Było jakieś inne wyjście?

J.P.: Ta „zdrada” to znów epitet rzucony post factum, choć naturalnie Yuan nie był człowiekiem przesadnie dotrzymującym przyrzeczeń. Kompromis był nieuchronny. Ten tak potem oczerniany człowiek uchodził – w jakimś sensie nie bez racji – za śmiałego, choć nie radykalnego reformatora. Był pupilem zagranicznych dyplomatów, z których dziekanem, brytyjskim posłem Johnem Jordanem, pozostawał w autentycznej zażyłości. Wreszcie od trzech lat znajdował się



dr hab. Jakub Polit

z Instytutu Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalista od dziejów Dalekiego Wschodu w XX wieku.

w faktycznej niełasce, mieszkał w swej posiadłości Dan-shangu (jak potem „przedmajowy” Piłsudski w Sulejówku). Yuana wprawdzie nie cierpieli Japończycy mający z nim stare porachunki, ale był to wyjątek; przeważało zdanie brytyjskich potentatów. Sun był po pierwsze słaby, po drugie zdawał sobie z tego sprawę, a po trzecie obalając dynastię, osiągnął już i tak zawrotny sukces. Zresztą w rządzie Yuana (tego ostatniego struchleli Mandżurowie sami odwołali z wygnania i postawili na czele gabinetu) miał objąć prestiżowe stanowisko.

Jak mogłaby się rozwinąć sytuacja, gdyby nie udało się skorumpować politycznie Yuana? Faktycznie dysponował siłą umożliwiającą stłumienie rewolucji, tak jak oczekiwał od niego cesarski dwór?

J.P.: Historia nie jest nauką ścisłą ani eksperymentalną. Z tego jednak, co wiemy,

➤ tylko marzyć, by z całej awantury wyjść z życiem. 12 lutego 1912 r. oficjalnie ogłoszono abdykację dziecięcego cesarza Puyi. Dynastia Qing upadła, a wraz z nią pradawna monarchia. Czy jednak na pewno?

CESARZ TO MA KLAWĘ ŻYCIE

Zgodnie z ustaleniami doktor Sun złożył rezygnację z funkcji głowy państwa i przekazał ją Yuanowi, który tym samym stanął na czele Republiki Chińskiej. W jego nowym

rządzie znalazło się miejsce i dla lekarza rewolucjonisty, który został ministrem kolei.

Prezydentura nie zaspokajała ambicji generała. Szybko zaczął poszerzać zakres swej władzy. Nie stronił od przekupstwa, zastraszania i zwykłych mordów. Gdy zwycięstwo w wyborach do parlamentu odniosła założona przez Sun Yatsena Partia Narodowa (Kuomintang), prezydent zlecił zabójstwo przewidzianego na premiera młodego polityka Songa Jiaorena. Skorumpował par-

lament pieniędzmi uzyskanymi z bezprawnie zaciągniętej zagranicznej pożyczki, a na koniec... zdelegalizował opozycję.

W roku 1915 w chińskiej prasie przeczytać można było, iż nad prezydencką limuzyną widziano przelatującego smoka. Autorzy artykułów dowodzili, że pojawienie się mitycznego gada jest wyrazem woli Niebios, namaszczonego prezydenta na nowego cesarza. Głupota prezydenckich propagandzistów i ich zleceńodawcy wydaje się

założyć by można fatalny scenariusz, czyli wojnę przewlekłą połączoną ze stopniowym rozpadem państwa. Zresztą dokonał się on niespełna dekadę później. Yuan mógł utrzymać Północ, gdyby się do niej ograniczył, ale na to nie pozwoliłoby mu otoczenie i ambicja. Na Południu mógł wygrywać bitwy, ale sytuacja przypominałaby to, co polityolodzy nazywają „jedzeniem zupy nożem”. Yuan, widząc bezradność dworu i kłopoty rewolucjonistów, zwietrzył okazję, ale o klasyczną korupcję polityczną trudno go oskarżać. Obie strony (plus zagranica) prosiły go o przyjęcie przywództwa. W istocie dało mu ono miejsce w podręcznikach historii, ale i skróciło życie.

Prezydentura nie zaspokoila apetytu Yuana na władzę. Rychło zaczął szykować się do własnej intronizacji. Czy jego plan zostania cesarzem i stworzenia nowej dynastii miał szansę powodzenia, a może w XX wieku był już kompletnym anachronizmem?

J.P.: Miał całkowite szanse powodzenia. Przypomnijmy, iż parę lat później dokonał się w Persji, gdzie ambitny wojskowy obalił dynastię Kadża-

rów i zapoczątkował własną, pod nazwą Pahlawi. Kto wie, czy taka alternatywa – nowa monarchia, w przeciwieństwie do obalonej mandżurskiej naprawdę chińska i narodowa – nie byłaby summa summarum najlepsza dla Chin. Zresztą wszystko byłoby lepsze od późniejszych rządów komunistów.

Rzesze mieszkańców Chin nie miały pojęcia czym jest zagadkowe słowo Minguo (Republika). Yuan, po łatwym zdławieniu w 1913 r. nie-wczesnej próby rebelii zawiedzionych zwolenników Suna, był jedynowładcą. Światłym,

ale zupełnym, acz naturalnie niedziedzicznym. Jako profesjonalny wojskowy – zawód w Chinach tradycyjnie pogardzany – miał jednak „papiery nie w porządku”. Wyjściem byłyby właśnie założenie własnej dynastii. W długiej historii Chin nieraz udało to się ambitnym awanturnikom. Tu jednak Yuan poniósł klęskę. Powody były złożone. Główny to eksplodująca w Europie wojna światowa, która związała ręce wszystkim przyjaznym mu mocarstwom, z wyjątkiem czyhających na okazję Japończyków. To oni doprowadzili do buntu części armii, uru-

chomili też mieszkających na ich Wyspach rewolucjonistów, w tym Sun Yatsena.

Oczywiście matactwa te nie przyniosłyby skutku, gdyby nie było powodów do frondy w samych Chinach. Otaczając Yuana militarną klikę jednoczyła nadzieja – nieosiągalna w wypadku restauracji monarchii – na przejście po nim stanowiska głowy państwa. Dyktator mógł rozbroić tę bombę, pozbawiając generalicję wpływów politycznych, na przykład zastrzegając stanowisko gubernatorów prowincji dla cywilów. Miał nawet takie plany, ale nie zdążył ich wcielić w życie. Wcześniej jego autoritet w kraju podcięli Japończycy, próbując narzucić mu upokarzający układ, tzw. dwadzieścia jeden żądań. Przy pomocy zaprzyjaźnionych mocarstw (teraz jednak, jak wspomnieliśmy, zajętych gdzie indziej) zdołał wybronić się przed wypiciem tej trucizny do dna, ale tylko częściowo. Zmarł załamany i zrozpaczony 6 czerwca 1916 r., na gruzach swego cesarskiego snu. Wyładki częściowo go pomściły. Demokracji w Chinach – wyjąwszy Tajwan – nadal nie ma, a czy ich obecni przywódcy są światlejsi i sympatyczniejsi niż Yuan? Na ich miejscu nie ryzykowałbym porównania. ■



Zagraniczna prasa z zainteresowaniem pisała o przemianach w Państwie Środka, wspominając m.in. o samochodzie Sun Yatsena i pierwszej Chince prowadzącej auto. Jednak dla wielu Chińczyków zmiana porządków była nie tylko wyzwaniem, ale i dramatem.

wręcz nieprawdopodobna – wykształceni czytelnicy gazet w smoki nie wierzyli, a do zabobonnych chłopów prasa nie docierała (a gdyby nawet wiatr przywiał tam jakiś egzemplarz, to większość z nich i tak była analfabetami).

12 grudnia 1915 r. Yuan postawił kropkę nad i dokonał w pekińskiej Świątyni Niebios uroczystej intronizacji. Tą kroplą przelał czarę goryczy – ambitni wojskowi gubernatorzy poszczególnych prowincji podnieśli

bunt. Japończycy, zawsze chętnie destabilizujący sytuację w Chinach, sygnali jenami wszystkim przeciwnikom nowego monarchy. Państwo Środka pogrążyło się w totalnym chaosie, a każdy walczył z każdym.

Prerażony Yuan abdykował. Chciał uciec z kraju do USA, ale nie zdążył. Zmarł nagle w swoim pekińskim pałacu 6 czerwca 1916, pokonany przez zabójcze połączenie depresji i uremii. Przez następne lata Republika Chińska miała być areną niekończą-

cych się wojen między różnymi watazkami i frakcjami. Demokratyczna była tylko z nazwy. Pierwsze wolne wybory do chińskiego parlamentu, jakie odbyły się po zwycięstwie rewolucji, okazały się ostatnimi. Obalenie Mandżurów nie tylko nie rozwiązało kłopotów Chińczyków, lecz ściągnęło na ich głowy lawinę nieszczęść. ■

Łukasz Czarniecki – historyk, pisarz, specjalizuje się w dziejach Azji oraz starożytności.

Jean Harlow została gwiazdą Hollywood dzięki swoim platynowym włosom. Ale to prawdopodobnie właśnie ich farbowanie doprowadziło aktorkę do przedwczesnej śmierci.



KRONIKA NIEZAPOWIEDZIANEJ ŚMIERCI

Byli sławni, przekonani o swoim zdrowiu, sile i umiejętnościach. Wierzyli w swoją pracę i mieli bogate plany, bawili się i romansowali. I wtedy przyszła **dziwna i nieoczekiwana śmierć**

Paweł Pizuński

Nie wiemy kiedy, gdzie i jak umrzemy, chyba że ktoś zaplanuje swoją śmierć. Tak zrobił pewien Francuz, Jacques Le Fevrier. Miał dość życia i postanowił się zabić. Wszystko przygotował bardzo starannie. Stał nad brzegiem urwiska, założył sobie pętlę na szyję, sznur przymocował do wznoszącej się nad brzegiem skały, po czym zażył truciznę. Nie skoczył od razu. Wcześniej podpalił na sobie ubranie i przyłożył do skroni pistolet. Wystrzelił, gdy rzucił się w dół. Ale miał pecha. Wystrzelona z pistoletu kula przecięła sznur, na którym zamierzał się powiesić i samobójca wpadł do morza. Płonące ubranie zgasało, zalewająca usta woda sprawiła, że zwymiotował truciznę, a na koniec tonącego mężczyźną dostrzegł rybak i pospieszył z pomocą. Pechowego samobójcę wyciągnięto na brzeg i odwieziono do szpitala, gdzie... zmarł z wyziębienia.

Le Fevrier osiągnął swój cel, jednak pośmiertnie nominowany został do nagrody Darwina i dziś figuruje tam obok takich postaci jak James Burns z Alamo. Jadąc

ciężarówką usłyszał on dziwny hałas wydobywający się spod podwozia. Zaniepokojony, postanowił sprawdzić, co się dzieje, ale zrobił to w sposób nietuzinkowy. Nie zatrzymał samochodu i nie wyłączył silnika, lecz poprosił siedzącego obok kolegę, by przytrzymał kierownicę. Sam opuścił kabinę i zajrzał pod podwozie. Żywy stamtąd nie wyszedł. Ubranie wkręciło mu się w wał napędowy i zginął...

PLATYNA WE WŁOSACH

Dziwnym trafem bezsensowne, absurdalne i spektakularne przyczyny zgonów nader często przytrafiają się ludziom szeroko pojętej sztuki. Oto Joseph Hennell, niski 40-letni mężczyzna, który przed I wojną światową występował w wodewilach przebrany za kobietę. W tamtych czasach często spotykało się aktorów tego typu, ale Hennell chciał być jedynym swego rodzaju. Na głowę zakładał ufryzowaną perukę, na nogi pończochy i buty z cholewą do pół łydki, a do tego długą suknię i mocno opinający talię gorset. W takim właśnie stroju pojawił się też 3 listopada 1912 r. na deskach teatru

w Saint Louis, zasłabł jednak w trakcie przedstawienia i zmarł trzy godziny później. Okazało się, że zabił go... gorset. Robił to po cichu, stopniowo, od wielu lat.

Z początku gorset Hennellowi zbytnio nie szkodził. Problemy pojawiły się, gdy w miarę upływu lat aktor zaczął tyć. By prezentować się dobrze na scenie gorset wiązał coraz ciaśniej, choć lekarze i przyjaciele przestrzegali, że może to spowodować schorzenia nerek, a nawet apopleksję. Hennell nie słuchał i stało się. Poległ na ołtarzu sztuki. Nie był jednak jedyny. Podobny los spotkała amerykańską aktorkę Jean Harlow, tyle że nie gorset ją zabił, lecz chemia.

Jean trafiła do filmu przez przypadek. W 1928 r. zagrała epizod w niemy filmie „Honor Bound”, później było kilka drobnych ról i już dwa lata później Jean stała się gwiazdą. Choć według krytyków talentem nie grzeszyła, to jednak poza urodą Harlow miała ważny atut: platynowe blond włosy.

Zapewniała, że dostała je od natury, ale nie była to prawda. Platynowe włosy zawdzięczała Jean zabiegom zatrudnionego przez wytwórnię filmową stylisty Alfreda >



Bruce Lee tak bardzo chciał dobrze wyglądać na ekranie, że kazał sobie usunąć gruczoły potowe. Właśnie to mogło go zabić. Na zdjęciu powyżej: woskowa figura mistrza kung-fu w gabinecie Madame Tussaud w San Francisco.

➤ Pagano. Raz w tygodniu pokrywał on jej włosy miksturą złożoną z nadtlenu wodoru, amoniaku, wybielacza Clorox i płatków mydlanych. Efekt był piorunujący. Po sukcesie filmu „Platynowa blondynka” Harlow stała się najpopularniejszą aktorką Hollywoodu i w USA nastała moda na blond piękności.

Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać kluby „platynowych blondynek”, a gdy producent filmowy Hughes ufundował nagrodę dla kobiety, która nada swej fryzurze barwę zbliżoną do koloru włosów aktorki, panie zaczęły farbować się na potęgę. Skutek był zwykle fatalny. Włosy wypadały garściami, wiele kobiet wyłysiało, ale najwyższą cenę zapłaciła sama Jean. 29 maja 1937 r. zasłabła na planie filmu „Saratoga”, a przywołany lekarz wyczuł w jej oddechu zapach amoniaku, stwierdził obrzęk warg i języka. Diagnoza brzmiała jak wyrok. W tamtych czasach mocznica była chorobą nieuleczalną. Przebyta w dzieciństwie szkarlatyna, liczne przygody z alkoholem, a nade wszystko zabiegi wybielania włosów odbiły się czkawką na nerkach aktorki. Zmarła 7 czerwca 1937 r. w wieku zaledwie 26 lat.

POT SMOKA

Inną gwiazdą, która sobie zaszkodziła był Bruce Lee. Zasłynął rolą w „Wejście

Okolo roku 1008 uczony islamski Ismail ibn Hammad al-Jawhari tak bardzo chciał wypróbować wynaleziony przez siebie dwuskrzydłowy szybowiec, że wszedł na dach meczetu i skoczył. Próba się nie powiodła

smoka”, tyle że prawdziwej sławy nawet nie spróbował. Zmarł sześć dni przed premierą filmu, choć trzeba przyznać, że miał szczęście do dużego ekranu. Swą pierwszą rolę zagrał już jako trzymiesięczne dziecko w filmie „Kobieta w złotej bramie”, grał też w wieku 5 i 8 lat. Później było gorzej. Młodość upłynęła mu pod znakiem bójek ulicznych i sportu, od filmu bardziej interesowało go kung-fu oraz boks. Skończyłby pewno w którymś z gangów Hongkongu, na szczęście jednak wyemigrował do USA i tam ustatkował się. Zrobił studia, otworzył szkołę kung-fu i wkrótce film się o niego upomniał. W 1965 r. zagrał w serialu „Zielony szerszeń” i po kilku latach stał się gwiazdą. Nie w USA, bo tam znany był bar-

dziej jako trener przysposabiający znanych aktorów do scen walki, lecz w Hongkongu.

Główną rolę w filmie „Wejście smoka” zaproponowano mu w 1973 r., gdy miał zaledwie 33 lata. Wielka kariera leżała u jego stóp, zmarł jednak krótko po zakończeniu zdjęć. Natychmiast pojawiły się teorie spiskowe. Mówiono, że Lee zginął od „ciosu wibrującej pięści” zadanego mu przez mnichów z Shaolin. Plotkowano, że zabiła go chińska mafia, mówiono o kłątwie ciężającej na jego rodzinie i o tym, że Bruce nie zginął, lecz ukrył się przed prześladowcami. Podobnie absurdalne teorie krążą do dziś, a tymczasem wyjaśnienie może być proste. Przedstawił je niedawno pewien biograf aktora.

Bruce Lee od młodości miał problemy z nadmierną potliwością, a ponieważ pot i owłosienie pod pachami źle prezentowały się na ekranie, postanowił dać sobie wyciąć gruczoły potowe pod pachą. Zaburzyło to w jego ciele naturalny sposób regulacji temperatury, a warunki, w jakich kręcono „Wejście smoka”, dopełniły reszty. Zdjęcia w Hongkongu trwały od lutego do kwietnia 1973 r. przy temperaturze powietrza przekraczającej 26 stopni i wilgotności 93 proc. W połączeniu z intensywnym wysiłkiem fizycznym dało to fatalny efekt. Lee schudł 10 kg, a później przyszły ataki migreny.

Pierwsze symptomy jego problemów ze zdrowiem pojawiły się 10 maja 1973 r. Lee podkładał wtedy dialogi do kolejnego filmu, a ponieważ warunki panujące na zewnątrz studia źle wpływały na dźwięk, wyłączono klimatyzację. W pewnym momencie Bruce (który zażył na dodatek trochę chińskiego haszyszu) przewrócił się, doznał drgawek i zaczął się dusić. Odwieziono go do szpitala i choć jeden z lekarzy zdiagnozował obrzęk mózgu, nikt, łącznie z aktorem, zbyt nie przejął. Po wyjściu ze szpitala Lee wrócił do pracy, by ukończyć „Grę śmierci”, ale nie zdążył. 20 lipca odwiedził aktorkę Betty Ting Pei w jej mieszkaniu i tam źle się poczuł. Położył się na krótką drzemkę, jednakże już się nie obudził. Zmarł na obrzęk mózgu, zanim przyjechała karetka.

KONAR I ZBYT DŁUGI SZAL

Bruce Lee zmarł nie doczekawszy sławy, ale za to Isadora Duncan zaznała jej aż w nadmiarze. Zrewolucjonizowała taniec, a życie dało jej wszystko, co ma do zaoferowania – łącznie z niedostatkiem, upokorzeniami, goryczą porażek i tragediami osobistymi. Dziwnym trafem największe nieszczęścia dotknęły ją z powodu samochodów.

Dotkliwy cios spadł na nią już 9 kwietnia 1913 r. Tuż po przyjeździe do Neuilly Isadora wysiadła z samochodu, niania zaś wraz z dwójką dzieci tancerki ruszyły dalej w stronę Wersalu. Ujechali jakieś 100 metrów, zatrzymali się, by przepuścić jadący z naprzeciwka pojazd, a ponieważ zgasł silnik, kierowca wysiadł, by uruchomić go za pomocą korby. Z rozrządzenia zapomniał zaciągnąć hamulec i stojący na zboczach pagórka samochód ruszył w stronę płynącej nieopodal Sekwany. Nikt, kto znajdował się wewnątrz, nie przeżył. Utonęła zarówno niania, jak i dwójka dzieci Isadory.

Pomimo tego nieszczęścia oraz kilku wypadków samochodowych Isadora nadal uwielbiała pojazdy. Chciała się nawet nauczyć prowadzić auto i dlatego 14 września 1927 r. umówiła się na przejażdżkę z 32-letnim mechanikiem Benoito Falchettim. Do wypadku doszło wieczorem w Nicei, na promenadzie des Anglais. Tuż po spotkaniu z dziennikarką Mary Desti Parks obie zajęły miejsce na tylnym sie-

dzeniu luksusowego kabrioletu Amilcar CGSS. Duncan miała owinięty wokół szyi długi, jedwabny szal, ponoć barwy czerwonej. Kolor ten symbolizował jej poglądy. Isadora była feministką, darwinistką i komunistką, popierała też rządzących w Rosji bolszewików, choć i oni, jak się wyraziła, byli dla niej „zbyt burżuazyjni”.

Kierowca ruszył, lecz przejechał ledwie 20 metrów, gdy rozległ się krzyk Mary Desti. Falchetti zatrzymał pojazd, ale Duncan w nim nie było. Okazało się że jej długi szal wkręcił się w oś tylnego koła, złamał kark i wyrwał z samochodu. Gdy się zatrzymali, tancerka leżała na bruku z głową zakleszczoną między błotnikiem a podwoziem. Zmarła tuż po tym, jak ją uwolniono.

Tancerkę zabiło zamiłowanie do aut, które były dla niej symbolem prestiżu i wolności, o jakiej marzyła. Poeta i pisarz Ödön von Horvath przeciwnie. Nie przepadał za nowinkami technicznymi, a samochodów i wind bał się bardziej niż narodowych socjalistów, przed którymi uciekł najpierw z Niemiec, a później z Austrii. Po części to niechęć do techniki go zgubiła.



Światowej sławy tancerkę Isadorę Duncan zgubiła miłość do aut. W koła jadącego samochodu wkręcił się długi szal artystki.

Wieczorem 1 czerwca 1938 r. wracał ze spotkania z filmowcem Robertem Siodmakiem. Żona reżysera chciała podwieźć go do hotelu, w którym się zatrzymał, ale uprzejmie odmówił. Oświadczył, że pójdzie pieszo, choć pogoda w Paryżu była fatalna. Padało i wiało, a mimo to pisarz był w doskonałym nastroju. Siodmak chciał przenieść na ekran jego powieść „Młodość bez Boga”, a to zwiastowało koniec niedostatków. W swej naiwności sądził, że właśnie spełniła się przepowiednia pewnej wróżbitki, która przepowiedziała mu, że w Paryżu przeżyje przygodę swego życia. Pomylił się.

Gdy skręcił na Pola Elizejskie, rozpętała się burza, jakiej od dawna tu nie widziano. Trzaskały pioruny, wiatr zginał drzewa i w pewnym momencie oderwał się konar starego platana. Pech chciał, że spadając uderzył Ödöna w tył głowy. Pisarz stracił przytomność i choć uprzejmi przechodnie natychmiast przewieźli go do szpitala, to jednak lekarze nie byli w stanie mu pomóc. Zmarł, a pewno żyłby, gdyby skorzystał z oferowanej mu darmowej podwózki.

SPADOCHRON SIĘ NIE OTWORZYŁ

Temu, że Horvath bał się wind i aut, trudno się dziwić. Technika bywa wszak zawodna i często zabija nawet swych twórców. Na przykład superwyznalezca Sylvester Roper. Konstruował maszyny do szycia i silniki parowe, a w końcu wziął się za samochody i motocykle. Zmarł 1 czerwca 1896 r. na atak serca w wieku 73 lat, gdy skonstruowanym przez siebie motorowerem rozpędził się do prędkości 60 km na godzinę.

Podobny los spotkał setki lat wcześniej, około 1008 r., uczonego islamskiego Ismaila ibn Hammada al-Jawharięgo. Chciał wypróbować wynaleziony przez siebie dwuskrzydłowy szybowiec, wszedł więc na dach meczetu w Nishapurze i skoczył. Próba nie powiodła się. Al-Jawhari zginął.

Podobnie Jean-François de Rozier, jeden z pionierów baloniarstwa. W czerwcu 1785 r. chciał przelecieć nad kanałem La Manche, ale powłoka jego wypełnionego wodorem balonu rozdarła się i wynalezca spadł z wysokości 500 m. Równie tragiczny upadek zaliczył konstruktor pierwszego szybowca Otto Lilienthal, tyle że on spadł z 15 m.

Wielu wynalazców skończyło podobnie, ale żaden tak spektakularnie jak pewien austriacki krawiec. Jeśli Lilienthala inspirowały ptaki, to Franz Reichelt chciał naśladować nietoperze. Ponieważ samolot i szybowiec zostały już wynalezione, postanowił skonstruować spadochron. Miał ku temu motywację. Aeroklub francuski oferował właśnie 10 tys. franków temu, kto stworzy przyrząd, który zapewni ratunek załodze samolotu, gdy ten zawiedzie w czasie lotu. Warunek by jeden. Przyrząd nie mógł ważyć więcej niż 25 kg i miał mieścić się w kabine szycowca.

Reichelt zabrał się do pracy i już pod koniec 1910 r. opracował prototyp. Do jego budowy użył materiałów, które miał pod ręką w swym warsztacie krawieckim w Paryżu. Było to głównie płótno i różnego rodzaju gumki do pantalonów, za pomocą których przymocowywał coś w rodzaju kapoty do rąk, nóg i tułowia. Wynalazek testował na manekinach, które miał w pracowni. Owijał je w swój spadochron i zrzucał z piątego piętra kamienicy. Gdy stwierdził, że efekt jest zadowalający, spróbował sam. Skoczył kilka razy z wysokości 10 m na stertę siana, a gdy się poturbował, uznał, że lepszy skutek uzyska spadając z większej wysokości. Dlatego spisał testament, ogłosił w prasie, że wynalazł spadochron i zapowiedział, że 4 lutego 1912 r. wypróbuje go, skacząc z wieży Eiffa.

Mimo panującego wtedy mrozu, próbę Reichelta śledziło wiele osób. Zeszli się dziennikarze, a jeden zarejestrował wszystko na filmie. Widać na nim jak śmiałek wspina się na pierwszy taras budowli, zakłada swój uniform i staje przy balustradzie. Jedyne strażnik wieży Eiffla próbował go powstrzymać, ale krawiec nie słuchał. Skoczył z wysokości 58 m i wbił się w bruk na głębokość 15 cm...

NAWET ŁÓŻKO MOŻE ZABIĆ

Zapoznawszy się z pechowymi spotkaniami artystów, wynalazców i pisarzy ze śmiercią, nabrać można przekonania, że najbezpieczniej jest w domu, we własnym łóżku. Czyżby? To właśnie w domowych pieleszach umiera większość ludzi i to niezręcznie w bardzo dziwny sposób. Okoliczności takiej śmierci bywają jeszcze bardziej spektakularne, gdy dzieli się łóżko z młodą,

pełną wigoru osobą, mając słabe serce i więcej niż pięćdziesiąt lat na karku. To właśnie tak skończył swój doczesny żywot siódmy z kolei prezydent Francji.

Felix Faure pochodził z ludu. Za młodu pracował w wytwórni skór, później został kupcem, dorobił się majątku i w 1895 r., w wieku 54 lat, został prezydentem. 28 lat młodszą panią Steinheil poznał w 1897 r. i jakiś czas potem zostali kochankami. Ona dawała mu swą młodość i aż nazbyt duży temperament, on zaś zlecał jej mężowi malowanie obrazów, za które płacili francuscy podatnicy. Spotykali się zwykle w Pałacu Elizejskim na tzw. herbatkach i to właśnie podczas jednej z nich prezydent nagle poważnie zaniemógł.

16 lutego 1899 r. pani Steinheil przysłała do pałacu około 17. Faure przyjął ją w saloniku niebieskim i z początku wszystko przebiegało normalnie. W pokoju panowała cisza, gdy nagle przerwał ją kobiecy krzyk. Zaalarmowana służba wbiegła do pokoju i zobaczyła prezydenta z panią Steinheil w niedwuznacznej pozycji. On leżał na sofie z opuszczonymi spodniami i dyszał ciężko,

ona zaś krzyczała, próbując uwolnić włosy z jego dłoni. Gdy się to w końcu udało, ubrała się i wybiegła z pałacu wyjściem dla służby. Prezydent długo nie pożył. Zmarł, ponieważ jego serce nie wytrzymało dawki seksu oralnego, jaką zaaplikowała mu pani Steinheil – ale byli też tacy, którzy twierdzili, że do jego śmierci przyczynił się pewien zielony chruszcz zwany majką lekarską. Wytwarzano z niego proszek będący odpowiednikiem dzisiejszej viagry. Faure zażył go, by sprostać w łóżku swej kochance.

Francuz nie był jedynym, który zmarł w taki sposób. Podobnie skończył swe ziemskie bytowanie wiceprezydent USA Nelson Rockefeller. Całkiem żwawy jeszcze 71-letni staruszek zasnął, gdy zajęty był „pracą” ze swoją 26-letnią asystentką Megan Marshack. Kobieta wpadła w panikę i zamiast wezwać pogotowie, zadzwoniła do przyjaciółki, by zasięgnąć rady. Gdy w końcu przybył lekarz, było za późno. Wiceprezydent zmarł w drodze do szpitala.

Paweł Pizuński – autor artykułów i książek, m.in. o marynistyce, historii Gdańska i Krzyżakach.



Kiedy francuski prezydent Faure zmarł wskutek igraszek z kochanką, prasa pisała, że „życie miał wprawdzie bezbarwne, ale jaką piękną śmierć”. Gdy kilkanaście lat później francuski wynalazca Reichelt zginął, **skacząc na spadochronie z wieży Eiffa**, gazety pełne były zdjęć.



PORYW FANTAZJI

Jak założyć ogródek, kiedy jesteś królem i masz nie tylko za dużo pieniędzy, lecz i nadmiar fantazji?

Wilhelm Brunszwicki większość czasu spędzał na Dolnym Śląsku i wymyślił, że postawi sobie tu własny Windsor. Nie namyślając się zbyt długo, wysłał swojego architekta do Londynu, żeby ten podpatrzył co i jak, a następnie w ekspresowym tempie wznosił w Szczodrem koło Wrocławia pałac, który przyćmił wszystko, o czym marzyli tutejsi arystokraci. Fasada długości trzystu metrów, ponad czterysta pomieszczeń, w tym osiemdziesiąt komnat, jadalnia, w której rosły drzewa czereśniowe i melony, teatr, oranżeria i (moim zdaniem genialny pomysł) własna cukiernia. Całość w stylu Tudorów. A mimo przepychu samego budynku, znacznie ważniejszy był ogród. W sumie niewielki, jakieś dwieście hektarów! Wystarczyło osuszyć bagna, połączyć stawy (ten największy miał 2,5 km długości), wystawić palmy (w sumie malutkie, po 4 metry), dołączyć różany zakątek z tysiącem krzaków i można było spokojnie żyć. Książę nie musiał się nigdzie spieszyć, urządził więc towarzyskie spotkania, podczas których goście paradowali w rzymskich togach, damy pływały w łódkach o kształcie łabędzi, a sprowadzone z miast aktorki, cóż... aktorki grały. Śląski Windsor musiał być jednym z najbardziej zachwycających zakątków tej części Europy, zdjęcia do dzisiaj zapierają dech w piersiach. To naprawdę było coś!

Książę umarł bezpotomnie, kolejni właściciele pomysłami miewali różne, teatr zamieniono na kaplicę, a w 1945 r. żołnierze SS podpalili pałac. Potem typowa historia; szaber, PGR, niemoc i po gigantycznym bajkowym założeniu zostały dzisiaj dwie oficyny oraz całkiem przyjemne stawy, nad którymi można kupić watę cukrową. Reszta jest kwestią wyobraźni, szczególnie gdy spaceruje się wśród pomnikowych drzew popękana asfaltową drogą z czasów PRL-u. Ani śladu dawnej świetności.

Jest jednak takie miejsce, w którym idea parku doskonałego przetrwała. I wcale nie stworzył go człowiek o romantycznych zapędach. W Bukowcu koło Jeleniej Góry, w samym sercu Doliny Pałaców i Ogrodów, pozostało potężne założenie, które miało pokazać... kolejne etapy rozwoju ludzkości. To park ogród, obraz, w który wchodzi się, by zapomnieć o świecie na zewnątrz.

Wymyślił go sobie Fryderyk Wilhelm von Reden, minister górnictwa w rządzie pruskim, człowiek chorowity, ambitny i niezwykle pracowity. Do śląskich kopalni ściągnął jedną z pier-

szych maszyn parowych na kontynencie, ale w Bukowcu chciał wyłącznie korzystać z życia. Ożenił się późno, był już po pięćdziesiątce, nieśmiałość przez lata nie pozwoliła mu oświadczyć się o 22 lata młodszego wybrance. Wspólnie z żoną wybudowali swój raj na ziemi – w końcu, kto bogatemu zabroni? W przeciwieństwie do brunszwickiego władcy, Redenowie zamieszkali w raczej skromnym pałacu, ale w parku zaszaleli na całego. Ktoś, kto dziś nie rozumie idei takich miejsc, musi być zaskoczony.

Jest więc Świątynia Ateny, budynek w greckim stylu, który niegdyś miał być elementem zaskoczenia. Hrabina wprowadzała gości przez wąskie drzwi, by nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni, ograniczonej jedynie kolumnami, między którymi na horyzoncie widoczna była Śnieżka. Całe założenie można podziwiać ze „średniowiecznej wieży”. Jeśli zamyślić się, to w „kręgu druidów” albo przy ruinach „opactwa”. Niewielki ten budynek jest miniaturą gotyckiego klasztoru, tutaj zresztą – co moim zdaniem jest nieco przerażające – hrabia Reden kazał się pochować. Podobno żona, która dożyła prawie osiemdziesiątki, codziennie wędrowała z pałacu te kilkaset metrów, żeby zanieść do opactwa jedną czerwoną różę. Zostawiała ją na mogile męża.

Niegdyś w zakamarkach parku można było znaleźć jeszcze „siedzibę prostego rybaka”, grotę symbolizującą „początek ludzkości”. Do dziś stoi „domek ogrodnika”. Domek! Nie znam nikogo, kto oparłby się takiemu małemu pałacowi. I gdy tak myślę o tych parkach, to przychodzi mi do głowy, że kiedyś ludzie byli bogaci, dziś mają tylko pieniądze. Fantazja też ma inne oblicze.



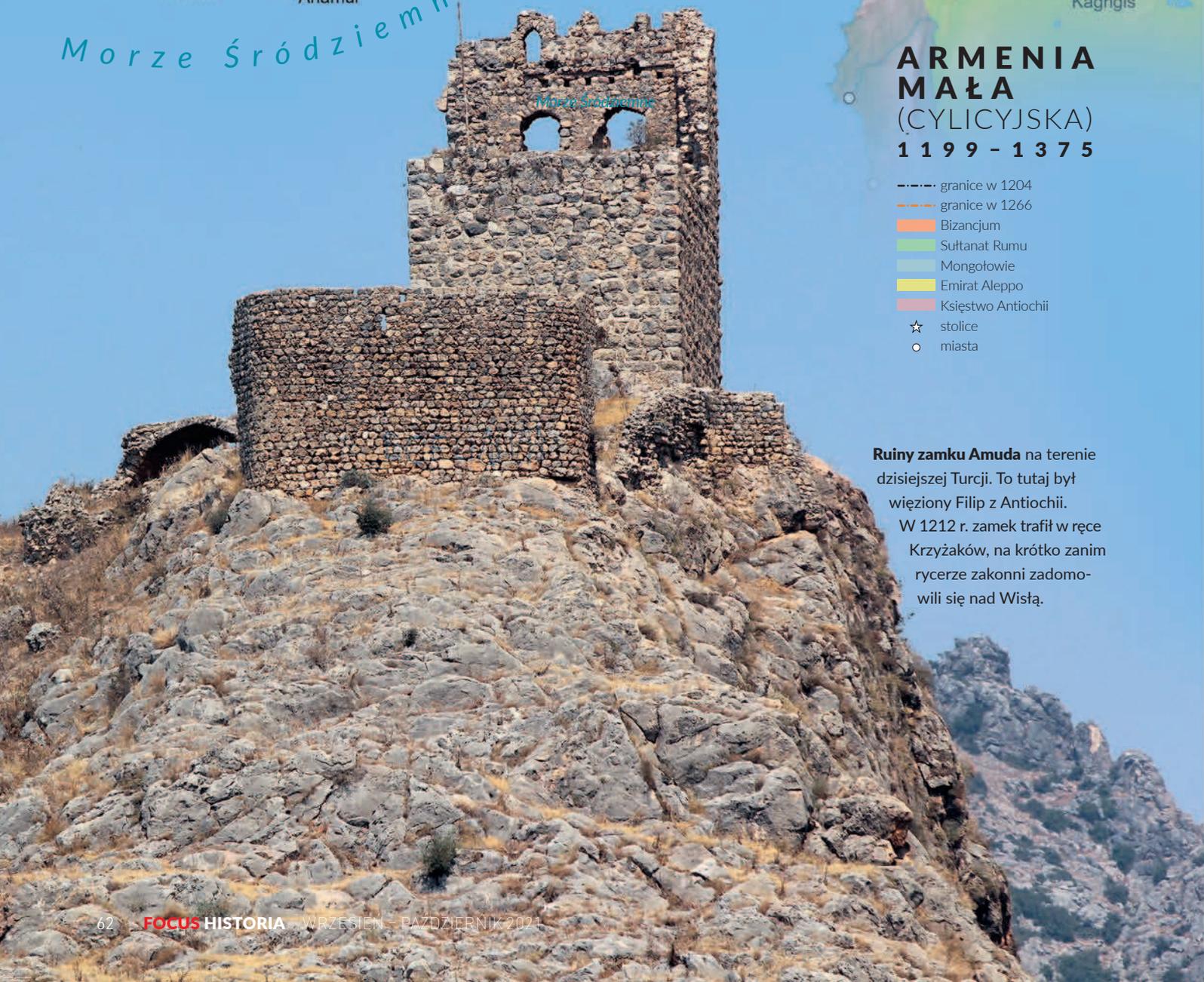
W Bukowcu Redenowie postawili skromny pałac, ale **zaszaleli w parku**, wznosząc m.in. Świątynię Ateny i „domek ogrodnika”.



Morze Śródziemne

ARMENIA MAŁA (CYLICYJSKA) 1199 - 1375

- granice w 1204
- - - granice w 1266
- Bizancjum
- Sułtanat Rumu
- Mongotowie
- Emirat Aleppo
- Księstwo Antiochii
- ☆ stolice
- miasta



Ruiny zamku Amuda na terenie dzisiejszej Turcji. To tutaj był więziony Filip z Antiochii. W 1212 r. zamek trafił w ręce Krzyżaków, na krótko zanim rycerze zakonnicy zadołowali się nad Wisłą.

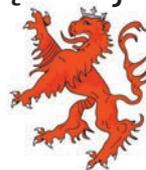
KRÓL UTOPIONY W ZBOŻU

W średniowieczu, jak w każdej innej epoce, nietykalność należąca do koronowanego władcy istniała tylko w teorii. Liczne przykłady zamachów, morderstw na pomazańcach Bożych, a nawet egzekucji dowodzą, jak trudno było niekiedy utrzymać się nie tyle na tronie, ile wręcz przy życiu. Śmierć władcy lub władczyni pod toporem katedry, na szubienicy czy w odmętach rzeki może jednak wydać się banalna, jeśli porównać te przypadki z bardziej wyszukanyymi sposobami wyprawiania królewskiego skazańca na tamten świat, często przecież połączonymi z dodatkowymi upokorzeniami i cierpieniem. Do legendy przeszedł choćby sposób zgładzenia królowej frankijskiej Brunhildy przez włóczenie koniem, władcy Northumbrii Ælli przez wykonanie na nim rytuału „krwawego orła” czy króla Anglii Edwarda II przez wypalenie mu wnętrza rozżarzoną przętą. Jak można się domyślić, niektóre przekazy kronikarskie mówiące o tych przypadkach są dyskusyjne. Nie inaczej jest w przypadku Filipa z Antiochii, efemerycznego władcy Armenii Małej (w Cylicji), którego gwałtowne rozstanie się z ziemskim padołem miało się dokonać w okolicznościach wręcz niespotykanych...

TRZECIE KRÓLESTWO

Historia rozpoczyna się w północnej Syrii w epoce krucjat. Ówczesne państwa Franków w Ziemi Świętej, które przetrwały najazd Saladyna w latach 80. XII stulecia, raczej wegetowały, niż trwały, stopniowo spychane przez muzułmanów „do morza”. Od północy Frankowie graniczyli jednak ze stosunkowo silnym i prężnym państwem Ormian w Cylicji, zwanym też Armenią

Co doprowadziło do śmierci Filipa z Antiochii, władającego sprzymierzoną z krzyżowcami Armenią Małą? Ponurą rolę w tej tragedii odegrali... Krzyżacy



Małą. Dzięki korzystnemu położeniu na styku kultur łacińskiej, bizantyjskiej i muzułmańskiej pełniło ono funkcję zwornika łączącego odmienne religie i style rządzenia tego zakątka nad Morzem Śródziemnym, tworząc swoisty synkretyzm.

Pod koniec XII stulecia wzrastał nacisk na to państewko łacinników. Panujący wówczas książę Leon Wielki z rodu Rubenidów nawiązał kontakty z papieżem i Świętym Cesarstwem Rzymskim, uznając się jego lennikiem, by dzięki temu uzyskać w końcu godność królewską (potwierdzoną uroczystą koronacją w 1199 r. w stołecznym Sis). Po Jerozolimie i Cyprze miało to być zatem trzecie królestwo brońące Ziemi Świętej, tym razem od strony północnej. Sam Leon Wielki poślubił frankijską księżniczkę cyprijską, wiążąc się jeszcze mocniej ze światem łacińskim. Trzeba jednak dodać, że nie wszystkim jego poddanym takie chodzenie na pasku Zachodu odpowiadało. Część możnych

i hierarchowie ormiańskiego Kościoła pozostawali wobec tej polityki w opozycji.

Z ANTIOCHII DO SIS I Z POWROTEM

Król Leon zmarł w 1219 roku, nie pozostawiając męskiego potomka. Chociaż w ostatnich latach życia przebiegał między kandydatami na swojego następcę, raz widząc w nim Rajmunda-Rubena, syna hrabiego Trypolis, raz węgierskiego królewicza Andrzeja, ostatecznie koronę odziedziczyła po nim trzyletnia córka Izabela. Rzecz jasna, zarówno ze względu na wiek, jak i płeć nie mogła rządzić sama, z miejsca zatem rozpoczęła się w Armenii bezpardonowa walka o rękę młodej królowej i jej koronę. Dość powiedzieć, że po kilkuletniej krwawej wojnie między kandydatami i ich koteriami baliw Konstantyn z Paperonu, zostawszy regentem królestwa, przychylił się do kandydatury Filipa, jednego z młodszych synów księcia Antiochii Boemunda IV. W czerwcu 1222 r. ów młody książę przybył do stołecznego Sis, poślubił Izabelę i został koronowany na króla Armenii cylicyjskiej.

Jaki był ten świeżo upieczony władca Cylicji? Jego dwuletnie rządy nie pozostawiły po sobie dobrych wspomnień wśród Armeńczyków (a może tylko wśród późniejszych armeńskich kronikarzy, piszących z pozycji nieprzychylnych łacinnikom?). Zarzucali mu, że gardził swoimi poddanymi oraz ich obrządkiem, otaczał się swoimi rodakami i więcej czasu spędzał w Antiochii, po cichu wywożąc tam skarbiec z Sis. Czy ta opinia nie została naciągana – trudno po wiekach stwierdzić, choć nie da się zaprzeczyć, że Filip chyba rzeczywiście nie czuł się zbyt związany ze swoim królestwem, skoro nawet nie postarał się uwiecznić swojego panowania, >

- › bijąc własną monetę. Kiedy jednak w 1224 r. gruchnęła wieść, że król wywozi do Antiochii regalia z koroną, doszło do rewolty. Filip wraz z Izabelą został zatrzymany w Till Hamdun na rozkaz Konstantyna i dosłownie wyrwany z objęć młodziutkiej królowej. Niefortunnego monarchę pozbawiono władzy i uwięziono. Na tym kończy się aktywna rola dziejowa króla Filipa. Od tej chwili jego historia zaczyna się przeplatać z legendą.

Wokół Filipa rozgorzała polityczna awantura, on sam jednak stał się nieobecny. Doszło do interwencji zbrojnych, gdyż ojciec Filipa, książę Boemund, nie mógł pozostawić syna na łasce losu. W tym celu przekroczył ze swoimi rycerzami granicę, aby zmusić Armeńczyków do uległości. Nie mógł jednak sam nic wskórać, gdyż – według arabskiego dziejopisa Al-Athira – zakony rycerskie templariuszy i joannitów odmówiły mu pomocy, zasłaniając się zakazem papieskim. Księciu Antiochii nie pozostało zatem nic innego, jak wezwać na pomoc muzułmanów, co jednak nie przyniosło rezultatu. Według kronikarzy frankijskich i armeńskich były monarcha bowiem najpóźniej w 1226 r. znalazł się w więzieniu, a Izabelę pospiesznie wydano powtórnie za męża za syna Konstantyna – Hetuma, który zapoczątkował nową dynastię. W jakich natomiast okolicznościach doszło do śmierci Filipa, o tym kronikarze nie mówią. To, że został on w niewoli zgładzony, wynika dopiero z korespondencji z 1236 roku papieża Grzegorza IX z Hugonem, arcybiskupem Nazaretu, w którym Ojciec Święty pisze wyraźnie, iż „wspomniany Filip przez tegoż balifa [Konstantyna] został zdradziecko zamordowany”.

ŚMIERĆ NA KRZYŻACKIM ZAMKU

I tu dochodzimy do udziału w całej intrydze trzeciego zakonu rycerskiego, a mianowicie Krzyżaków, którzy w sposób dość haniebny dali się wciągnąć do rozgrywek między Armeńczykami a krzyżowcami. Zakon miał silne oparcie w Armenii Małej już od czasów króla Leona, pośrednicząc w jego kontaktach z władcami niemieckimi. To właśnie Leon nadał Krzyżakom dobra skupione wokół dwóch zamków – Comtefort i Amuda. A na tę ostatnią miejscowość jako miejsce przetrzymywania wskazuje



Izabela, królowa Armenii cylicyjskiej, stała się tylko pionkiem w rozgrywkach mężczyzn sprawujących realną władzę. Jej państwo przez dwieście lat odgrywało ważną rolę w rejonie Ziemi Świętej, stając na drodze muzułmańskim zdobywcom. Miało jednak coraz mniej sojuszników, aż w końcu upadło w roku 1375.

bezpośrednio syryjski historyk Grzegorz Bar Haebreus: „Wtedy pochwycili go [Filipa], zabrali go i udali się do fortecy zwanej Amuda. I posłali do księcia [Boemunda, mówiąc mu], aby przybył i zabrał swego syna. A kiedy chciał go zabrać, powiedziano mu: »Nawet jeśli zabierzesz swego syna, nie będzie żył«, albowiem kazano mu wypić truciznę. I nie mógł on żyć dłużej niż dziesięć dni, co też się stało. Wtedy książe zawrócił i odjechał, rzucając przekleństwa i groźby, a po kilku dniach Filip zmarł i nikt nie wie, gdzie go pochowali”.

Historii z otruciem nie potwierdza jednak żaden inny przekaz z epoki. Istnieje natomiast jeszcze jedna wersja śmierci niefortunnego króla Armenii, pochodząca z „Kroniki Ziemi Świętej”, będącej częścią XIV-wiecznej kompilacji „Dzieje Cypryjczyków”. Anonimowy kronikarz zanotował bowiem: „W tymże roku [1222] Filip, syn księcia Antiochii, poślubił córkę Leona, króla Armenii, którego baliw [Konstantyn] później pochwycił i umieścił w budynku pełnym prosa, ten zaś w nim utonął”. Czy ta – nosząca znamiona plotki lub anegdota – opowieść może jednak kryć w sobie ziarno prawdy? Nie da jej się niestety potwierdzić z pełnym prawdopodobieństwem, gdyż stopień zachowania ruin zamku Amuda nie pozwala stwierdzić, czy był tam także osobny magazyn zbożowy. Pytanie tylko, po co zadawano by sobie tyle trudu i marnowano by cenny zapas prosa przechowywanego na

wypadek oblężenia? Na myśl przychodzi późniejsza o ponad dwa stulecia historia zgładzenia księcia Jerzego z Clarence przez utopienie go w beczce z małmazją. Można zatem uznać, iż w przypadku Filipa chodziło o jasny przekaz: pożądałeś naszych dóbr, masz teraz prosa aż po gardło!

JAK NA FILMIE

Jak mogły wyglądać ostatnie chwile króla Filipa? Sugestii w tym zakresie dostarcza, co ciekawe, X Muza. W nakręconym w 1971 r. filmie gangsterskim „Cenny łup” (*Le Casse*, reż. Henri Verneuil, muz. Ennio Morricone) w kluczowej scenie złodziej szmaragdów Azad (w tej roli Jean-Paul Belmondo) zasypuje skorumpowanego policjanta Abela Zacharię (Omar Sharif) ziarnem z silosów zbożowych. Zacharia, nie chcąc podzielić się połową szmaragdów z Azadem, ginie, pograżając się stopniowo w zbożu niczym w morskich odmętach.

Na koniec widać już tylko wystającą ponad powierzchnię rękę, z której w przedśmiertnej agonii jej właścicielka wyslizgują się trzymane kurczowo szmaragdy...

Artur Foryt – absolwent Université de Nice.

Z zamiłowania historyk i tłumacz, autor przekładów tekstów średniowiecznych.

Materiał powstał we współpracy z **Wydawnictwem Astra** i portalem **astrahistoria.pl**.



Historyk, publicysta i pisarz. Autor takich bestsellerów jak: „Pierwsze damy II Rzeczypospolitej”, „Damy złotego wieku”, „Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce”, a ostatnio „Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa”.

CHŁOPI TO NIE LUDZIE

Czy pańszczyzna naprawdę była formą niewolnictwa? Czy chłopów zmuszano do pracy ponad siły? Rzeczywistość wyglądała nawet gorzej

Często relatywizuje się pańszczyznę. Nawet autorzy stawiający sobie za cel przypomnienie systemu wyzysku polskich chłopów wysuwają wnioski bardzo stonowane i ugrzecznione. Kwestionują sadyzm panów folwarcznych, podważają skalę eksploatacji, nie zgadzają się nawet, by pańszczyznę wprost określać mianem niewolnictwa. Takie podejście jest nie tylko oderwane od źródeł, ale też sprzeczne z tym, co wiemy o sytuacji w I Rzeczypospolitej.

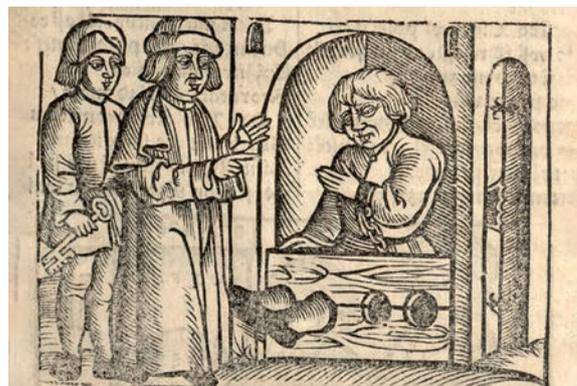
Dla jej mieszkańców w XVII czy XVIII w. niewola polskich chłopów nie ulegała najmniejszej wątpliwości. Sam wyraz „chłop”, dziś odarty z jakiegokolwiek bagażu emocjonalnego, w dobie nowożytnej stanowił obelgę. Oznaczał zniewolonego wieśniaka czy nawet wprost niewolnika. To dlatego po zniesieniu pańszczyzny wielu polskich intelektualistów walczyło o zastąpienie słowa nowym, nieobraźliwym terminem: włościanin. Nie udało się. W efekcie język polski stanowi wyjątek na lingwistycznej mapie Europy. Tylko u nas całą warstwę społeczeństwa związaną z rolnictwem określa się mianem niewolników.

Popularność słowa nie powinna dziwić. Termin szczerze oddawał stan panujący zwłaszcza od czasu niszczycielskiego potopu szwedzkiego. Miał rację anonimowy autor „Robaka sumienia złego”, gdy w 1648 r. zarzucał szlachcom, że sądzą, iż „im wolno wszystko czynić” z poddanymi, których uważają za takich samych niewolników, jak byli w starożytnym Rzymie. Inni autorzy chętnie porównywali sytuację wieśniaków pracujących nad Wisłą do kondycji tych nieszczęśników, których wzięli w jasyr Tatarzy, by następnie sprzedać ich do Turcji. Krzysztof Opaliński, autor głośnych „Satyr” z 1650 r., wprost twierdził, że chłopci pańszczyźniani znajdowali się w „niewoli cięższej niż pogańska”. Ksiądz Krzysztof Kraiński, tworzący kilka dekad wcześniej, też pisał, że szlachcice obchodzą się z poddanymi „gorzej niż Tatarzy”. Opinię tę podzielał Piotr Skarga. A Ignacy Krasicki w XVIII-wiecznej powieści „Pan podstoli” pisał, że poddaństwo „mało się różni od rzeczywistego niewolnictwa”. Z takim stanowiskiem zgadzali się nawet sami właściciele folwarków.

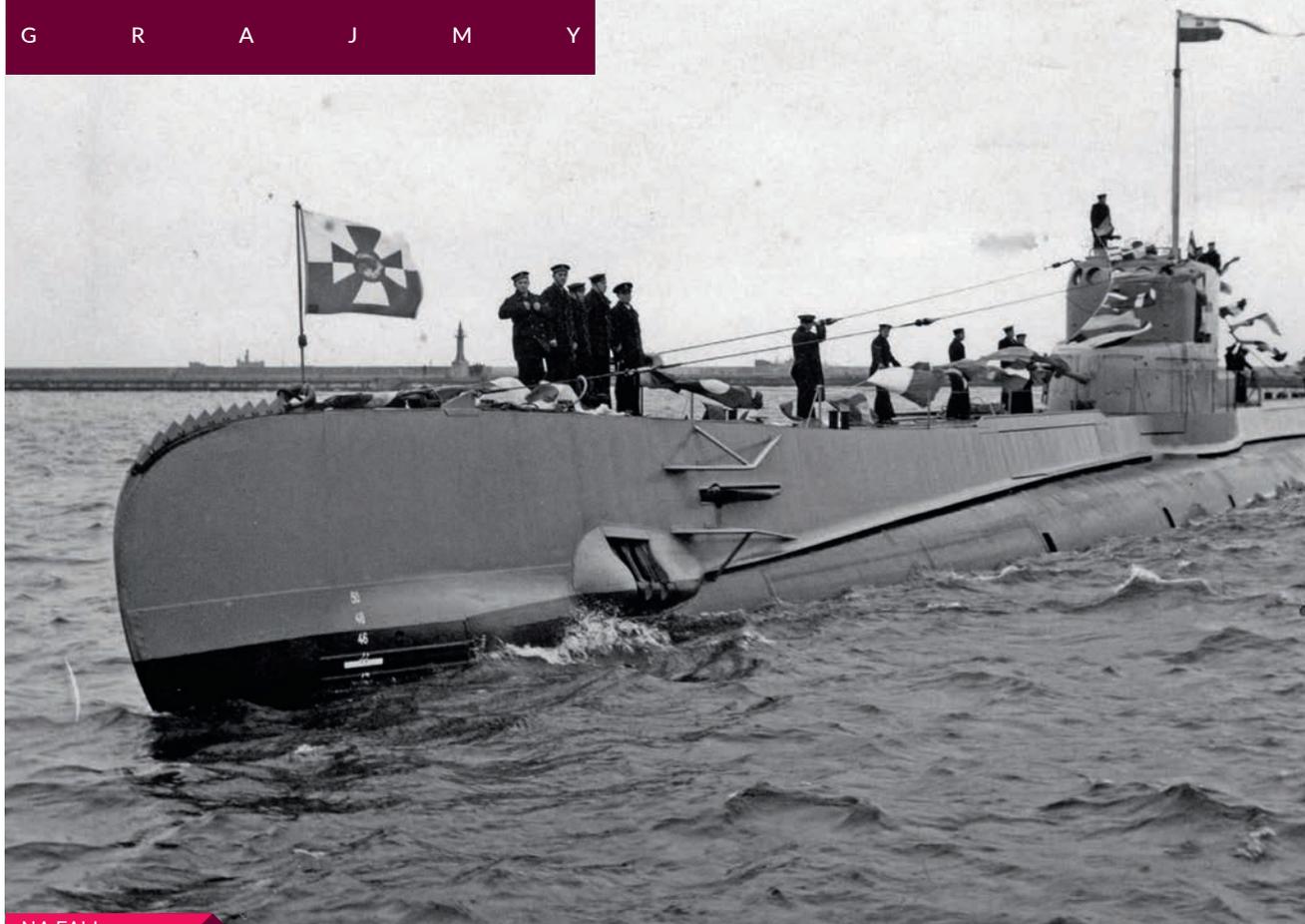
Panowie nie uważali jednak poddaństwa za występki, a za konieczność. Dla uzasadnienia barbarzyńskich warunków życia i pracy milionów chłopów snuto teorie, w myśl których wieśniacy nie byli nawet takimi samymi ludźmi jak ich właściciele. W XVIII w. znalazł się w Rzeczypospolitej lekarz, który wprost twierdził, że u chłopów nawet mózgi są inne. Ich „kości w głowie” miały przyjmować „kształt pługów i narzędzi rolniczych”. Doszedł do tego wniosku jeszcze przed tym, jak zachodnioeuropejscy pseudonaukowcy obwieścili, iż kształty i wielkości czaszek pozwalają wykazywać podrzędność wybranych narodów lub ras. Kierował się jednak łudząco podobnym zamysłem.

Inne tęgie głowy powtarzały, że chłopskie żołądki wymagają podłego pożywienia, a organizmy – pracy ponad siły. Taki był bowiem naturalny porządek rzeczy. A skoro chłopci mieli być też w przyrodzony sposób kłamiwi, leniwi i brutalni, należało traktować ich jak zwierzęta, a posłuszeństwo wymuszać batogiem.

„Pozbawiamy praw człowieka chłopów polskich, sądząc że w niewoli trzymać ich konieczne trzeba” – komentował u schyłku XVIII w. Józef Wybicki. Nie można było przecież bez kontroli wypuścić na wolność nieprzewidywalnych bestii.



Polscy chłopci nie byli traktowani tak okrutnie jak np. niewolnicy na Karaibach, jednak ich też uważano za istoty z natury niższe, skazane na ciężką pracę pod groźbą surowych kar.



NA FALI

Wśród niedawnych planszówkowych premier znalazły się gry o „podwodniakach”. Jedną z nich poświęcono załodze niemieckiego U-Boota, drugą: polskiemu okrętowi podwodnemu ORP „Orzeł”, podczas wojny wstawionemu ucieczką przez Bałtyk i operacjami na Morzu Północnym. Na zdjęciu: „Orzeł” pierwszy raz wpływa do portu w Gdyni w lutym roku 1939.

MELDUJĘ ZDOBYCIE PUNKTÓW!

Strategia, odpowiednie planowanie, przewidywanie posunięć przeciwnika – **bez tego nie ma prawdziwych gier o tematyce wojennej**

Z roku na roku przybywa propozycji w tej kategorii. Co ciekawe, nie ograniczają się do gier bitewnych. Często odwołują się do wydarzeń z czasów II wojny światowej, na których podstawie twórcy budują warstwę fabularną.

To właśnie narracja i klimat odgrywają kluczową rolę w grze „U-Boot”, która stanowić będzie nie lada gratkę nie tylko dla zainteresowanych niemieckimi okrętami

mi podwodnymi. Wcielamy się w niej w jedną z czterech ról: kapitana, pierwszego oficera, nawigatora bądź głównego mechanika. Jest to gra kooperacyjna, co oznacza, że uczestnicy muszą ze sobą współpracować, by zrealizować cel – wypełnić jedną z dziesięciu misji zaproponowanych przez twórców. Gracze koordynują działania załogi, przemieszczając odpowiednio marynarzy i ustawiając je w wybranych miejscach pięknie wykonanego trójwymiarowego

modelu U-Boota. To jednak nie wszystko! Rozgrywka toczy się w czasie rzeczywistym i wspierana jest przez aplikację mobilną, w której możemy między innymi obserwować otoczenie zmieniające się w zależności od warunków pogodowych czy namierzać wrogie jednostki. „U-Boot” pod wieloma względami wyróżnia się więc na tle innych propozycji, wymagając od graczy zarówno rozwiniętej taktyki, strategicznego myślenia, jak i współpracy.

Do historii związanej z marynarką wojenną odwołują się także twórcy gry „ORP Orzeł”. Tytułowemu okrętowi podwodnemu udało się wydostać z wrogiego portu i dotrzeć do Wielkiej Brytanii, wyznaczając trasę przez Bałtyk jedynie na podstawie zapamiętanej przez oficera mapy nawigacyjnej. Jest to kolejna z serii historycznych gier edukacyjnych wydawanych przez Instytut Pamięi Narodowej, dlatego w pudełku oprócz komponentów i sprawnie napisanej instrukcji znajdziemy także specjalnie przygotowane opracowanie historyczne. W dwuosobowej rozgrywce przeciwnicy wcielają się w dwie strony konfliktu. Jeden reprezentuje polską Marynarkę Wojenną i próbuje przedostać się w kierunku Morza Północnego, drugi z kolei kontroluje okręty niemieckiej Kriegsmarine, usiłując odnaleźć i zatopić uciekiniera. To dobry przykład gry asymetrycznej, czyli takiej, w której każdy z oponentów ma inny cel.

Innym przykładem gry odwzorowującej wydarzenia z okresu II wojny światowej, ale opierającej się na zupełnie odmiennej mechanice, są „Nieustraszeni: Normandia”. Jak wskazuje tytuł, tym razem przenosimy się na francuskie wybrzeże, gdzie po gigantycznej operacji desantowej alianci zdobyli przyczółki. W grze wcielamy się w dowódców plutonów, którzy muszą przedostać się w głąb Francji, odciągając siły niemieckie jak najdalej od brzegu. Podobnie jak w „U-Boocie” jako gracze mamy do dyspozycji kilka scenariuszy przygotowanych przez twórców, tym razem jednak nie działamy wspólnie, ale rywalizujemy. Rozgrywka opiera się na budowaniu talii, którą następnie przeciwnicy



INNY WYMIAR

„U-Boot” to gra nowej generacji: toczy się w czasie rzeczywistym, w trójwymiarowym modelu okrętu podwodnego i z użyciem specjalnej mobilnej aplikacji.

wykorzystują, zagrywając odpowiednie karty, by przejąć inicjatywę, wzmocnić swoje siły czy przemieszczać się na polu bitwy.

Na froncie zachodnim toczy się także akcja gry „1944. Wyścig do Renu”. Tytułowa rzeka stanowiła dla aliantów ostatnią naturalną przeszkodę w drodze do serca Niemiec. Rozgrywka wymaga przede wszystkim na umiejętnego planowania. Jako gracze musimy zajmować teren, zaopatrywać nasze czołgi w paliwo i zadbać o dostawy dla żołnierzy. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że w tytule tym wykorzystano postaci historyczne trzech generałów: Pattona, Montgomery’ego i Bradleya. Każdy z nich w rywalizacji o najszybsze dotarcie do Renu stawia na różne strategie, a podejmowane przez nich decyzje wzajemnie na siebie oddziałują.

Na zakończenie warto dodać, że choć tematyka II wojny światowej może wydawać się nieco hermetyczna, gry planszowe odwołujące się do tego okresu historycznego z pewnością wciągną nie tylko pasjonatów historii.

Julia Janowska – muzealniczka i edukatorka, miłośniczka sztuki i pasjonatka gier planszowych. Lubi myśleć, że planszówki to nie tylko pionki i kostki, ale też stojąca za nimi historia.



SZEROKI FRONT

W grach planszowych poświęconych II wojnie światowej można wcielić się w grupę komandosów, marynarzy czy też dowódcę wielkich operacji militarnych rozgrywających się na różnych frontach, od Atlantyku po Pacyfik. Oprócz nowości na rynku dostępnych jest wiele **klasyków** z tego gatunku, o różnym stopniu skomplikowania, takich jak „Memoir '44” czy „Tide of Iron”.



FILM

GLADIATOR ZA OBOZOWYMI DRUTAMI



W opowiadaniu „U nas w Auschwitzu...” Tadeusz Borowski napisał: „Jeszcze dziś tkwi w nas pamięć o Numerze 77, który bił Niemców jak chciał”. Wbrew pozorom Numer 77 nie miał żadnych atrybutów marvelowskiego superbohatera. Mierzył 170 cm i ważył niewiele ponad 40 kg. W obozie koncentracyjnym jego superbronią była para zimowych roboczych rękawic. Nazywał się Tadeusz Pietrzykowski

Do Auschwitz 23-letni Tadeusz Pietrzykowski trafił 14 czerwca 1940 r. z pierwszym transportem więźniów (był w nim też inny znany sportowiec Bronisław Czech). Niemcy dopadli go, gdy przekraczał granicę węgiersko-jugosłowiańską, chcąc przedostać się do Francji, żeby wstąpić do armii gen. Sikorskiego.

Na pierwszym apelu w Auschwitz SS-Hauptsturmführer Karl Fritzsch, zastępca komendanta, przywitał ich słowami: „Przybyliście tutaj nie do sanatorium, tylko do niemieckiego

oboju koncentracyjnego, z którego nie ma innego wyjścia jak przez komin. Jeśli się to komuś nie podoba, to może iść zaraz na druty. Jeśli są w transporcie Żydzi, to mają prawo żyć nie dłużej niż dwa tygodnie, księża miesiąc, reszta trzy miesiące”.

Ponieważ obóz był wciąż w fazie organizacji, najbardziej mogli czuć się ci, którzy mieli w rękach konkretny fach: cieśle, malarze, kowale. Umiejętność boksowania wydawała się kompletnie nieprzydatna. A Pietrzykowski akurat potrafił boksować. Już w gimnazjum połknął

bakcyła pięściarstwa i szło mu tak dobrze, że w 1937 r. jako podopieczny legendarnego Feliksa „Papy” Stamma zdobył mistrzostwo Warszawy w wadze koguciej.

Wydawało się, że chłopak podzieli los szeregowych więźniów wycieńczonych morderczą pracą, gdy pewnej marcowej niedzieli 1941 r. wydarzyło się coś nieoczekiwanego. „Przed obozową kuchnią zebrała się duża grupa więźniów. Jeden z nich podbiegł w moim kierunku i krzyknął: »Teddy, chcesz otrzymać kawałek chleba, chodź szybko. Wśród nas jest niemiecki bokser. Szukam kogoś, kto z nim będzie się boksował i go pokona. Zwycięzca w nagrodę otrzyma chleb«. Ważyłem 42 kg, lecz zdecydowałem się od razu na walkę. Zobaczyłem doskonale zbudowanego blondyna, trzymającego w rękach rękawice, które używaliśmy zimą podczas pracy” – wspominał po latach Pietrzykowski. Przeciwnikiem okazał się niemiecki kapo Walter Dünning, wcześniej zawodowy bokser wagi średniej. Polak teoretycznie nie miał szans, ale refleks, zwinność i umiejętność unikania ciosów sprawiły, że zyskał przewagę. Jego proste i sierpowe skutecznie trafiały wolniejszego Niemca.

W drugiej rundzie Dünning uznał wyższość wychudzonego „kogucika” i zabrał go do bloku nr 24, gdzie mieszkali kapo. Teddy dostał nie tylko obiecane jedzenie, lecz także coś o wiele cenniejszego: możliwość wybrania lepszej pracy. Natychmiast poprosił o przeniesienie do komanda Tierpfleger, zajmującego się doglądaniem zwierząt. Gwarantowało to przede wszystkim dostęp do lepszego wyżywienia, a także... więcej czasu na treningi. „Stałem się znany jako bokser i toczyłem w obozie oświęcimskim liczne walki z bokserami, których esesmani wyszukiwali w nowo przybyłych transportach, organizując w ten sposób atrakcyjne dla siebie widowiska” – wspominał. Dla kapo i esesmanów obstawianie zwycięzców stało się szybko coniedzielną rozrywką. Łaknęli igrzysk, a obóz dostarczał im licznych „gladiatorów”, z których życiem nie musieli się liczyć. W chłodne dni walki rozgrywały się w łaźni obok bloku nr 2, w cieplejsze – na wewnętrznym dziedzińcu kuchni.

Pietrzykowski stoczył w Auschwitz kilkadziesiąt pojedynków, z których przegrał tylko jeden: z 35-letnim holenderskim mistrzem wagi średniej Leendertem Josuą Sandersem. Zwycięstwem zakończyły się natomiast jego walki m.in. z byłym wicemistrzem Europy Wilhelmem Maierem i byłym mistrzem Niemiec Harrym Steinem. Swoista sła- wa, która towarzyszyła tym sukcesom, przysporzyła mu jednak także wrogów. Wysoka przegrana w zakładach po walce z niejakim Erichem, kapo rzeźni, sprawiła, że obozowy lekarz Friedrich Entress z zemsty wszczepił Polakowi tyfus, co nie tylko miało zakończyć obozową „karierę” Pietrzykowskiego, ale było dla niego praktycznie biletem do

komory gazowej. Uratowała go pomoc rotmistrza Pileckiego i łut szczęścia. Miał rację Teddy pisząc w grypsie do matki: „Pamiętasz jak wszyscy mówili – co z niego będzie? On sobie w życiu nie da rady. Dam sobie radę i w piekle”.

Ten szczęśliwy traf to wizyta w Auschwitz Hansa Lütkemeyera, komendanta obozu koncentracyjnego Neuengamme koło Hamburga, który w 1938 roku... sędziował jedną z walk Pietrzykowskiego na międzynarodowym turnieju w Poznaniu. Zaproponował mu wyjazd do Neuengamme, choć cena, którą miał za to zapłacić polski bokser, była dość wysoka. Nowy „mecenas” wystawił go niemal natychmiast do walki z ważącym niemal 100 kilogramów kapo Kuchtą i osobiście ją sędziował. „Przed wojną występował pod przybranym nazwiskiem Hodemach. Nazywano go łami-gnatem. Był to zawodowy bokser wagi ciężkiej. Ja sięgałem mu zaledwie do ramienia. Przed walką poczęstował mnie chlebem i powiedział: »Najedz się po raz ostatni«” – tak opisywał Pietrzykowski okoliczności tego pojedynku. Na szczęście szkoła mistrza Stamma znów przyniosła efekty: skuteczne blokady, błyskawiczne zwroty i celne ciosy posłały Kuchtę na deski. Cucono go potem przez cały kwadrans.

Ostatnią „gladiatorską” walkę Pietrzykowski stoczył wiosną 1945 r. w Salzgitter, filii KL Neuengamme. Uniknął w ten sposób losu 6,4 tys. współtowarzyszy, których ewakuowano z obozu i przeniesiono na liniowiec SS Cap Arcona. 3 maja po uprzednim ostrzeżeniu brytyjski RAF wystrzelił 62 rakiety w kierunku stojącego na redzie portu Neustadt statku, na którego masztach wciąż powiewały bandery III Rzeszy. Po raz kolejny boks uratował Pietrzykowskiemu życie.

O Polaku boksującym za obozowymi drutami pisał nie tylko Tadeusz Borowski. Bohaterem swojej noweli „Bokser i śmierć” uczynił go także Józef Hen, a w 1962 r. zekranizował ją słowacki reżyser Peter Solan. Do kin trafiła właśnie nowa produkcja poświęcona tej wybitnej postaci: „Mistrz” Macieja Barczewskiego. Według słów reżysera jest to „opowieść o niezwykłym człowieku, który dzięki swoim umiejętnościom nie tylko walczył o życie w miejscu zagłady, ale również dawał innym nadzieję, że ich oprawcy nie są niepokonani”. Główną rolę zagrał w nim Piotr Głowacki. Wiarygodne odtworzenie postaci legendarnego pięściarza było niezwykle wymagającym zadaniem. Aktor został poddany intensywnym kilkumiesięcznym treningom, które przygotowały go do roli.

Film Macieja Barczewskiego to swoisty hołd złożony idei sportu przypominający, że rywalizacja to nie tylko dążenie do sławy, pieniędzy i celebryckiego rozgłosu. Czasami może chodzić w niej o godność i przetrwanie w piekle.



„Mistrz”, reż. Maciej Barczewski, w kinach od 27 sierpnia 2021

5 PYTAŃ DO...

W JĄDRZE TERRORU

Odtwórca głównej roli w filmie „Mistrz” **PIOTR GŁOWACKI** opowiada o tym, jak postrzega postać legendarnego pięściarza z Auschwitz, o treningach, które pozwoliły mu zagrać rolę Tadeusza Pietrzykowskiego bez dublera, oraz o inspiracji, jaką była wizyta w dawnym obozie zagłady



1 W jakim stopniu film „Mistrz” jest odbiciem historycznych wydarzeń, a w jakim kreacją?

Film fabularny oparty na faktach zawsze jest ich artystyczną, subiektywną wersją. Czerpaliśmy inspirację z losów i postawy Tadeusza Pietrzykowskiego, ale przecież znaleźmy je nie z pierwszej ręki. Dotarli do nas jako gotowa struktura dramatyczna, poddana uprzednio wpływowi chociażby pamięci opowiadających. Były w niej takie podstawowe informacje, że Teddy był pięściarzem, który trafił do Auschwitz i przetrwał dzięki temu, że walczył w organizowanych przez władze obozowe walkach. Wszystko inne zależało od tego, kto opowiadał. Nas zastanawiało w tej historii, co znaczy dla człowieka, który trafił w tryby systemu totalitarnego, podjąć walkę o przetrwanie i co to znaczy ją wygrać.

2 Jakie cechy Tadeusza Pietrzykowskiego podkreśla portret, który razem z reżyserem Maciejem Barczewskim stworzył pan na ekranie?

W pierwszej kolejności skupiliśmy się na stworzeniu postaci przedwojennego pięściarskiego mistrza Warszawy w wadze koguciej z jego fizycznością i charakterystycznym stylem walki: bokser gentleman, mistrz uników, którego ekranowy los rozpoczyna się od trafienia w samo jądro systemowego terroru, do miejsca będącego antytezą sportowej postawy fair play. To co nas zajmowało, to kreowanie dynamicznego obrazu samopoznania, dekonstrukcji i odbudowy człowieka, będącego w swej pięściarskiej naturze kwintesencją witalności, ciałem dysponującym nadmiarem życia zmuszonym do egzystencji jako numer w fabryce śmierci.

3 Gdzie szukał pan inspiracji, by zrozumieć postać swojego bohatera?

Źródeł było wiele: książki tych, którzy przeżyli, ich nagrane ustne relacje, filmy, które powstały wcześniej zarówno te o obozach, jak i te o samym boksie. Jednak najważniejsza była kilkudniowa wizyta w samym Auschwitz, gdzie pracownicy i pracownicy muzeum dzielili się ze mną swoją wiedzą z ogromną otwartością, przyjmując każde moje pytanie i dając mi całonocny dostęp do miejsca, a w ciągu dnia nieograniczony wgląd w zbiory. Cały proces przygotowań fizycznych, w czasie którego mogłem przyglądać się kolejnym zawodnikom czy trenerom pięściarstwa w różnym wieku i z różnym doświadczeniem,

przenikniętych tą samą pasją do tej wymagającej sztuki walki. Nieprzerwanie korzystałem też z własnej wyobraźni pobudzonej dostarczającymi informacjami, ale i z obserwacji współczesności: wyszukując ślady nazizmu w nietolerancji w relacjach międzyludzkich, w autorytarnych zachowaniach władz czy przemocowym charakterze norm obyczajowych, społecznych i reakcji na ich przekraczanie – w tych drobnych zdawałoby się przejawach poszukując wspólnych źródeł z nacjonalistyczną machiną do zabijania napędzaną etnicznym rozumieniem narodu.

4 Jakiego rodzaju przygotowania od strony fizycznej, sprawnościowej wymagała ta rola?

Bardzo szybko w gronie producentów, reżysera i mojego teamu odpowiadającego za przygotowanie walk uznaliśmy, że są one integralną częścią roli i niezbędne jest takie przygotowanie, które pozwoli mi w stu procentach reprezentować Tadeusza Pietrzykowskiego na ekranie. Na szczęście wszyscy mieliśmy świadomość wyzwania i prace rozpoczęliśmy na 14 miesięcy przed zdjęciami. Równocześnie musiałem zrzucić wagę, a zaczynałem od 78,5 kg, budować sportową sylwetkę i trenować technikę. Dzięki spójnej przemyślanej strategii udało nam się osiągnąć założone cele: 20 proc. masy ciała w dół przy jednoczesnej formie pozwalającej na całonocne nagrania scen walk bez dublera. To wszystko zasługa współpracy kilku osób, takich jak: Maciej A. Maciejewski – główny koordynator, Jarek Golec – twórca choreografii scen walk, Michał Pluskota – odpowiadający za kształt i formę mojego ciała, Konrad Ostrowski – główny trener pięściarstwa, trener Marian Basiak i team prowadzący Łukasza Różańskiego – dotknięcie stylu Feliksa „Papy” Stamma, oraz wszyscy moi sparingpartnerzy i partnerzy z ekranowego ringu, w tym aktor Piotr Witkowski.

5 Czy zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że Tadeusz Pietrzykowski był gladiatorem swoich czasów?

Budując postać Teddy’ego myślałem raczej o człowieku, którym stał się po wojnie; o nauczycielu WF-u, który był zmuszony – w piekle na ziemi – zrozumieć, że podejmując walkę ze złem można przetrwać, ale żeby zwyciężyć, trzeba zacząć czynić dobro.

WYSTAWA

Przeszłość utrwalona w kadrze

W latach 1973–1976 Albert Krystyniak wykonał aparatem Pentacon Six ponad 260 zdjęć Pragi. Fotografował podwórka, ulice i domy. W średnich i dalekich planach uwieczniał codzienne zajęcia, rozmowy, dziecięce zabawy. Nie był przy tym zewnętrznym obserwatorem, był kimś „stałym”, kto z sympatią i sentymentem patrzył na swoją dawną dzielnicę. Dziś wystawa jest okazją do poznania unikalnych mikrohistorii prawobrzeżnej Warszawy, jej atmosfery i realiów. „Jego uwagę przykuwały stare niszczące kamienice, architektoniczne kontrasty, trudne warunki mieszkalne, codzienność lokalnej społeczności” – podkreśla Adam Lisiecki, kurator wystawy. Opowieść o dzielnicy uzupełniają archiwalia, w tym materiały prasowe o budowie nowych osiedli i planach przebudowy centrum dzielnicy.

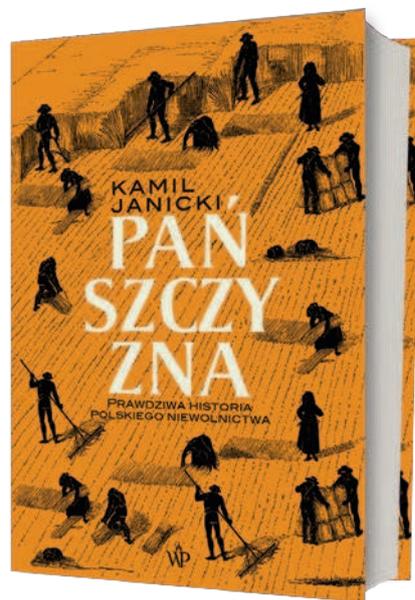
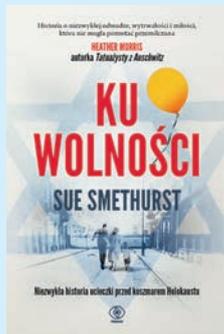
„Praga lat 70. Fotografie Alberta Krystyniaka”, Muzeum Warszawskiej Pragi, ul. Targowa 50/52, do 24 października

KSIĄŻKA

Wojenni uchodźcy

Książka opowiada prawdziwą historię Mindli i jej męża Kubusia Horowitza – artysty słynnego Cyrku Braci Stanińskich. Ich wojenna tułaczka rozpoczyna się w Warszawie w 1939 r. na ul. Muranowskiej, a kończy dziesięć lat później... w Australii. Gehennę tej podróży prowadzącej przez Związek Radziecki, Bliski Wschód i Afrykę opisała nagradzana i uznana dziennikarka Sue Smethurst, której mąż jest wnukiem bohaterów tej historii. Wybuch wojny zastał męża Mindli poza Warszawą. Próbując go odnaleźć, młoda kobieta rusza z synkiem na wschód, by w Białymstoku wpaść w ręce Rosjan i trafić do więzienia. Kubusiowi udaje się ją uwolnić i razem już ruszają w głąb Związku Radzieckiego, gdzie mają nadzieję przetrwać niemiecką inwazję...

„Ku wolności”, Sue Smethurst, Rebis 2021



KSIĄŻKA

NAJPRAWDZIWSZA HISTORIA POLAKÓW

Temat pańszczyzny został przemielony na proch na lekcjach historii pod zdewaluowanym hasłem „chłopskiej niedoli”. Ale na kartach książki Janickiego nabiera wagi i świeżości. Może dlatego, że autor już od początku miękka „niedolę” zamienia na twarde „niewolnictwo”. Nie ma tu miejsca na eufemizmy. Mit sarmaty i modrzewiowego dworku pada pod naporem nagich brutalnych faktów. Takich, że szlachta traktowała poddanych jak inwentarz, odmawiała im człowieczeństwa i wszelkich praw. Zdzierła z nich natomiast wszystko do ostatniej koszuli, a to w postaci przymusowej pracy, a to w postaci danin. Państwo ściągало pobory w dowolnej częstotliwości i kwocie, Kościół żądał dziesięciny, grożąc knąbnym ekskomuniką. Nieobecność na mszy kosztowała 40 groszy. Polski szlachcic mógł zabić „swojego” chłopą bez żadnej kary, za zabicie „cudzego” płacił jak za konia. Jak w tym kontekście brzmią takie sformułowania w rodzaju „chlubna tradycja”, „chwała oręża” czy „honor szlachecki”?

Największym osiągnięciem książki Janickiego jest jednak to, że otwiera oczy na skalę tego zjawiska. Uświadamia nam, że w Polsce w ten sposób żyło aż 70 proc. społeczeństwa! Przeważająca część naszych przodków zaznała tylko głodu, brudu i nędzy, z pokolenia na pokolenie popadając w coraz większe zubożenie. Uprzywilejowana klasa szlachecka nie była zaś wcale tak liczna, jak się potocznie uważa. W XVI w. było to zaledwie 5–5,5 proc. To dla niej i w jej imieniu funkcjonowała cała Rzeczpospolita z jej królami, kasztelanami, wojewodami i podkomorzymi. Oślawiona „demokracja szlachecka” będąca synonimem równości i tolerancji brzmi w tym kontekście niemal jak żart. I przestaje budzić zdziwienie drastyczna scena z noweli Stefana Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony”, podczas której chłop obdarł ze wszystkiego martwego powstańca szlachcica...

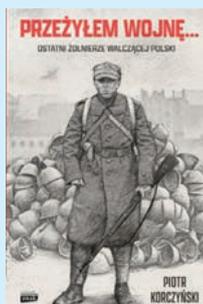
„Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa”, Kamil Janicki, Wydawnictwo Poznańskie,

Poznań 2021

Świadkowie mają głos

Od zakończenia II wojny światowej minęło 76 lat, niewielkie są więc już szanse na spotkanie jej uczestników, poznanie wspomnień weteranów w bezpośredniej rozmowie. Historyk Piotr Korczyński dotarł do nielicznych, których jeszcze żyli w momencie pisania książki, i namówił ich na rozmowę. Walczyli w różnych formacjach i na różnych europejskich frontach. Byli szeregowcami lub co najwyżej podoficerami. Nie uważają się za bohaterów, bo... przeżyli. Wśród rozmówców Korczyńskiego jest Wacław Feryniec, weteran spod Lenino i Studzianek, Henryk Prajs, ostatni szwoleżer II Rzeczypospolitej, Wanda Dąbrowska ze służb wywiadowczych AK w Wilnie, Feliks Osiński, ostatni berlingowiec, który zdążył do Andersa i wielu jeszcze innych. Wacłarz ich losów, przypadków dramatycznych i szczęśliwych składa się na zbiór „Przeżyłem wojnę... Ostatni żołnierze walczącej Polski”.

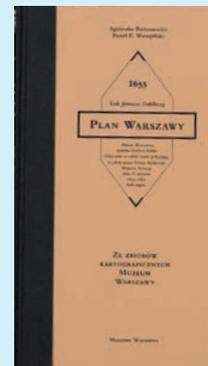
„Przeżyłem wojnę... Ostatni żołnierze walczącej Polski”,
Piotr Korczyński, Znak Horyzont,
2021



Warszawa czasów potopu

W serii Plany Warszawy wydanej przez Muzeum Warszawy ukazał się kolejny, już szósty tom. Odsyła nas najdalej w przeszłość bo aż do roku 1655. Jest to najwcześniejszy drukowany plan Warszawy. Jego oryginalny tytuł wyjaśnia wiele: „1655 – Miasto Warszawa, siedziba Królów Polski faktycznie w takim stanie pokazana, w jakim przez Święty Królewski Majestat Szwecji dnia 30 sierpnia 1655 roku była zajęta”. Jego twórca Erik Jönsson Dahlberg był szwedzkim kartografem, wojskowym i artystą, który dołączył do sztabu Karola Gustawa okupującego Warszawę podczas potopu. Czterem reprintom towarzyszy m.in. komentarz prof. Agnieszki Bartoszewicz, która przedstawia gwałtowne zmiany, jakie zaszły w świeżo mianowanej stolicy od końca XVI do połowy XVII wieku.

„Plan Warszawy 1655. Erik Jönsson Dahlberg”,
Agnieszka Bartoszewicz, Paweł E. Wespiński, Muzeum
Warszawy, 2021



Muzeum POLIN – nowe otwarcie

Stałą wystawę „1000 lat Żydów polskich” w Muzeum POLIN uzupełniła ostatnio galeria „Dziedzictwo”. Przypomina ona ludzi, których dokonania stały się spuścizną kolejnych pokoleń budujących wspólną tradycję. W XIX i XX wieku wraz z postępującą emancypacją coraz więcej Żydów włączało się w życie społeczne, polityczne i kulturalne swojego otoczenia. 26 przedstawionych na wystawie postaci nie wzięto się z wyboru indywidualnego – reprezentują różne obszary twórczości i działalności, różne drogi życiowe i relacje z żydowskim światem. Urodzili się i na ogół wychowali w Polsce lub na ziemiach polskich, przy czym jedni dorastali w rodzinach religijnych, inni w zasymilowanych, niektórzy zaś zmienili wyznanie. Wielu porzuciło świat tradycji lub wyjechało z Polski, jednak fakt wychowania w świecie polsko-żydowskich wartości miał zawsze wpływ na ich losy i wybory. W gronie tym znaleźli się m.in. Julian Tuwim, Bruno Schulz, Isaac Bashevis Singer, Arnold Szyfman, Samuel Goldwyn oraz Artur Rubinstein. Galeria ulokowana jest na poziomie głównego lobby muzeum w tzw. Sali Pomnikowej, z której otwiera się widok na Pomnik Bohaterów Getta.

Galeria „Dziedzictwo”, Muzeum POLIN, Warszawa, wystawa stała



Fotografia malarza i krytyka Henryka Berlewiego z otwarcia wystawy w salonie automobilowym przy ul. Wierzbowej w Warszawie w 1924 r.

WYSTAWA

Wybieg na stadionie

Za nami XXXII Letnie Igrzyska Olimpijskie w Tokio i związane z nimi emocje sportowe. Czas porozmawiać o... modzie. W tym roku zawodniczki z Polski wystąpiły w granatowych plisowanych spódnicach i białych bluzkach, a zawodnicy w białych spodniach i granatowych koszulkach. Najważniejsze w rywalizacji są oczywiście sportowe osiągnięcia, ale że strona wizualna nie jest kibicom zupełnie obojętna, świadczy wystawa zorganizowana przez Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, jedną z najstarszych placówek muzealnych o profilu sportowym na świecie. W Centrum Olimpijskim na warszawskim Żoliborzu obejrzeć można kolekcję medali i pochodni olimpijskich, kajak Karola Wojtyły czy unikalne pamiątki z 1940 r. po Konspiracyjnych Międzynarodowych Jenieckich Igrzyskach Olimpijskich w stalagu XIII Langwasser pod Norymbergą. Natomiast do końca września królują tam ubiory, w jakich polscy sportowcy reprezentowali nasz kraj na letnich oraz zimowych olimpiadach. Wśród eksponatów znalazły się zarówno stroje defiladowe, jak i „startowe”, np. kożuski z Zimowych Igrzysk w Grenoble (1968), mundur Jana Kowalczyka ze zwycięskiego jeździeckiego konkursu skoków przez przeszkodę w Moskwie (1980) czy bluza Ireny Szewińskiej z Igrzysk w Montrealu (1976).

„Modnie na igrzyska”, Muzeum Sportu i Turystyki, Warszawa, do 30 września

KSIĄŻKA

CZESKIE DROGI

Jeszcze nie zdążyły wybrzmieć głosy zachwytu nad poprzednią książką Piotra Majewskiego, zatytułowaną „Kiedy wybuchnie wojna?”, a już możemy cieszyć się jej kontynuacją. Tytułowe słowa „Niech sobie nie myślą, że jesteśmy kolaborantami” przypisuje się premierowi utworzonego przez Hitlera Protektoratu Czech i Moraw, chociaż prawdopodobnie nigdy nie padły z jego ust. Znakomicie jednak oddają dylemat zarówno elit, jak i czeskich obywateli po tym, jak w imię mniejszego zła oddali się pod opiekę Trzeciej Rzeszy. Kolaborancki prezydent Protektoratu Emil Hácha w grudniu 1941 r., trzy lata po niemieckiej „propozycji nie do odrzucenia”, słał okupantów: „Podczas gdy my obchodzimy Boże Narodzenie, stoi żołnierz niemiecki jako twarda żelazna straż na szerokich zaśniewionych rosyjskich równinach także za nas”. „Nasze dzieci naplują nam za to w twarz” – twierdził z kolei jeden ze współpracowników Edvarda Beneša, prezydenta Czechosłowacji na uchodźstwie. Czy uległość wobec zła da się usprawiedliwić? Najnowsza książka Piotra Majewskiego analizuje skomplikowaną sytuację Czechów lawirujących w czasie II wojny światowej między współpracą z Hitlerem a patriotyzmem.



„Niech sobie nie myślą, że jesteśmy kolaborantami. Protektorat Czech i Moraw, 1939 – 45”,

Piotr M. Majewski, Krytyka Polityczna, 2021

FOCUS

tel. +48 22 360 37 38, fax +48 22 360 39 90
www.focus.pl e-mail: focus@burdamedia.pl

REDAKTOR NACZELNY GRUPY FOCUS

Lukasz Żariski

ZASTĘPCA RED. NACZ.

Megdalena Salik

REDAKTOR NACZELNY FOCUS HISTORIA

Adam Węglowski

DYREKTOR ARTYSTYCZNY

Michał Janicki

REDAKCJA GRUPY FOCUS

Jan Stradowski (nauka), Zuzanna Kisielewska

SEKRETARZ REDAKCJI

Dorota Smusz

FOTODYDZIA

Aleksandra Bajer, Roman Turso

STUDIO GRAFICZNE

Robert Dany (z-ca dyrektora artystycznego), Marcin Sobczak

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Hanna Adamkowska, Agnieszka Fiedorowicz,

Michał Janowski, Marcin Powłaska,

Ewa Nieckula, Kazimierz Pytko, Joanna Lamparska,

Anila Wigrzyz, Kazimierz Pasek

WWW.FOCUS.PL Agnieszka Wirtwein-Przerwa

(szefowa serwisu), Hanna Gadomska (redaktorka),

Katarzyna Grzelak (redaktorka), Tomasz Podgórski

(media społecznościowe)

PRODUKCJA & PREPRESS QUALITY

Dariusz Jahn (dyr.), Stanisław Siemiński

PBC

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

FOCUS GROUP

BurdalInternational

WYDAWCA: Burda Media Polska Sp. z o.o., członek Izby Wydawców Prasy, ul. Marynarska 15, 02-674 Warszawa, tel. 22 360 38 00, www.burdamedia.pl

SENIOR BUSINESS MANAGER

Olga Stąbberska

olga.stabberska@burdamedia.pl

BRAND MANAGER

Anna Piszczadowska

anna.piszczadowska@burdamedia.pl

SEKRETARIAT BIURA REKLAMY

22 360 36 03,

fax +48 22 360 39 80,

e-mail: reklama@burdamedia.pl

CHIEF COMMERCIAL OFFICER

Michał Helman

SALES DIRECTOR

Małgorzata Nocun-Zygmuntowicz

DEPUTY SALES DIRECTOR

Katarzyna Nowakowska,

katarzyna.nowakowska@burdamedia.pl

ZESPÓŁ:

Zaneta Lis (Sprzedażowa (Sales Team Manager), zaneta.lis@burdamedia.pl

Agnieszka Rosiak (Senior Account Executive), agnieszka.rosiak@burdamedia.pl

Małgorzata Walos (Senior Account Executive), malgorzata.walos@burdamedia.pl

DISTRIBUTION DIRECTOR

Tomasz Kaluza

M&A AND PARTNERSHIPS

AND SUBSCRIPTION DIRECTOR

Marcin Stark, marcin.stark@burdamedia.pl

SUBSCRIPTION PRODUCT MANAGER

Aleksandra Mikolajczyk-Tomczak,

aleksandra.mikolajczyk-tomczak@burdamedia.pl

BIURO OBSŁUGI KLIENTA

ul. Marynarska 15, 02-674 Warszawa

Infolinia tel: (22) 360 37 77 (pon.-pt., godz. 9-17)

e-mail: bok@burdamedia.pl

Numer rachunku bankowego do wpłaty za prenumeratę:

mBank: 32 1140 1977 0000 4186 6900 1017

FOCUS

G*J International Magazines GmbH International

Brands and Licenses Am Baumwall 11,

20459 Hamburg / Germany

Phone: +49 40 3703 6331,

Fax: +49 40 3703 5867

Websites: www.guj.de and

www.guj-international-brands.com

MANAGING DIRECTOR

Rolf Heinz, Dr. Christian Bosse

HEAD OF INTERNATIONAL BRANDS

AND LICENSES

Daniela Zimmer

DEPUTY

Daniel Gesse

This „Focus” is published under license

from G*J International Magazines GmbH, „FOCUS”

and „FOCUS” are intellectual property

of G*J International Magazines GmbH



Bliskie spotkania z mordercami

3 sierpnia na kanale CBS Reality wystartowała nowa seria dokumentalna true crime zatytułowana „Kryminalne śledztwa PRL”. Śledczy i eksperci z różnych dziedzin opowiadają w niej o tym, jak przed kilkudziesięciu laty poszukiwali seryjnych morderców – „wampirów”. Kolejne odcinki poświęcone są dochodzeniom w sprawach morderstw dokonanych m.in. przez siejącego post-trach na Śląsku Joachima Knychotę, czyli „wampira z Bytomia”, Kazimierza Polusa – groźnego pedofila z Poznania czy Pawła Tuchlina zwanego „Skorpionem”. Jednak to nie epatowanie okrucieństwem, pokazywanie drastycznych szczegółów jest celem dokumentalnego cyklu produkcji CBS Reality. Jego znaczącym walorem są wspomnienia ludzi zaangażowanych w ściganie morderców kilkadziesiąt lat temu: milicjantów, patologów, kryminalistów. Opowiadają oni o przebiegu śledztw, a ich historie są świeże, autentyczne i wciąż emocjonalnie nacechowane. Relacje te oddają nie tylko konkretne wydarzenia, lecz także warunki, w jakich przyszło im pracować, narzędzia, które mieli do dyspozycji – a nie było wówczas ani baz komputerowych, ani badań DNA czy kamer w miejscach publicznych, często brakowało ludzi i zdarzało się, że śledczy nie mieli dostępu nawet do telefonów. Prowadzone sprawy niejednokrotnie odbiły się na ich własnym życiu i ten autentyzm, osobisty stosunek z jednej strony do ofiar, z drugiej do sprawców, jest ważnym i unikatowym składnikiem serii.

„Kryminalne śledztwa PRL”,
CBS Reality, wtorki, godz. 22.00

Sportowcy w pasiakach

W bloku 21 na terenie Miejsca Pamięci Auschwitz otwarto wystawę „Sport i sportowcy w KL Auschwitz”, która opowiada o historii sportu w nazistowskim obozie oraz o losach deportowanych tu zawodników. Za druty trafiali bokserzy, piłkarze i lekkoatleci, praktycznie przedstawiciele wszystkich dyscyplin, w tym mistrzowie olimpijscy i mistrzowie swoich krajów. Niedożywieni i wymęczeni pracą zmuszani byli przez esesmanów do dodatkowych „ćwiczeń”, które nie były niczym innym jak sposobem wymuszania dyscypliny i karanie więźniów. Ale potrzeba ucieczki od ponurej rzeczywistości sprawiała, że w wolnym czasie rozgrywali pojedynki bokserskie, mecze piłki nożnej, siatkówki czy koszykówki. Szczególnie miejsce na wystawie poświęcono dwóm bokserom: Antoniemu „Kajtkowi” Czortkowi i Tadeuszowi „Teddy’emu” Pietrzykowskiemu.

„Sport i sportowcy w KL Auschwitz”, Miejsce Pamięci
I Muzeum Auschwitz-Birkenau, do 30 marca 2022



Bałtyckie złoto

Gdańsk może poszczycić się jedną z największych kolekcji bursztynu na świecie, a od 24 lipca Muzeum Bursztynu także nową siedzibą w Wielkim Młynie na Starym Mieście. Młyn ten, napędzany niegdyś wodami Kanału Raduni, wzniesiony został przez Krzyżaków ok. 1350 r. Gruntownie odnowiony, na powierzchni niemal 1000 m² mieści imponującą kolekcję: od bryłek z inkluzjami sprzed 40 mln lat, przez bursztynowy las i bursztynową komnatę, ważącą 69 kg bryłę z Sumatry, po współczesne projekty artystów. Muzeum łatwo dostrzec z daleka, ponieważ na jego szczyt powróciła chorągiew wiatrowa skonstruowana na podstawie ryciny z 1687 r. Ma 1,8 m wysokości i błyszczą w słońcu – jej pozłacane elementy to prawie 2 m² złota w płatkach.

Muzeum Bursztynu, oddział Muzeum Gdańska,
ul. Wielkie Młyny 16, wystawa stała

SPRZĘT

LATARKA PODWÓJNEGO UŻYTKU

Olight Perun 2 to dwa w jednym: latarka czołowa, którą po wyjęciu

z opaski można używać jako ręcznej latarki kątowej. Strumień świetlny rzędu 2500 lumenów i skuteczny zasięg ponad 160 m zapewniają dobrą widoczność w terenie. Czujnik zbliżeniowy zmniejsza automatycznie moc świecenia, kiedy latarka znajdzie się w pobliżu przeszkody. Norma wodoodporności IPX-8 gwarantuje odporność na zanurzenie do głębokości 2 m przez 30 minut. Latarka działa w sześciu trybach świecenia. Ma 5 lat gwarancji. W zestawie poza latarką i opaską na głowę znajdują się także: magnetyczny kabel ładujący USB, akumulator, klips i smycz.

Więcej na: www.militaria.pl.



Latarka Olight Perun 2

Cena: 369 zł

URODA

Ciągle młodzi

Bóle bioder, kolan, kręgosłupa, dolegliwości karku i barków, zwiotczone mięśnie, cellulit, zmarszczki, zszarzała twarz czy matowe włosy – to wszystko może sygnalizować niedobór kolagenu. Warto regularnie go uzupełniać. Jednak musi to być produkt wysokiej jakości. Wypróbowany KolagenCito od renomowanej niemieckiej firmy Reutter zawiera w każdej miękkiej pastylce aż 400 mg drogiego kolagenu. Dodatkowo jest on wzbogacony w witaminę C, która wspiera jego przyswajanie. Już trzy sztuki dziennie pozwalają nam przywrócić równowagę w organizmie. Zastosuj ten naturalny lifting bez klucia. KolagenCito jest stworzony dla każdej osoby starającej się zachować młodość przez długie lata. Produkt jest chroniony prawem patentowym na świecie. Kupisz go w dobrej cenie w aptekach i sklepach zielarskich.

KolagenCito

Cena ok. 29 zł



SPRZĘT

JAZDA W SŁUCHAWKACH

Nowe JBL Tune 710 BT to słuchawki o potężnych możliwościach, które składają się do kompaktowego rozmiaru i nadają się do zabrania na każdą wyprawę. Połączenia można obsługiwać z poziomu naszników (dzięki wygodnemu przyciskowi) oraz za pomocą komend głosowych. Podobnie można zarządzać odtwarzaniem muzyki.

Technologia dźwięku JBL Pure Bass zapewni doskonale brzmienie. Bez kabli, za pomocą Bluetooth. Wbudowany akumulator zapewnia do 50 godzin pracy, a funkcja szybkiego ładowania daje 3 dodatkowe godziny rozrywki po zaledwie 5 minutach doładowania. Czas ładowania akumulatora do pełna wynosi zaledwie 2 godziny.

Połączenie wielopunktowe (Multi-point Connection) umożliwia jednoczesne połączenie z dwoma urządzeniami Bluetooth, dzięki czemu nie przegapi się połączenia na telefonie podczas oglądania filmu na tablecie.

JBL Tune 710 BT

Sugerowana cena detaliczna: 369 zł

ZDROWIE

Bez problemu cały rok

Szukasz dobrego dezodorantu? Bezzapachowy, bezalkoholowy, chwalony przez sportowców dezodorant Super Deo z wysokogatunkowej krystalicznej skały doskonale neutralizuje brzydki zapach potu pach i stóp. Działa natychmiast. Przydatny dla pań, panów i aktywnej młodzieży. Starcza aż na rok, nawet przy częstym stosowaniu. Super Deo nie zostawia plam i nie podrażnia. Przebadany dermatologicznie. Dezodorant Super Deo kupisz w aptekach i zielarniach.



Super Deo

Cena ok. 17 zł

ŚLED CZY

WYDZIAŁ
ŚLED CZY

KRYMINATORIUM
MARCINA MYSZKI

SCENA
ZBRODNI

KRYMINALNE
ZAGADKI HISTORII

MAFIA WEDŁUG
ARTURA GÓRSKIEGO

RZECZ
POD LUPĄ

ZAGRAJ
TO
JESZCZE
RAZ,
AHMED



► Tajemniczy Egipcjanin Ahmed Mustafa Dissouki prowadził bar w hitlerowskim Berlinie. Potem wyjechał do Warszawy i został kochankiem polskiej gwiazdy. Czy pracował także dla wywiadu? Co z nim się stało?

Na zdjęciu: pomnik ku czci ofiar Moabitu, słynnego więzienia w Berlinie. Osadzony był tam Dissouki, trafił też na Pawiak i do Auschwitz.

Mimo że Niemcy lat 30. kojarzą się przede wszystkim ze zbrodniczym reżimem Adolfa Hitlera, w Berlinie cały czas kwitło życie artystyczne, a na terenie Trzeciej Rzeszy mieszkało wiele barwnych osobistości. Jedną z ciekawszych postaci był Ahmed Mustafa Dissouki, który prowadził utrzymany w egipskiej stylistyce *Ciro Bar* oraz letnią restaurację *Mustafa*. Tuż przed wybuchem II wojny światowej znalazł się w Warszawie, gdzie rozkochał w sobie „królową seksapilu stolicy”, aktorkę Inę Benitę. Był więźniem Pawiaka, Auschwitz i Moabitu, a po wojnie zniknął bez śladu. Kim był ów tajemniczy Egipcjanin i jak wyglądały koleje jego losów?

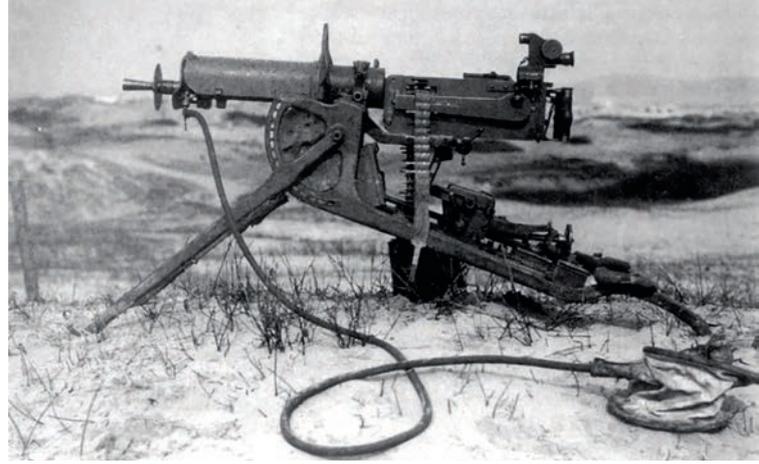
FORDANSER ZOSTAJE BIZNESMENEM

Ahmed Mustafa Dissouki przyszedł na świat 30 kwietnia 1906 r. w Aleksandrii w Egipcie. Mieszkańcy Berlina, w którym robił w latach 30. karierę, znali go przede wszystkim jako Ahmeda lub Mustafę. Odziedziczonym po dziadku nazwiskiem Dissouki posługiwał się wyłącznie w oficjalnych dokumentach. Najprawdopodobniej pochodził z niezbyt zamożnej rodziny i miał minimalne wykształcenie, lecz braki w edukacji znakomicie nadrabiał sprytem i obrotnością. Umiał przy tym bardzo dobrze tańczyć, więc kiedy pod koniec lat 20. udało mu się zarobić pierwsze w życiu większe pieniądze, postanowił opuścić rodzinny Egipt i udać się w poszukiwaniu szczęścia do dalekiego Berlina.

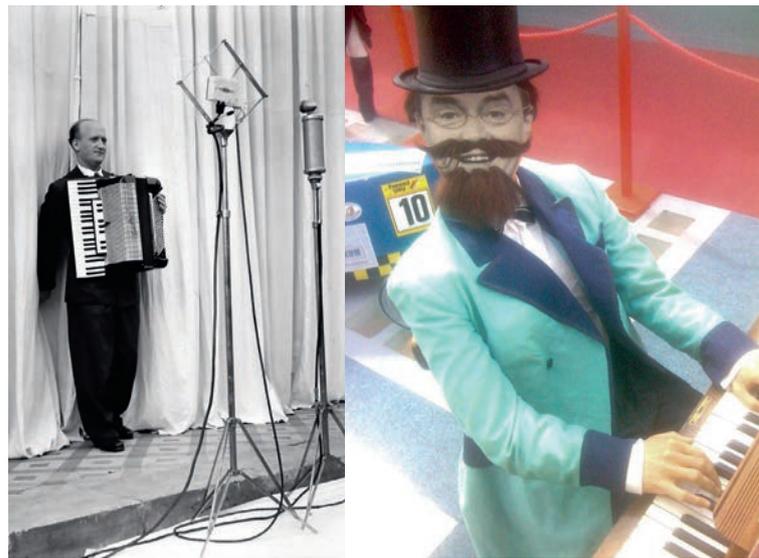
Początkowo Ahmed zarabiał na życie jako żigolo w barze *Femina*, gdzie wykonywał zmysłowe orientalne tańce dla spragnionych rozrywki żon niemieckich dygnitarzy. Jedną z klientek *Feminy*, która zapoznała się bliżej z przystojnym Egipcjaninem, była starsza od niego o trzydzieści lat Clara von Gontard. Żona cenionego niemieckiego przemysłowca barona Paula von Gontarda, który w latach 1905–1928 sprawował stanowisko dyrektora generalnego fabryki amunicji *Deutsche Waffen- und Munitionsfabriken AG*. Fordanser rodem z Aleksandrii tak zawrócił zamożnej damie w głowie, że po krótkiej znajomości postanowiła przekazać mu sporą sumę pieniędzy.

Dzięki temu w styczniu 1932 r. Dissouki otworzył utrzymany w egipskiej stylistyce lokal *Ciro Bar* przy *Rankestrasse* w *Charlottenburgu*, który wkrótce stał się jedną z najmłodniejszych kawiarni Berlina. Wkrótce Ahmed poszedł za ciosem i założył również letnią restaurację *Mustafa* w berlińskiej dzielnicy *Kladow*.

Do sukcesu komercyjnego *Ciro Baru* przyczyniła się przede wszystkim obecność muzyki jazzowej i swingowej, którą zapewniał popularny niemiecki muzyk, kompozytor i akordeonista Albert Vossen. W latach 1935–1937 w *Ciro* zaczynał też swoją karierę pianista jazzowy Fritz Schulz-Reichel, którego nagrania w latach 50. cieszyły się dużą popularnością w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Aktor teatralny i filmowy Willy Fritsch opisywał po



Dissouki wyrobił sobie wiele cennych znajomości. Był kochankiem żony przemysłowego potentata von Gontarda, właściciela **fabryk broni**. Z niewiadomych przyczyn Egipcjanina w Berlinie chronił przez kilka lat przed szykanami sam szef SS Heinrich Himmler. W klubie Dissoukiego pojawiały się takie gwiazdy jak akordeonista Albert Vossen (poniżej, pierwszy z lewej i pianista jazzowy Fritz Schulz-Reichel (z prawej jego podobizna z gabinetu figur woskowych).



latach lokal Ahmeda w następujących słowach: „Moim ulubionym lokalem był *Ciro Bar* na *Rankestrasse* w pobliżu Kościoła Pamięci (*Gedächtniskirche*), który należał do eleganckiego Egipcjanina o melancholijnych oczach i dużej biznesowej zręczności. Nazywał się Mustafa. Chodziłem do pięciu lub sześciu najpopularniejszych barów, ale głównie do *Ciro*”.

ULUBIONY EGIPCJANIN TRZECIEJ RZESZY

Dojście Adolfa Hitlera do władzy w Niemczech i proklamowanie Trzeciej Rzeszy nie tylko nie przyczyniło się do upadku działalności gastronomicznej Ahmeda, ale wręcz wpłynęło na wzrost jego popularności. W czasie XI Letnich Igrzysk Olimpijskich zorganizowanych w Berlinie w 1936 r. lokal odwiedzali bowiem goście z całego świata, a nawet... wpływowi przedstawiciele rządzącej partii hitlerowskiej: NSDAP.

Jak to możliwe? Tak się składa, że chociaż już rok wcześniej Ministerstwo Propagandy zabroniło emitowania na



Berliński bar **Ciro** należący do Ahmeda alias Mustafy znajdował się na Rankenstrasse w pobliżu **Kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma**. Dziś ruiny tej świątyni, zniszczonej podczas II wojny światowej, są jedną z ikon Berlina i wciąż przypominają o tragicznej przeszłości.



falach niemieckiego radia muzyki jazzowej i rozpoczęło intensywną kampanię przeciw „podstępnej i zdradzieckiej antymuzyce czarnych”, w czasie igrzysk nazisci przymykali oko na działalność jazzowych kawiarni, ponieważ starali się przedstawić Trzecią Rzeszę na arenie międzynarodowej jako kraj otwarty i tolerancyjny.

Ahmed Mustafa Dissouki nie był zresztą jedynym Egipcjaninem prowadzącym w Berlinie działalność gastronomiczną. Największą konkurencją był dla niego Sherbini Bar przy Uhlandstrasse, należący do niejakiego Mustafy El Sherbiniego. Obydwaj Egipcjanie oferowali w swoich lokalach muzykę jazzową na wysokim poziomie, więc ich

rywalizacja była dość zacięta. Jednocześnie Dissouki i El Sherbini mieli wspólnego wroga i podobne problemy. Był nim dziennikarz „Das Deutsche Podium” Hans Brückner, który ujawniał na łamach pisma artystów żydowskiego pochodzenia i ich miejsca pracy. W latach 1935–1936 lokale **Ciro Bar** oraz **Sherbini Bar**, w których pracowali żydowscy muzycy, znalazły się na jego „indeksie lokali zakazanych”, a przed zamknięciem uchroniły je zapewne wspomniane już igrzyska.

Działalność Ahmeda w Berlinie nie ograniczała się jednak tylko do występów tanecznych i prowadzenia modnych knajp. Miał również kilka koni wyścigowych, które >

CIRO BAR

Dance Cabaret Show



Ciro Bar istnieje i nadal ma swoich bywalców. Choć teraz wygląda inaczej niż w czasach przedwojennych, nawiązuje do przeszłości i utrzymany jest w stylu retro. Jak wyglądał kiedyś w środku można zobaczyć, przeglądając stare pocztówki z Berlina dostępne w internecie.

› startowały w zawodach obok zwierząt należących do czołowych niemieckich dygnitarzy.

Na początku 1939 r. wraz ze wzrostem nastrojów wojennych w Trzeciej Rzeszy i ucieczką z kraju części klientów Ahmeda popularność Ciro Baru zmalała, a przedsiębiorczy Egipcjanin popadł w długi. W końcu przestał płacić rachunki i nie wypłacał pensji pracownikom. W lipcu 1939 r. nad Dissoukim zawisła nawet groźba deportacji do Egiptu, lecz pomocną dłoń wyciągnął do niego sam Heinrich Himmler, jeden z przywódców Trzeciej Rzeszy. Ostatecznie Ahmed uniknął powrotu do ojczyzny, aczkolwiek opuścił Berlin i udał się do Warszawy.

Przyczyny jego przyjazdu do Polski nie są znane, chociaż pojawienie się zaprzyjaźnionego z nazistami Egipcjanina w Warszawie tuż przed wybuchem II wojny światowej nie wydaje się przypadkowe...

KOCHANEK INY BENITY

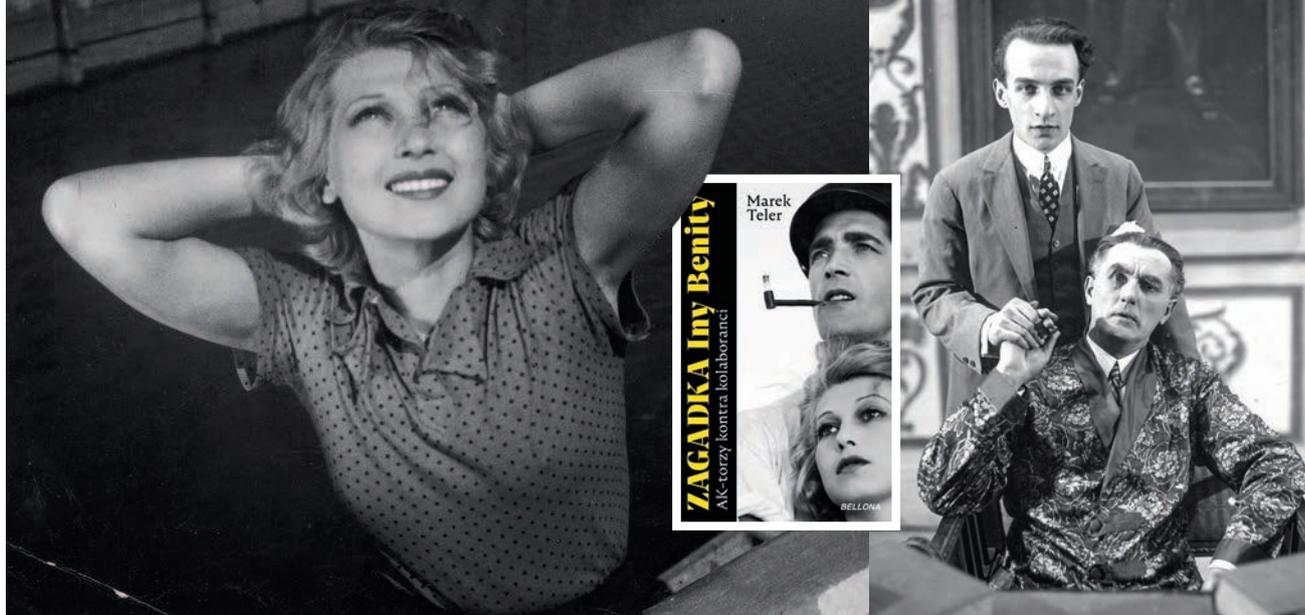
Po przyjeździe do stolicy Polski przystojny Egipcjanin zaczął bywać w modnych warszawskich lokalach i zapewne odwiedzał też teatry, gdzie jego uwagę przykuła... piękna polska aktorka Ina Benita. Występowała w filmie i na scenie od początku lat 30., a dzięki swoim roloom kobiet w typie *femme fatale* zyskała miano „polskiej Mae West” i naczelniej filmowej kusicielki. Podobnie jak jej nowy egipski znajomy uwielbiała konie, a w styczniu 1933 r. stwierdziła w jednym

z wywiadów: „Marzę o wyjeździe do Afryki, aby... nie widzieć białych”. Nie może zatem dziwić, że tajemniczy egzotyczny mężczyzna bardzo ją zaintrygował. Ahmed miał słabość do pięknych kobiet, a Benita dosyć łatwo się zakochiwała, więc w sierpniu 1939 r. nawiązali ze sobą romans.

W chwili wybuchu II wojny światowej Ahmed i Ina Benita przebywali razem w Warszawie, lecz już po kilku dniach zdecydowali się opuścić bombardowane przez Niemców miasto i przedostali się do Lwowa. Spędzili tam kilka miesięcy, lecz już na początku 1940 r. wrócili do okupowanej stolicy.

W maju 1940 r. kochanka Ahmeda dołączyła do obsady warszawskiego teatru jawnego Komedia, którego główny reżyser Roman Niewiarowicz działał jako „Łada” w wywiadzie i kontrwywiadzie Związku Walki Zbrojnej. Ina pomagała „Ładzie” między innymi w zbieraniu informacji na temat współpracującego z Niemcami Igo Syma, więc reżyser był wtajemniczony w kulisy jej życia prywatnego, w tym również relację z Ahmedem. „Tu [w Warszawie] prowadził różne interesy. Jednocześnie jego kawiarnię w Berlinie skonfiskowano” – pisał o jego działalności Niewiarowicz w meldunku operacyjnym z 5 lutego 1942 r.

Samego Egipcjanina „Łada” opisywał zaś w następujących słowach: „Osobnik podejrzany, ale jednocześnie stale podejrzewany o stosunki z Intelligence Service”. Nie ma



W Warszawie Ahmed był kochankiem słynnej aktorki **Iny Benity**. Pracowała ona w teatrze Komedia, którego główny reżyser **Roman Niewiarowicz** (na zdjęciu z prawej, stojący) działał w polskim podziemiu. W 1940 r. romans się skończył, bo Egipcjanina wyślano do Auschwitz. Więcej o aktorach, konspiratorach i zdrajcach w nowej książce Marka Telera „Zagadka Iny Benity. AK-torzy kontra kolaboranci”.

zatem całkowitej pewności, czy Ahmed trafił do Warszawy na polecenie wywiadu niemieckiego czy brytyjskiego – nie można też wykluczyć, że był podwójnym agentem!

Pozostaje także tajemnicą, jaką rolę odegrała w jego życiu Benita, której szpiegowskie powiązania również nie zostały dokładnie wyjaśnione. Chociaż aktorka była jedną z informaterek Niewiarowicza oraz pomagała uwalniać więźniów z Pawiaka i Auschwitz, po wojnie była poszukiwana przez nowe komunistyczne władze w związku z podejrzeniami o współpracę z wywiadem niemieckim.

KUCHARZ Z AUSCHWITZ

Spokojne życie Dissoukiego w Warszawie przerwało jego nagłe aresztowanie przez niemieckie władze 15 czerwca 1940 r. – jak pisał „Łada” – „rzekomo na skutek zarzutów natury politycznej”. Egipcjanin trafił na Pawiak, skąd 21 września 1940 r. przewieziono go do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie przebywał przez kilka miesięcy. Według informacji Romana Niewiarowicza „pracował tam w kuchni i całkiem znośne miał warunki życia”. Był najprawdopodobniej jedynym przebywającym w Auschwitz Egipcjaninem, stąd zapewne traktowano go lepiej niż większość więźniów.

Po wyjściu na wolność Ahmed powrócił zaś w najlepsze do Berlina i tam otworzył jakoby „nowy zakład kawiarniany”. W Warszawie nic go już nie trzymało, ponieważ Ina Benita przysłała mu do obozu list z informacją, że ich związek należy już do przeszłości.

Chociaż początkowo Ahmed spodziewał się, że odzyska dawną popularność w Berlinie, władze Trzeciej Rzeszy przestały roztaczać nad nim swój parasol ochronny. W październiku 1941 r. Heinrich Himmler, dwa lata wcześniej broniący

go przed deportacją do Egiptu, umieścił jego nazwisko na liście osób, które są w Berlinie *persona non grata*. Ahmed nie zastosował się jednak do niemieckich zarządzeń i przez kolejne trzy lata nadal przebywał w stolicy Trzeciej Rzeszy. W końcu 21 października 1944 r. został aresztowany za przestępstwa dewizowe i umieszczony w więzieniu w Moabicie, gdzie przesłuchiwali go hitlerowscy policjanci. Na wolność wypuszczono go dopiero 17 kwietnia 1945 r. Pod koniec miesiąca był widziany w Berlinie przez niemieckiego aktora Huberta von Meyerincka. „Podszedł do mnie przy Adolf-Hitler-Platz w towarzystwie pięknej młodej dziewczyny. Chciałem się z nim przywitać, ale pomachał mi tylko ze strachem w oczach” – wspominał artysta.

Wojenne przeżycia – pobyt na Pawiaku, w Auschwitz i Moabicie – musiały odbić się na psychice Egipcjanina. Po zakończeniu II wojny światowej podjął więc decyzję o opuszczeniu Berlina na zawsze.

W latach 1946–1948 Dissouki był poszukiwany przez służby Control Commission for Germany (CCG), United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA) i Międzynarodową Organizację Uchodźców (IRO). Niestety, udało im się jedynie ustalić, że były właściciel *Ciro Baru* wyjechał z Berlina do Hamburga, skąd planował przedostać się do Paryża lub rodzinnego Egiptu. Dalsze losy niezwykłego Egipcjanina pozostają nieznane.

A może ktoś z Czytelników jest w stanie coś dodać do jego historii? Może gdzieś ocalało nawet zdjęcie bohatera tej opowieści niczym z „Casablanki”?

Marek Teler – specjalizuje się w historii zapomnianych przez lata gwiazd i celebrytów II Rzeczypospolitej; autor kilku książek.



TWÓRCA

Kryminatorium, najpopularniejszy w Polsce podcast kryminalny, to dzieło dziennikarza i youtubera **Marcina Myszki**. Urodził się w 1991 r. w Cztuchowie, obecnie mieszka w Poznaniu. Miło nam było dowiedzieć się, że „wychowywał się” na naszym magazynie „Śledczy”.

BEZPIECZNE SPOTKANIE ZE ZBRODNIĄ

Każdy może paść ofiarą
przestępstwa, więc poznanie
szczegółów faktycznych wydarzeń
może nas wiele nauczyć

Focus Historia: Co właściwie jest tak fascynującego w historiach kryminalnych?

Marcin Myszka: Mamy w sobie chyba coś takiego, że lubimy odkrywać tajemnice. Lubimy być zaskakiwani, a w tych najgłośniejszych śledztwach zazwyczaj pojawia się wiele zwrotów akcji i niedopowiedzeń. Aby rozwiązać sprawę i zamknąć śledztwo trzeba połączyć w jeden logiczny ciąg wszelkie dostępne informacje. Ludzie lubią czasami wcielić się w postać detektywa i znaleźć odpowiedź na pytania, kto zabił i dlaczego to zrobił. A niektóre śledztwa są naprawdę skomplikowane i aby rozwiązać za-

gadkę potrzeba wiele wysiłku. Pamiętajmy też, że przecież każdy z nas może stać się ofiarą zbrodni, więc poznanie szczegółów faktycznych wydarzeń może nauczyć nas, jakich sytuacji powinniśmy unikać, aby zwiększyć nasze bezpieczeństwo.

Czy jest jakaś sprawa, do której masz szczególne podejście, czujesz się z nią jakoś związany?

M.M.: Zawsze najbardziej emocjonowały mnie sprawy z Polski, a zwłaszcza takie, które wydarzyły się niedaleko mojego miejsca zamieszkania. W takich historiach jest coś



NA NASŁUCHU

W **Kryminatorium** posłuchać można o sprawach, które wstrząsnęły Polską i innymi krajami. A także o zagadkach nierozwiązanych, zaginięciach i historycznych seryjnych mordercach – jak francuski truciciel kobiet Henri Landru czy Peter Kürten, zwany Wampirem z Düsseldorfu.

szczególnego, osoby związane ze sprawą chodziły przecież po tych samych ulicach, odwiedzały te same miejsca, czasami mieszkaly zaledwie ulicę dalej.

W ostatnich latach zajmowałem się kilkoma takimi historiami z własnego podwórka. Największe wrażenie zrobiła na mnie sprawa Edmunda Kolanowskiego. To trzykrotny zabójca i nekrofil, który nocami rozkopywał groby na cmentarzu. Jego historia to gotowy scenariusz na serial albo film fabularny. W dodatku była to sprawa, od której zacząłem intensywniej interesować się sylwetkami polskich morderców. Zbierając materiały dotyczące tego nekrofila, zapoznałem się z aktami, przewertowałem archiwalną prasę w poszukiwaniu wzmianek na ten temat, odwiedziłem miejsca związane ze sprawą oraz porozmawiałem ze świadkami. Poznałem też wtedy Michała Larka, autora reportażu „Martwe ciała”. Nasza znajomość od tego czasu się rozwinęła, namówiłem nawet Michała na założenie własnego podcastu, więc teraz jesteśmy kolegami po fachu. Myślmy nawet o tym, aby wrócić do historii nekrofila, dotrzeć do nowych faktów i wspólnymi siłami opowiedzieć o sprawie jeszcze raz w zupełnie inny sposób.

Co sądzisz o popularnych spacerach po miejscach zbrodni, np. śladem Kuby Rozpruwacza w Londynie?

M.M.: To ciekawa propozycja dla osób zainteresowanych tematem *true crime*. Jeżeli tylko miałbym okazję, to sam na pewno też wybrałbym się na taki spacer. Odwiedzając miejsca zbrodni, można dowiedzieć się znacznie więcej o danej historii, lepiej zrozumieć okoliczności tego zdarzenia. A jeżeli na miejscu o wszystkim opowiadać będzie dobry przewodnik, to taka kryminalna wyprawa może być dobrym sposobem na ciekawe spędzenie dnia.

Podobne spacerki odbywały się już także w naszym kraju. Oczywiście chodziło o miejsca związane z polskimi przestępcami, a takich przecież u nas też nie brakuje. Te wydarzenia cieszyły się naprawdę dużym zainteresowaniem. Ja nigdy jeszcze nie uczestniczyłem w takim spacerze, ale gdy oglądałem w sieci zdjęcia z takich wypraw byłem zdziwiony, że tak wiele osób zdecydowało się wziąć w nim udział. Sam myślałem o tym, aby kiedyś zorganizować coś podobnego w Poznaniu, w końcu to miasto z niezwykle kryminalną przeszłością, a o wielu sprawach z tego regionu opowiadałem już w swoich programach. Po głowie chodzi mi też stworzenie specjalnego przewodnika, w któ-

rym zaznaczone byłyby ważne miejsca dla najgłośniejszych śledstw. Może kiedyś uda się taki pomysł zrealizować.

Nie masz chęci zająć się w Kryminatorium jakimiś naprawdę starymi sprawami, np. śmiercią Aleksandra Wielkiego 2344 lata temu?

M.M.: Zdarza się, że raz na jakiś czas słuchacze proponują podobne tematy. Jednak ja podchodzę do tego sceptycznie. Gdy kilka razy przygotowałem materiał o sprawie z XVII lub XVIII w., to jednak te odcinki nie cieszyły się tak dużą popularnością jak pozostałe, więc zakładałem, że z tak odległymi historiami byłoby podobnie. Mimo wszystko najlepiej pracuje mi się nad tematami z poprzedniego wieku, obecnie głównie skupiam się na sprawach z okresu PRL.

Jak uważasz, na czym polega siła podcastów, a zwłaszcza Kryminatorium?

M.M.: Największą zaletą podcastów jest to, że możemy ich słuchać „przy okazji”. Mogą być ciekawym dodatkiem do naszych codziennych aktywności. Podróż do pracy, ćwiczenia na siłowni lub domowe obowiązki. Przecież w tym czasie, zamiast muzyki możemy posłuchać słowa mówionego i coraz więcej Polaków właśnie na to się decyduje.

To bardzo intymne medium, trafiamy z naszą opowieścią prosto do ucha słuchacza, jesteśmy jego bliskim towarzyszem. W ten sposób budujemy silne relacje z odbiorcą. Badania pokazują, że z miesiąca na miesiąc słuchalność podcastów w Polsce jest coraz większa. Wzrost słuchalności widać też w statystykach Kryminatorium, każda publikacja przyciąga nowych odbiorców, którzy zazwyczaj po przesłuchaniu nowego materiału włączają starsze odcinki. Gdy ktoś raz wejdzie do tego medium i zacznie słuchać podcastów, to zostaje tam na dłużej. Warto też zaznaczyć, bo wiele osób wciąż nie zdaje sobie z tego sprawy, że podcastów możemy słuchać zupełnie za darmo. Wystarczy telefon i dostęp do internetu. Na rynku jest wiele bezpłatnych aplikacji podcastowych, np. PocketCasts lub Google Podcasts. Wystarczy wybrać jedną z nich, pobrać ją na telefon i wejść w świat tych magicznych internetowych audycji. Polskich podcastów jest coraz więcej i na pewno każdy znajdzie coś dla siebie łącznie z pozycjami na temat historii.

rozmawiał: **Jacek Rupert**

S C E N A Z B R O D N I

W willi w Brzuchowicach
decydowały się Losy kobiety
oskarżonej w najstynniejszym
procesie przedwojennej Polski



Wiosna 1933 r. Wizja lokalna przeprowadzona podczas słynnego procesu guwernantki Rity Gorgonowej, oskarżonej o zabójstwo Elżbiety (Lusi) Zarembianki. Nastolatka była córką lwowskiego architekta Henryka Zaremby, pracodawcy i kochanka Gorgonowej. Skandalizującą sprawą i przedłużającym się procesem żyła cała Polska. W celu zbadania okoliczności przestępstwa śledczy przyjechali w miejsce popełnienia zbrodni: do willi w Brzuchowicach. Podczas wyjazdu trzeba było uważać, ponieważ wściekły tłum chciał zlinczować Gorgonową. Ostatecznie sąd skazał ją na 8 lat więzienia, uznając że jest winna, aczkolwiek działała „pod wpływem ogromnego wzruszenia”.



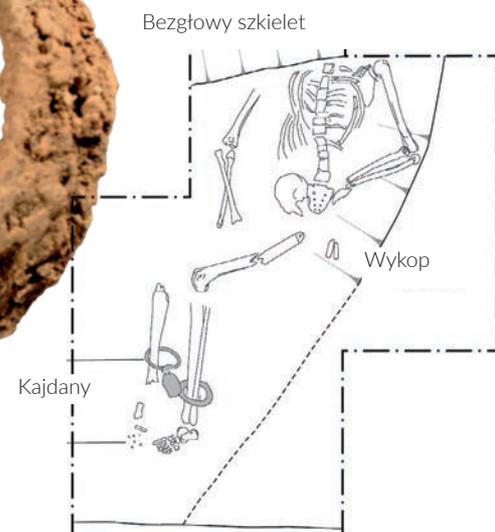
ZAKUTY SZKIELET

Czy znaleziony w Anglii tajemniczy

szkielet mężczyzny w kajdanach

należał do rzymskiego niewolnika?

Czy padł ofiarą mordu?



MIEJSCE

W grobie odkrytym przy budowie szklarni w Great Casterton znaleziono człowieka, który wyglądał jak ofiara psychopatycznego mordercy. Pozbawiony był głowy, a na nogach miał zacisnięte kajdany. Na prześwietleniu można dostrzec nawet ich zamek..

Kiedy robotnicy pracujący przy budowie przydomowej szklarni w Great Casterton w Anglii zobaczyli szkielet, wezwali policję. Zrobili to jednak co najmniej tysiąc sześćset, a może nawet tysiąc osiemset, lat za późno.

Mężczyzna, zmarły w wieku 26–35 lat, leżał na prawym boku, z ugiętymi nogami. Złożono go bezpośrednio do ziemi, bez żadnej trumny. Jego nogi łączyły w kostkach ciężkie żelazne kajdany zamknięte na kłódkę. Układ ciała sugeruje, że nie zostało umieszczone starannie, jak w grobie, lecz po prostu wrzucone do rowu, który znajdował się poza obrębem miejscowego cmentarza. Miało to miejsce między rokiem 226 a 427. Czyli w czasach, kiedy Brytanią rządzą Rzymianie.



Szkielet i miejsce jego złożenia przebadali naukowcy z Museum of London Archaeology (MOLA). Następnie zadali sobie pytanie: czy mężczyzna mógł być niewolnikiem.

W starożytnym Rzymie stawano się nim na kilka sposobów. Niewola groziła za długi. Znane są przypadki, kiedy biedacy sprzedawali dzieci bogaczom. Z rozwojem imperium rosła też armia jego niewolników: pojmani barbarzyńcy były wysyłani do Rzymu. Podczas swoich galijskich kampanii pomiędzy 59 a 51 r. p.n.e. Juliusz Cezar ze swoją armią zdobył ponad milion jeńców.

Ponieważ w miarę rozrostu cesarstwa coraz więcej mężczyzn wcielano do armii, brakowało rąk do pracy i niewolnicy stawali się coraz bardziej potrzebni. Postępujący za armią handlarze odkupywali pojmanych oraz ich rodziny i wysyłali



ŻYCIE W NIEWOLI

Niewolnicy zatrudniani byli do wszelkich prac, zarówno **domowych**, jak i na roli czy w kopalni. Powyżej: rzymska mozaika z kobietą ze służkami.

ich do Rzymu i innych wielkich miast imperium. Na targach sprzedawano niewolników nago, aby nie ukryły się żadne fizyczne wady. Ceny wahały się zgodnie z popytem: po każdej udanej kampanii wojskowej spadały. Zależały też od tego, czy niewolnik posiadał wyspecjalizowane umiejętności: wysoko cenieni byli greccy nauczyciele, lekarze i bibliotekarze, a także rzemieślnicy i muzycy.

W bogatych rzymskich rodzinach niewolnicy wykonywali wszystkie prace domowe: byli strażnikami, kucharzami, odźwiernymi, podawali do stołu, prali odzież, dbali o ogród i usługiwali swoim właścicielom. Zbiegłych niewolników oskarżano o kradzież własności swojego pana. Po schwytaniu zazwyczaj poddawano ich torturom, aby odstraszyć innych.

W Rzymie wybuchały powstania niewolników. Najśłynniejsza była rewolta Spartakusa, trackiego pasterza, który został gladiatorem. On i jego 80 towarzyszy zdołali w 73 r. p.n.e. zbiec ze szkoły gladiatorów. Po dwóch latach ich armia liczyła już 90 tys. ludzi i kontrolowała wielkie tereny w południowej Italii. W 71 r. p.n.e. rewoltę krwawo stłumiono, a 6 tys. pojmanych niewolników ukrzyżowano wzdłuż Via Appia.

Jednak nie wszyscy niewolnicy byli źle traktowani. Właściciel Terencjusza był pod takim wrażeniem jego inteligencji, że zapewnił mu wykształcenie i zwrócił wolność. Terencjusz został jednym z najważniejszych rzymskich pisarzy.

Po tym jak cesarz Konstantyn nawrócił się na chrześcijaństwo, los niewolników w imperium znacząco się poprawił. Edyktem cesarza wydanym w 319 r. zabraniano ich zabijać, zakazano też wypalania znaków właściciela na twarzach (zamiast tego można było znakować ręce i nogi niewolników). Chrześcijaństwo nie przyniosło jednak końca niewolnictwa, wielu niewolników pracowało na terenach klasztorów. Historycy szacują, że w czasie największego rozkwitu cesarstwa 2 mln ludzi zamieszkujących Italię (spośród 6 mln mieszkańców tego regionu) pozbawione były wolności.

Dotychczas naukowcy znali losy niewolników w rzymskiej Brytanii głównie z inskrypcji. Chociaż na terenie Europy i Bliskiego Wschodu archeolodzy znajdowali liczne pochodzące z okresu rzymskiego kajdany i łańcuchy, szkielet z Great Casterton to szczątki pierwszego znanego z tego okresu zakutego człowieka na terenie Brytanii. Jest jednym z bardzo



OFIARY

Byli wykorzystywani seksualnie, wysyłani do walk na arenie, bezkarnie katowani. Nic dziwnego, że się **buntowali**.

nielicznych z innych terenów cesarstwa rzymskiego, pozostałe pochodzą z północnej Italii, Francji, Hiszpanii i Chorwacji.

Szkielet znaleziony w Great Casterton mógłby więc być pierwszym materialnym dowodem istnienia niewolnictwa w rzymskiej Brytanii. Problem jednak w tym, że nie tylko niewolnicy nosili kajdany. Co prawda w okresie rzymskim w zasadzie nie zakuwano wolnych ludzi – późnorzymskie kodeksy praw bardzo ograniczają, a czasem wręcz zabraniają zakuwania więźniów. Nie dotyczyło to jednak więźniów skazanych na ciężkie roboty. Zakuwano też zbiegłych *coloni*, rolników zobowiązanych do płacenia podatku właścicielowi ziemskiemu, a także pozostania na ziemi i pracy na roli. Nie zawsze więc kajdany nosili tylko ludzie niewolni.

Nie wiemy, jaką śmiercią zginął mężczyzna z Great Casterton. Szkielet został uszkodzony prawdopodobnie podczas prac budowlanych, wiele kości jest popękanych i zniszczonych. Brakuje czaszki i kilku kręgów szyjnych, a słaby stan zachowania uniemożliwia stwierdzenie, czy mężczyźnie ścięto głowę. Gdyby tak było, jeszcze bardziej skomplikowałoby to zagadkę sprzed wieków. ■

Marta Guzowska – archeolog, dziennikarka, popularyzatorka nauki, autorka kryminałów.

WYNIK ŚLEDZTWA

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, czy pochowany w Great Casterton mężczyzna w kajdanach na pewno był niewolnikiem. Jednak fakty, że został zakuty, że nie pochowano go w obrębie miejscowego cmentarza, lecz po prostu wrzucono do dołu i przykryto ziemią, stanowią bardzo mocne argumenty na rzecz tej hipotezy.

Naukowcy zastanawiają się, dlaczego mężczyźni po śmierci nie zdjęto kajdanów. Jak wszystkie przedmioty wykonane z metalu, w starożytności kajdany miały sporą wartość i mogły być ponownie użyte lub przetopione. Być może ci, którzy wrzucali mężczyznę do rowu, nie mieli klucza. Kajdany na nogach zmarłego mogą jednak mieć też znaczenie symboliczne: być może właściciel niewolnika chciał, żeby ten wkroczył w okowach w zaświaty.

MAFIA WEDŁUG ARTURA GÓRSKIEGO

TAŃCZĄCY

Z pisarzem Arturem Górskim

rozmawiamy o historii zorganizowanej

przestępczości oraz o jego

najnowszej książce

„Spowiednik mafii”



N A L I N I E

Focus Historia: Gdzie i kiedy narodziła się polska mafia? Pod koniec lat 80. w gdyńskim nocnym klubie Maxim – tym z przeboju Lady Pank?

Artur Górski: Jeśli chcemy wersji hollywoodzkiej, to oczywiście klub Maxim doskonale nadaje się na kolebkę rodzimej mafii. I faktycznie, ta nieistniejąca już dyskoteka była miejscem spotkań bossów trójmiejskiego półświatka, a czasami przyjeżdżali tu na występy gościnnie gangsterzy z Pruszkowa. Ale to nie tu narodziła się mafia – Maxim pojawił się ma mafijnej mapie z czasem. Według mediów z lat 90. początek polskiej mafii to strzelanina w hotelu „George” (w okolicach Nadarzyna) – w policyjnej zasadzce zginął wówczas gangster z Pruszkowa Andrzej C. Szarak. No, ale przecież podziemie zorganizowane już istniało, więc trudno mówić o narodzinach. Wróćmy więc do dyskotek, tyle że warszawskich. Zdaniem Masy, z którym napisałem wiele książek, to podczas starć z członkami innych gangów, do których dochodziło w stołecznym dyskotekach, takich jak Park czy Fugazi, zahartowała się pruszkowska stal.

Piszący o zorganizowanych grupach przestępczych, także w Polsce, mogą mieć kłopoty zarówno ze strony gangsterów, jaki i stróżów prawa. Łatwo jest przekroczyć linię, za którą zaczynają się te problemy?

A.G.: Bardzo łatwo – znam kilka przypadków, kiedy dziennikarze, zafascynowani swoimi nowymi „kolegami” z mafii, dawali się im wmanewrowywać w rozmaite kłopotliwe sytuacje. Takie, które mogły się bardzo różnie skończyć. Nie chcę wchodzić w szczegóły, powiem tylko, że niektórym zabrakło zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego. Bo jeśli popełniasz błąd, to płacisz za niego albo konsekwencjami prawnymi-karnymi, albo... wywózką do lasu na spacer. Albo wyrzutami sumienia do końca życia. Ja chyba nadaję się do pracy w cyrku, bo nieźle opanowałem sztukę chodzenia po linie.

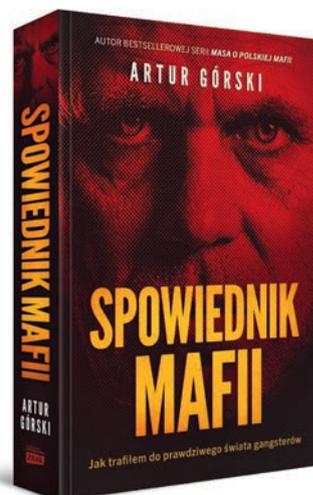
Al Capone ponoć kochał operę. To tylko dlatego, że był z pochodzenia Włochem, czy też nawet wśród gangsterów zdarzają się melomani i smakosze zainteresowani tzw. kulturą wysoką?

A.G.: Opera całkiem niedawno stała się elitarną rozrywką – przez całe wieki była kierowana do ludowego odbiorcy, a już na pewno w czasach wielkich włoskich

mistrzów, takich jak Verdi czy Mascagni. Myślę, że Al Capone naprawdę kochał operę, bo opowiadała o prostych sprawach, prostych uczuciach i w sposób łatwy do zrozumienia (a na dodatek, po włosku). A że przy okazji mógł się pokazywać w chicagowskiej operze, w towarzystwie elit, to tylko podnosiło jego prestiż. Ale to nie jedyny gangster o takich zainteresowaniach. Kiedyś byłem na spektaklu baletowym w mińskiej operze z byłym rezydentem rosyjskiej mafii w Polsce. Spotkaliśmy tam kilku jego kolegów z czasów kryminalnej przeszłości. Może faktycznie opera to domena mafii?

„Okolice Sycylii to chyba najlepsze miejsce dla faceta, który przez kilka lat żył wśród mafiosów, pisał o mafii czy kryminalnym podziemi i zarabiał na tym” – czytamy w „Spowiedniku mafii”. Najlepsze, ale czy najbezpieczniejsze? Sycylia nie jest już taka jak z serialu „Ośmiornica” czy z niedawnego filmu „Zdrajca”?

A.G.: Generalnie, świat staje się bezpieczniejszy (przynajmniej jeśli chodzi o problem przestępczości zorganizowanej) i coraz trudniej znaleźć dobry grunt do działalności mafijnej. Ale wspomnienia i sentymenty też są coś warte. Uważam, że jeśli ktoś poświęcił mafii swoje życie (czy to jako gangster, czy to jako osoba pisząca o ośmiornicy), chętnie dopełni swych dni w miejscu, gdzie rósł ród Corleone.



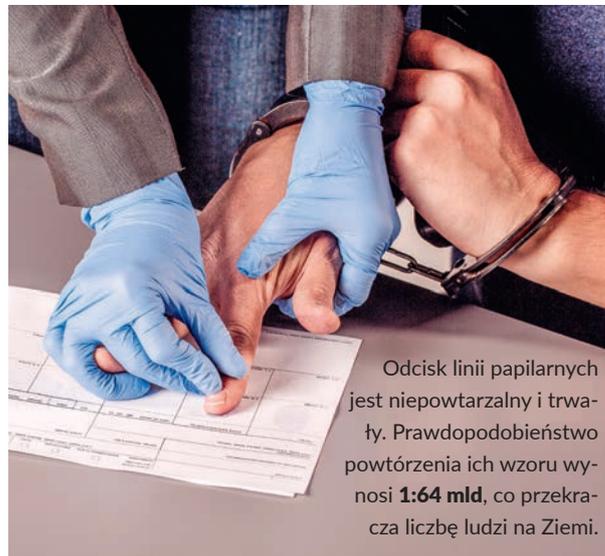
Nie boisz się, że czytelnicy potraktują „Spowiednika mafii” jako autobiografię i zaczną snuć daleko posunięte analogie?

A.G.: Oczywiście, że się boję, ale w jakimś sensie – sam tego chciałem. Bo wszystko, co opisałem w książce, przeżyłem naprawdę. Tylko inaczej. Zupełnie inaczej. A może... trochę inaczej. W każdym razie, jak ktoś za bardzo będzie drążył ten czy inny wątek, odpowiem: przecież to powieść, zwykłe bajki. Można mi wierzyć albo nie – to już zostawiam czytelnikowi. ■

rozmawiał: Jacek Rupert

ODCISKI PALCÓW

Daktyloskopia to technika śledcza,
która czasy świetności ma już za sobą,
ale przestępca zawsze powinien
pamiętać o... rękawiczkach



Odcisk linii papilarnych jest niepowtarzalny i trwały. Prawdopodobieństwo powtórzenia ich wzoru wynosi **1:64 mld**, co przekracza liczbę ludzi na Ziemi.

Starożytność

Odciskanie palca w glinie praktykują jako sposób identyfikacji Babilończycy i Chińczycy.

1266 r.

Boloński profesor anatomii Marcello Malpighi pierwszy opisał występowanie na opuszkach palców spiral, linii i kropek.



1877 r.

Brytyjski sędzia w Indiach William Hershell jako pierwszy Europejczyk praktycznie wykorzystał odciski palców: kazał je pobierać od emerytów wojskowych (by pieniędzy nie mógł pobrać oszust) i przestępców. Trzy lata później szkocki naukowiec Henry Faulds potwierdził, że odciski są doskonałym sposobem identyfikacji, bo każdy ma je inne i nie zmieniają się przez całe życie.



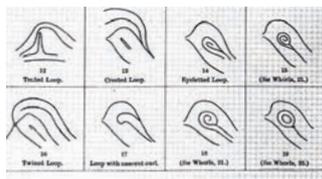
1895 r.

Główny brytyjski inspektor policji w Bengalu Edward Henry stworzył system klasyfikacji odcisków palców, którego używano do lat 90. XX w. Zdobył rozgłos i stanął na czele Wydziału Śledczego Scotland Yardu.



1892 r.

Francis Galton potwierdził badaniami, że odciski palców są niepowtarzalną cechą indywidualną każdego człowieka i opracował pierwszy, pełny system klasyfikacji linii papilarnych. W tym samym roku argentyński policjant Juan Vucetich dzięki krwawemu śladowi palca wskazał dzieciobójczynię.



1891 r.

Francuski naukowiec René Forgeot opublikował pracę, w której proponował wykorzystanie proszków i odczynników chemicznych do ujawniania śladów linii papilarnych.

1902 r.

Francuski uczyony i policjant Alfons Bertillon wykonał odcisk palca i udowodnił winę oskarżonemu o morderstwo.



1919 r.

Powołana po odzyskaniu niepodległości Polska Policja Państwowa zaczęła powszechnie stosować daktyloskopię. Do 1936 r. przeszkolono w tej technice 126 osób.



Współczesność

Dysponując odciskiem palca, można określić płeć, osobowość, stan zdrowia i styl życia. Pozostawiony ślad kryje bowiem rozmaite związki chemiczne znajdujące się w danej chwili na skórze. Jednak bardziej wiarygodne, choć dużo droższe, są obecnie badania DNA.



NOWY SERIAL DOKUMENTALNY

KRYMINALNE ŚLEDZTWA PRL



WTORKI 22:00 CBS@reality

KANAŁ
DOSTĘPNY:

polsat box 

82

CANAL+ 

170



392/417

NETIA

135

TOYA 

153



344



ZABAWA BEZ KOŃCA

Nowy przenośny głośnik Bluetooth®
z USB do ładowania urządzeń zewnętrznych

CHARGE 5



Zakupiono w NEXTO: 3451234